

Franca
GIANSOLDATI

A photograph of two men in white papal vestments embracing. The man on the right is wearing a mitre and a white cape with gold embroidery. The man on the left is wearing glasses and a white cape with gold embroidery. They are both looking at each other and smiling.

DEMON

w Watykanie

LEGIONIŚCI CHRYSTUSA I SPRAWA MACIELA

Franca Giansoldati

Demon
w Watykanie
Legioniści Chrystusa
i sprawa Maciela

Przełożyła Anna Osmólska-
Mętrak

w
ydawnic
a
two **b**

Tytuł oryginału: *Il demonio in Vaticano. I Legionari di Cristo e il caso Maciel*

Copyright © 2014 by Edizioni
Piemme Spa, Milano

Copyright © for the Polish
edition by Grupa Wydawnicza
Foksal, MMXVIII

Copyright © for the Polish
translation by Anna Osmólska-
Mętrak, MMXVIII

Wydanie I
Warszawa MMXVIII

Spis treści

Motto

Prolog

Podwójne życie: „żony”
i dzieci

Druga „żona”

Meksyk 1979: spotkanie
z Wojtyłą

Pakt antykomunistyczny

Podjrzane działania
USA

Powstanie cristeros

Wykorzystywanie
seksualne, gniew
i milczenie

Narkotyki

Obsesja kontrolowania

Ślub milczenia

Początek końca

Droga pod górę

System

Ostatnie płomienie

Upadek

Zagrożone królestwo

Zmora ONZ

Łajno demona

Milionerzy

Chory korzeń

Plagiaty

Ucieczka z Legionu

Sztuka symulacji

Zagadka

Śmiertelny uścisk

Bibliografia

Podziękowania

Przypisy

*I poznacie prawdę,
a prawda was wyzwoli.*

J 8, 32

Prolog

Na zachodnich peryferiach Rzymu, przy niewyróżniającej się niczym via Aurelia, wznosi się wybudowany niedawno anonimowy kościół z czerwonej cegły i białego marmuru, ani mały, ani duży, ani brzydki, ani ładny. Ledwie go widać w gąszczu pokracznych budynków, na dodatek przesłania go

nieustający nawet na chwilę ruch uliczny. Mógłby pozostać całkowicie niezauważalny, gdyby nie znajdował się przy końcu bardzo ruchliwej arterii prowadzącej ze stolicy nad morze.

Pozornie kościół ten niczym nadzwyczajnym się nie wyróżnia: może być jedną z trzystu trzydziestu rzymskich parafii, wyrosłych jak grzyby po deszczu wraz

z powstaniem nowych miejskich dzielnic podczas boomu budowlanego w latach sześćdziesiątych XX wieku. Regularne zarysy, geometryczne i pozbawione stylu, żadnych architektonicznych ekstrawagancji. A jednak w swoim wnętrzu kryje tajemnicę.

Ukryte przejście prowadzi na niższy poziom do marmurowej krypty,

położonej prostopadle
w stosunku do ołtarza. Jest
ona rozpaczliwie pusta
i goła. Nie ma tam żadnych
ołtarzy, posągów, obrazów,
fresków ani relikwii.
Z wyjątkiem proboszcza
i zakrystiana prawie nikt nie
może przestąpić jej progu,
jakby było to miejsce,
o którym należy zapomnieć,
mogące wzbudzać niepokój,
zakłopotanie, złe
wspomnienia.

W tej krypcie miał zostać uroczyście pochowany meksykański ksiądz, bardzo bliski przyjaciel Karola Wojtyły, który jeszcze kilka lat temu był szanowany i wychwalany przez wiernych i prałatów, a potem utracił to uwielbienie i został wymazany z pamięci, aż po całkowite zapomnienie. Dzisiaj nikt nie chce o nim ani mówić, ani słyszeć, jakby

jego życie było jakimś incydentem, przekleństwem, błędnym epizodem w historii Kościoła.

Ojciec Marcial Maciel Degollado, diaboliczny założyciel Legionistów Chrystusa, chciał właśnie tam zostać pochowany.

Sam zlecił wybudowanie tej krypty dla siebie, w nadziei, że pewnego dnia jego doczesne szczątki spoczną pośród tych

marmurowych płyt i być może będzie czczony jako święty. Mogłoby tak się stać, gdyby zrzędzeniem losu nie otworzyła się puszka Pandory, zmieniając bieg wydarzeń. W ten sposób triumfalny finał, który Degollado planował i roił sobie przez całe życie - oszukując nawet darzącego go przyjaźnią papieża Wojtyłę - szczęśliwie nie nastąpił,

choć niewiele brakowało. Za sprawą Opatrzności pompatyczne zwieńczenie kariery, jakie zaprojektował dla siebie Maciel, ten człowiek o wyglądzie pozornie niewinnym i budzącym zaufanie, nie doszło do skutku.

Podobnie jak w historii o doktorze Jekyllu i panu Hyde, on też miał więcej niż jedną tożsamość i więcej niż

jedno życie. Gwałciciel,
kłamca, zepsute serce,
czarna dusza. Chłopcy
z jego seminarium mieli
obowiązek nazywać go
nuestro padre, kiedy
spotykali go na korytarzach
siedzib zgromadzenia
rozsianych po całym
świecie. W przeciwnym
razie groziły im reprimendy
i kary.

Założyciel Legionistów
Chrystusa był człowiekiem

potężnym,
charyzmatycznym,
nietykalnym. Nikt nie
mógłby sobie nawet
wyobrazić, że pewnego dnia
ten żylasty ksiądz o lekko
wytrzeszczonych oczach dla
wielu z tych chłopców
zamieni się w *diablo*,
najgorszy z koszmarów. Nie
wzbudzając najmniejszych
podejrzeń, mając pewność,
że nikt nigdy nie będzie
żywił co do niego żadnych

wątpliwości, w ciągu
swojego życia Maciel zdołał
stworzyć trzy równoległe
życiorysy. Był przyjacielem
papieża. Był potężny,
podziwiany i szanowany
zarówno w Rzymie, jak
i w Ameryce Łacińskiej,
gdzie Legioniści Chrystusa
mieli swoją kwaterę główną.
Nikomu nie przyszłoby
nawet do głowy, że
jednocześnie założył
i utrzymywał dwie rodziny,

jedną w Meksyku, a drugą w Hiszpanii, a jego dwie „żony” obdarzyły go trójką dzieci, z których dwoje wykorzystywał seksualnie. Był ojcem budzącym lęk, nieuchwytnym. Łożył na utrzymanie rodziny, ale potem opuszczał dom i zniknął na długi czas.

Ta fikcja rozwijała się ponad wszelkie wyobrażenie. Zarówno w życiu publicznym, jak

i prywatnym plany czynienia
zła postępowały. Za
wszystko wystarczyłby
potworny los, jaki spotkał
jego nieślubne dzieci,
wówczas nieświadome, dziś
dorosłe osoby, zmuszone
mierzyć się z upiorną
przeszłością. Rozdział jego
życia dotyczący
wykorzystywania
seksualnego jest
przeróżający. Potwór
Maciel splamił się tą

zbrodnią również
w seminariach, molestując
wielu chłopców
przebywających
w siedzibach Legionistów
Chrystusa. Według zeznań
świadków znęcanie się oraz
przemoc fizyczna
i psychiczna rozgrywały się
zawsze w ciszy, strachu,
milczeniu. Dopiero po
śmierci Maciela w styczniu
2008 roku mur milczenia
zaczął powoli pękać, ku

zaskoczeniu opinii
publicznej, Kościoła, osób
w dobrej wierze
pozostających w kręgu
Legionistów Chrystusa,
wywołując wstrząs
i przygnębienie
u wszystkich, którzy
w Rzymie poznali Maciela
i nieświadomie mu pomagali.
Prawda sączyła się
z opowieści niczym
strumień, który powoli
spływa do doliny, a tam staje

się wezbraną rzeką. Do pierwszych doniesień dołączały kolejne, coraz liczniejsze zeznania.

Doniesienia

o diabolicznych tożsamościach Maciela spowodowały oskarżenia przeciwko całemu watykańskiemu systemowi, obryzgując błotem nawet pamięć Jana Pawła II - dziś już świętego Kościoła katolickiego - który zawsze

Maciela wspierał i z pełnym zaangażowaniem bronił. Osobisty sekretarz papieża - dziś kardynał - Stanisław Dziwisz, który dobrze znał Maciela, bierze Wojtyłę w obronę: „Kiedy Ojciec Święty go poznał, nic nie wiedział. Absolutnie nic. Dla niego był on założycielem wielkiego zgromadzenia religijnego. Nikt mu o niczym nie powiedział. Nawet

o krążących pogłoskach”.
W Watykanie wszyscy to
potwierdzają: papież
Wojtyła nigdy nie został
poinformowany
o zbrodniach Maciela.
A przecież trudno uwierzyć,
że żaden ze
współpracowników papieża,
poczynając od kardynała
Angela Sodana, nie uznał za
konieczne, by powiadomić
go, co się mówi o życiu
w zgromadzeniu,

o powracających
uporczywie plotkach,
o groźbie kolejnego
skandalu, o doniesieniach,
które dotarły do
Kongregacji Nauki Wiary
i trafiły na biurko Josepha
Ratzingera.

Historia Maciela jest
i pozostaje największym
skandalem związanym
z wykorzystywaniem
seksualnym, demoralizacją
i dwulicowością, jaki

wyszedł na jaw w ciągu
ostatnich wieków historii
Kościoła. Na oczach Jana
Pawła II dokonana się
niewyobrażalnych
rozmiarów tragedia
moralna, nad którą dzisiaj –
jak się zdaje – znów zapadła
kurtyna milczenia.
A przecież pytania wciąż
pozostają bez odpowiedzi:
kim był w rzeczywistości
założyciel Legionistów
Chrystusa? Chorym

umysłowo, zwyrodniałym
zbrodniarzem, demoniczną
postacią? Przez lata
opisywany był chóralnie jako
błyskotliwy, niezwykle
inteligentny światowiec. On
sam uważał się za
wybrańca, człowieka
wyjątkowego, naznaczonego
ręką Boga i właśnie w taki
sposób o sobie mówił. Ta
fasada doskonałości
i sukcesu zachwycała
tysiące chłopców, którzy -

nieświadomi, że żyją w jaskini lwa - wyrastali w kulcie jego osoby. Jeszcze na kilka lat przed śmiercią Maciel jawił się - nawet w oczach papieża Wojtyły - jako wzór wiary, nadziei i miłosierdzia, w którym skupiły się wszelkie teologiczne cnoty, jako źródło inspiracji i siły.

Była to jednak tylko tragiczna gra luster i pozorów, Maciel bowiem

skrywał swą diaboliczną naturę seryjnego gwałciciela, człowieka zdemoralizowanego, a jednocześnie deprawatora. Osoby pozbawionej skrupułów w stosowaniu w Watykanie praktyki *mordidy*, będącej mniej więcej odpowiednikiem „łapówki”, by zapewnić sobie przywileje i nietykalność.

Aby dopiąć swoich celów,

nie patrzył nikomu w twarz. Był niebywale sprawny w zdobywaniu ogromnych kwot, otaczał się bogatymi darczyńcami i dzięki zebrany pieniądzą, apelując do ludzkiej łaskawości, finansował tworzona przez siebie wielopiętrową, niemal filmową fikcję. Nieustannie mieszał dobro ze złem.

Jan Paweł II może zostać uznany za jedną z licznych

ofiar Maciela. Jak wielu innych wpadł w pajęczynę jego kłamstw, uwiedziony nieprzeniknioną i dominującą osobowością tego człowieka. Maciel pozostaje niewiadomą. Joseph Ratzinger, w książce wywiadzie *Światłość świata*, określił go jako „tajemniczą postać”, której życie, „jak teraz już wiemy, sytuuje się poza moralnością – życie awanturnicze, dziwaczne,

przebrane”¹. Dokumenty zebrane podczas watykańskiego śledztwa nie pozostawiają miejsca na wybaczenie – „dziwaczność” to za mało. Zarzuty podniesione przez Kongregację Nauki Wiary są bardzo ciężkie. Rekapitulując: zgwałcił wielu seminarzystów, „ożenił się” z dwiema kobietami, przyjmując za każdym razem fałszywą

tożsamość inżyniera, agenta CIA, menedżera, w zależności od potrzeb; wykorzystywał dwoje ze swoich nieślubnych dzieci; jako menedżer zarządzał zawrotnymi kwotami, oszukując wielu dobroczyńców i dopuszczając się korupcji; zażywał narkotyki.

Pytań bez odpowiedzi jest dużo i są niepokojące: jak to

możliwe, że nikt spośród osób z jego bliskiego otoczenia w Watykanie, jak i w zgromadzeniu Legionistów Chrystusa niczego nie zauważył? Jak to możliwe, że w obliczu oskarżeń o wykorzystywanie seksualne przez ponad dekadę Watykan pozostał niewzruszony i milczący, uznając za pewnik, że chodzi o jakiś nieokreślony

spisek mający na celu skompromitowanie Kościoła? Czy taka ślepotą jest dopuszczalna? Sam Ratzinger we wspomnianym wywiadzie, przeprowadzonym przez niemieckiego dziennikarza Petera Seewalda, zmuszony był przyznać, że system kurialny okazał się w tym przypadku zdecydowanie niewydolny: „Niestety, docieraliśmy do tych spraw

bardzo powoli i zbyt późno. Były dobrze ukryte i dopiero około 2000 roku zyskaliśmy konkretne punkty zaczepienia. Trzeba było jednoznacznych świadectw, aby rzeczywiście mieć pewność, że zarzuty są słuszne”². Pewne jest natomiast, że nawet Jan Paweł II był zaślepiiony do tego stopnia, iż nie potrafił zrozumieć, kim naprawdę jest Maciel, dostrzec tego,

co kryło się za pozorami. Mówi się, że to właśnie kardynał Joseph Ratzinger poinformował go o nikczemnych uczynkach, jakich dopuścił się ten człowiek, dostarczając papieżowi dowody na krótko przed jego śmiercią. Było już jednak za późno.

Historia ta opowiada o upadku zbrodniarza przebranego za świętego. Mamy tu jednocześnie

czystość i dwuznaczność,
ludzkie uczucia i nikczemną
kalkulację. Ta
skomplikowana rozgrywka
zakończyła się dopiero
w 2005 roku spóźnionym
śledztwem kanonicznym,
dotyczącym karygodnych
postępów założyciela
Legionistów Chrystusa,
w czasie kiedy ten był już
osiemdziesięciolatkiem.
Śledztwo okazało się
wstrząsające i również

z tego powodu zostało utajnione. Przesłuchano setki świadków. Legionistów i byłych legionistów, ofiary i ich rodziny; sporządzono niepodważalny raport, zdolny zedrzyć zasłonę kłamstwa skrywającą cały łańcuch zbrodni. Drogę, jaką przeszedł mroczny umysł.

Podwójne życie: „żony” i dzieci

Ksiądz, inżynier, menedżer, tajny agent i nie wiadomo kto jeszcze. Fantazji nigdy Macielowi nie brakowało. Miał co najmniej trzy znane tożsamości, ale mógł też zbudować inne, o których nie wiemy, biorąc pod uwagę, że nikt nie miał możliwości go kontrolować, ani w samym zgromadzeniu

Legionistów Chrystusa, ani poza nim. Dlatego nie da się ustalić, w ile postaci się wcielił. Jako *leader maximo* był absolutnym przywódcą, który podejmował decyzje i wydawał rozkazy; posłuszeństwo było dla każdego czymś oczywistym i nikt nie ośmieliłby się mu przeciwstawić: „Nie pozwalał nam mieć wglądu w swoje życie”, mówią świadkowie. W tej silnie

zhierarchizowanej organizacji wszyscy podwładni bez wahania dostosowywali się do tego klimatu.

W chwili jego śmierci paszporty, dowody osobiste i wszystkie używane przez niego fałszywe dokumenty zostały zniszczone, by nie zostawić kompromitujących śladów. Dokumenty te gwarantowały mu możliwość zmieniania tożsamości

zależnie od potrzeby. W ten sposób działał pod przykryciem, przemieszczając się bez problemów z Meksyku do Włoch, z Hiszpanii do Stanów Zjednoczonych, z jednego krańca świata na drugi. Jak w filmach szpiegowskich, wychodził z jednej roli, żeby zagrać inną. Był zręczny i sprytny. Poruszał się między światami, zaprojektowanymi

i zbudowanymi niczym
szczelne przedziały tak,
żeby żadna z równoległych
rzeczywistości, w których
funkcjonował, w Hiszpanii
czy w Meksyku, nigdy się ze
sobą nie stykała. W ten
sposób swobodnie zmieniał
tożsamość wpływowego,
bliskiego papieżowi
duchownego i wcielał się
w don José Rivasa,
specjalistę działającego
w sektorze energetycznym.

Żadnej z jego „żon” nie przeszłoby nawet przez myśl, że ma do czynienia z księdzem. Wytrawny aktor, niezwykle inteligentny, obdarzony legendarną wręcz pamięcią, zdolny gromadzić i wykorzystywać dla swoich diabolicznych celów niesłychaną masę danych, nigdy nie popadając przy tym w sprzeczność. By uniknąć ryzyka, gdy mówił

o sobie, nawet udzielając wywiadów, nie zagłębiał się za bardzo w szczegóły. Był ostrożny i podejrzliwy. Aby uwiarygodnić skomplikowane zarządzanie równoległym życiem, ze wszystkich możliwych zawodów, jakie miał do wyboru, przypisał sobie takie, które mogły mu dać największe pole manewru i najlepsze preteksty, pozwalające uzasadnić, bez

wzbudzania podejrzeń,
długie okresy nieobecności,
kiedy wcielał się
w charyzmatycznego
założyciela Legionistów
Chrystusa. Na przykład
dzieciom i żonie w Meksyku
opowiadał o rzekomej pracy
na platformach wiertniczych
albo o misjach powierzanych
mu przez klientów. Dzięki
bardzo precyzyjnemu
systemowi sztuczek,
kłamstw, żelaznych alibi,

ojciec Maciel zdołał prowadzić równoległe życie rodzinne w Hiszpanii i Meksyku, sprytnie unikając wszelkich zagrożeń, sytuacji, w których po jednej albo po drugiej stronie mógłby się pojawić choćby cień podejrzenia.

Mogło się oczywiście zdarzyć (i zdarzyło się), że dzieci meksykańskie zostały przywiezione z wizytą do „cioci” Normy do Hiszpanii,

choć nie wiedziały naturalnie, że ta kobieta jest w rzeczywistości drugą żoną ich ojca. Zawsze zresztą znajdował jakieś wyjście, i niemal wszystko mu wybaczano. Wyróżniającą cechą życia rodzinnego Maciela była bez wątpienia jego troska, przynajmniej w kwestiach finansowych: szczerze zaspokajał potrzeby dzieci i „żon”, zapewniając im poczucie

bezpieczeństwa, opiekę
i uprzedzając wszelkie
możliwe podejrzenia. Ksiądz
z Cotija de la Paz, małego
meksykańskiego
miasteczka, gdzie przyszedł
na świat, troszczył się
o właściwy dobór kobiet,
których serca miał zdobyć,
zazwyczaj młodych,
prostych, naiwnych. Liczył
na swój urok osobisty
i wytworne maniery. Miał
dużo pieniędzy, mógł sobie

pozwolić na pięciogwiazdkowe hotele, luksusowe restauracje, kosztowne prezenty. Poświęcał im uwagę, uwodził je, aż się w końcu zakochiwały.

Pierwsza „żona”, jego towarzyszka przez ponad dwadzieścia lat, nazywa się Blanca Estela González. To kobieta o smutnym spojrzeniu. Jedyna, która publicznie mówiła o swoim

doświadczeniu, wyjawiając w wywiadzie dla meksykańskiej telewizji oszustwo, jakiego padła ofiarą. Kręactwa, kłamstwa, cierpienie. „Nie wiedziałam, z kim żyję, ale potem prawda wyszła na jaw”.

Do spotkania z tajemniczym mężczyzną doszło przypadkiem w Tijuanie, w Meksyku. On miał pięćdziesiąt sześć lat,

robił wrażenie pewnego
siebie, stanowczego,
doświadczonego życiowo:
było mu bardzo łatwo
zdobyć dziewczynę ledwie
dziewiętnastoletnią, mającą
już za sobą nieudane
małżeństwo, tak krótkie, że
nie zostawiło śladu, poza
malutkim synkiem, którego
musiała wychować.
W telewizji Blanca
zaprezentowała się jako
kobieta bardzo

zdeterminowana,
z uśmiechem na ustach.
Zadbana
pięćdziesięciolatka, ciemne
włosy do ramion, głębokie
spojrzenie. Nie spuszczając
ani razu oczu, opowiedziała
historię miłości, którą
zapoczątkowały
romantyczne obietnice.
„Powiedział, że szuka
kobiety, by stworzyć dom
i wreszcie założyć rodzinę.
W taki sposób go poznałam;

nie wiem, czy na szczęście,
czy na nieszczęście”.
W tamtym czasie Blanca
mieszkała z małym Omarem.
Chłopiec, nieświadomy tego,
co go spotka, zobaczył
w Macielu figurę ojcowską,
człowieka dającego
poczucie bezpieczeństwa,
dobrotliwego. Ich relacja
umocniła się wraz
z narodzinami kolejnych
dzieci, a w następnych
latach Omar został

usynowiony pod nazwiskiem ojczyma, Rivas, oczywiście fałszywym. Ojciec Maciel, alias José Rivas, mówił Blance, że pracuje w Shell International. Udawał, że jest jednym z inżynierów specjalizujących się w dziedzinie energii, zatrudnionych na platformach wiertniczych w Zatoce Meksykańskiej, gdzie największe koncerny paliwowe wydobywają ropę.

To praca bardzo intratna, ale wymagająca wielkich poświęceń, opowiadał, a także długich okresów nieobecności w domu. Do swoich kłamstw rzekomy José Rivas lubił dodawać całkowicie zmyślane szczegóły. Blance „wyznawał”, że jest tajnym agentem, zmuszonym występować czasem pod przykryciem.

Blanca, uspokojona

zapewnieniami „męża”,
jakoś sobie radziła,
wychowywała dzieci prawie
cały czas samotnie, i nie
zastanawiała się nad
pewnymi dziwnymi
sprawami, jak choćby
długimi nieobecnościami
„męża” w domu. Maciel
mieszkał z nimi nawet dwa
tygodnie z rzędu, po czym
znikał i znów się pojawiał.

Natomiast Legionistom
Chrystusa opowiadał, że

jego podróże wynikały z konieczności kontrolowania różnych domów zakonnych. „Kiedy był nieobecny, wiele do siebie pisaliśmy, a on przysyłał do domu dużo pocztówek”, mówiła Blanca. Ta jego przerywana obecność stała się w końcu regułą i nikt już nie zwracał na to uwagi. Jako mąż był zresztą bez zarzutu: nigdy nie zapominał

zatelefonować i zapytać, co słychać u chłopców, szczęśliwych, że wychowują się teraz razem i chodzą do najlepszych szkół. Maciel zachowywał się jak każdy ojciec.

Pewne wątpliwości pojawiły się tak naprawdę, kiedy urodził się pierwszy syn i trzeba go było zarejestrować w urzędzie stanu cywilnego. Czas mijał, a ojciec dziecka wciąż

znajdował wymówki, żeby to odwlec, twierdząc, że ma problemy związane z dokumentami. Mówił, że musi poszukać potrzebnych papierów. Rozwiązał problem jak zwykle za pomocą sztuczek. Syn, podobnie jak następne dzieci, został w końcu zarejestrowany na podstawie fałszywego paszportu. Prawdziwa tożsamość tego dziwnego

ojca wyszła na jaw dopiero wiele lat później, w 1997 roku, kiedy „The Hartford Courant” opublikował w Stanach Zjednoczonych sensacyjny materiał na temat przestępstw seksualnych dokonanych przez ojca Maciela w latach pięćdziesiątych. To właśnie wtedy na łamach meksykańskich gazet oraz popularnego czasopisma „Siempre” Blanca zobaczyła

zdjęcie mężczyzny podobnego jak dwie krople wody do jej męża, tyle że ubranego w sutannę. Kobietę ogarnęło oczywiście niedowierzanie i zdumienie, pogrążyła się w rozpacz. Jej partner, ojciec jej dzieci okazał się kimś zupełnie innym i wszystkich bezwstydnie okłamał. To nie inżynier José Rivas, lecz seryjny pedofil, przestępca, oszust, a na dodatek kapłan.

Jakie tam platformy wiertnicze i tajne misje na rzecz CIA! Dostawała od tego wszystkiego zawrotów głowy, nie mogła się z tym pogodzić.

W dniu, gdy zderzyła się z twardą rzeczywistością, Blanca postanowiła zmierzyć się bezpośrednio z José. On przez telefon wszystkiemu zaprzeczył. „Oskarżają cię o straszne rzeczy, o gwałty na

nieletnich”. Maciel przysięgał i zaklinał się, że wszystko, o czym napisano w gazetach, to tylko kaczki dziennikarskie, od pierwszej do ostatniej linijki. Aż do tej chwili również w samej kongregacji Legionistów Chrystusa ojciec Maciel nie dawał podstaw do żadnych podejrzeń, choć miał w zwyczaju znikać na całe tygodnie i jeździć od jednej siedziby Legionu do drugiej,

przesiadając się z samolotu do samolotu. Meksyk, Francja, Stany Zjednoczone, Brazylia, Włochy, Chile, Hiszpania, Polska. Usprawiedliwił się, utrzymując, że jego nieobecność wynika z prowadzenia tajnych misji w krajach Wschodu w imieniu papieża Wojtyły. Był to *top secret* i nie mógł o tym absolutnie z nikim rozmawiać. Znając związki

łączące ojca Maciela z Janem Pawłem II, legioniści rezygnowali z dalszych pytań, a wręcz patrzyli na niego z jeszcze większym podziwem. Wszystkie ich wątpliwości pierzchły. Przywykli, że pojawiał się i znikał, kiedy chciał, bez żadnych wyjaśnień, i nie dziwiły ich już żadne jego ekstrawagancje, nawet gdy kazał kierowcy zawozić się

do luksusowego hotelu,
gdzie zamierzał nocować.
Choć w domach Legionu
miał do dyspozycji wygodny
apartament zaopatrzony we
wszystko, co niezbędne,
Maciel niemal zawsze
spędzał noc gdzie indziej,
pod pretekstem, że
w hotelu, z dala od
zamieszania, lepiej
wypocznie. W życiu
religijnym ten dziwny
zwyczaj stanowił trudne do

zaakceptowania odstępstwo, a jednak nikt nie ośmielał się poruszać tej kwestii. Lepiej siedzieć cicho i być posłusznym.

Aż do tamtej chwili, mimo ważnej pozycji, jaką zajmował w Kościele, w mediach nie ukazywało się zbyt wiele zdjęć i materiałów z udziałem założyciela Legionistów Chrystusa. Mówi się, że Maciel był bardzo ostrożny,

aż do granic paranoi, nie chciał, by o nim mówiono, zarządzał swoim wizerunkiem z wielką przezornością: nie udzielał wywiadów, nie występował w telewizji, odmawiał udziału w debatach, dziennikarzy trzymał na dystans, jak zarazy unikał kamer telewizyjnych. Nie pozwalał się fotografować i stronił od wystąpień publicznych, co potwierdzili

byli współpracownicy duchownego. Jego oblicze było prawie nieznanie szerszej publiczności. Jedynie w domach Legionu wisiało na ścianach kilka oprawionych fotografii, które dziś zostały zdjęte. *Damnatio memoriae.*

Druga „żona”

O istnieniu drugiej rodziny Maciela dowiedziano się dopiero po jego pogrzebie. Po śmierci ojca Degollado, 30 stycznia 2008 roku, dla Legionistów Chrystusa zaczęły się prawdziwe kłopoty prawne. Poza Blancą była jeszcze jedna kobieta, która mogła dopominać się swoich praw. Mieszkała w Hiszpanii i ona

też twierdziła, że jest „żoną” ojca Degollado. Macielowi przez lata udało się trzymać ją w ukryciu jako tę drugą, chociaż chodziło o trwały związek, z którego urodziła się nawet córka, Normita. Wiadomość zaczęła krążyć w sieci niemal natychmiast, wzbudzając wśród wiernych niedowierzanie i zdumienie. Potem informacja została potwierdzona. „W czerwcu

2006 roku pojawiła się u nas kobieta, z którą ojciec Maciel miał córkę”, opowiadał ojciec Luis Garza, jeden z przełożonych legionistów. „Postanowiłem wszcząć własne śledztwo. We wrześniu tamtego roku zyskałem pewność, że rzeczywiście jest on ojcem tej dziewczyny”. Następne rewelacje wzbogacały ten nowy rozdział o kolejne szczegóły, aż do publikacji

w sieci fotografii ojca Maciela z córką, piękną dziewczyną o długich ciemnych włosach.

Dokładnie tak samo, jak się to zdarzyło w przypadku Blanki, również Norma Hilda Baños spotkała ojca Maciela przypadkowo i udającego kogoś innego. Mężczyzna zastosował podobny scenariusz: tym razem też był José Rivasem, majątnym biznesmenem,

zmuszonym podróżować
dużo w interesach,
pragnącym właśnie teraz
założyć rodzinę. W tamtym
czasie Norma pracowała
jako kelnerka w Acapulco
i miała niewiele ponad
dwadzieścia lat. Wytworne
i ujmujące maniere tego
pewnego siebie mężczyzny
wywarły na niej korzystne
wrażenie. Mimo różnicy
wieku okazało się, że ich
para jest dobrana,

i postanowili osiąść w Hiszpanii. Podwójne życie Degollada w nowej rodzinie, która zamieszkała w Madrycie, w dużym apartamencie w reprezentacyjnej dzielnicy, było bardzo podobne do tego, jakie wciąż wiódł w Meksyku. W owym czasie ojciec Maciel bez trudu zarządzał trzema różnymi tożsamościami, trzema

różnymi osobami, sposobami
myślenia i działania:
w Hiszpanii był partnerem
Normy, w Rzymie
założycielem zgromadzenia
Legionistów Chrystusa,
a w Meksyku „mężem”
Blanki. Poruszał się w tym
z pełną naturalnością.
Znikał okresowo z Legionu
albo z jednego bądź
drugiego domu, żeby po
pewnym czasie jak gdyby
nigdy nic tam wrócić.

Również w przypadku Normy korzystał z tej samej wymówki, czyli konieczności wyjazdów w interesach. Ten człowiek był kłamcą, oszustem, transformistą, bigamistą, był wszystkim, tylko nie tym, za kogo chciał uchodzić, a do tego był duchownym. Po odkryciu prawdy Norma próbowała przystosować się pragmatycznie do nowych okoliczności, starając się nie

utrudniać zbytnio
równoległego życia
założyciela Legionistów
Chrystusa, ponieważ chciała
uchronić przed
konsekwencjami i wychować
w jak najspokojniejszych
warunkach córkę urodzoną
w 1987 roku.

Mała Norma Hilda Rivas,
nazywana przez ojca czule
Normitą, to najmłodsze
dziecko Maciela. Była też
jego ulubienicą, jak to się

często zdarza w przypadku
późnych dzieci. Zajmowała
zawsze u ojca
uprzywilejowaną pozycję.
Bywało, że zabierał ją ze
sobą w długie podróże,
a nawet wprowadzał na
papieskie audiencje.
Zachowały się jej zdjęcia
z braćmi i gwardią
szwajcarską w Auli
Pawła VI. Również ksiądz
z Cotija de la Paz, podobnie
jak uczyniłby każdy

rozwiedziony ojciec, który musi dbać o potomstwo z różnych związków, starał się sprzyjać spotkaniom rodzeństwa, organizując nawet podróże do Rzymu ze wszystkimi swoimi dziećmi. Dzisiaj Normita jest dorosła i, tak jak wiele jej rówieśnic, studiuje. Wyszła za mąż za chłopaka poznanego w hiszpańskim uniwersytecie legionistów. Zdobywała wykształcenie

w najlepszych szkołach Legionu.

Czasem „głowa rodziny” zabierała mamę Normę i małą Normitę na wakacje do Włoch. Wszyscy razem odwiedzali Capri, Wybrzeże Amalfitańskie, Sorrento, Neapol. Ojciec Maciel okazywał im serdeczność i troskę. Dziewczynce niczego nie brakowało: chciał, żeby jej dzieciństwo i dojrzewanie przebiegało

możliwie najszczęśliwiej. Na jednym z nielicznych zdjęć krążących w sieci Normita jest z ojcem w jakimś budynku o charakterze religijnym. Ma na sobie długą białą spódnicę, wygląda na beztroską. Po jej lewej stronie stoi sędziwy już mężczyzna, zylasty, w jasnej koszuli i spodniach. Obok nich dwie kobiety, z których jedna to Norma Hilda, ubrana w jaskrawe

błękitne spodnie. Norma i Normita są jedynymi kobietami, które towarzyszyły ojcu Macielowi aż do końca jego dni. Jedynymi, które zostały uznane przez Legionistów Chrystusa i dopuszczone do wezgłowia umierającego na raka trzustki Maciela, leżącego w amerykańskiej klinice; jedynymi, którym pozwolono uczestniczyć w uroczystościach

pogrzebowych w Cotija de la Paz w lutym 2008 roku, dwa lata po tym, jak Maciel, ukarany przez Benedykta XVI, musiał poddać się niemal całkowitej klauzurze. Rytuał pogrzebowy, w którym wzięli udział tylko nieliczni najbliżsi, został odprawiony w ciszy, bez żadnego rozgłosu, podczas gdy echo wiadomości o jego śmierci rozbrzmiewało na całym świecie.

Meksykańscy biskupi skierowali serdeczne posłanie do najwyższych dostojników Legionistów Chrystusa. „W tak bolesnej chwili łączymy się z wami w bólu, wznosząc żarliwe modlitwy do Pana, by przyjął ojca Maciela”. Był to mały smutny kondukt, w którym mama i córka kroczyły przytulone jedna do drugiej.

Po powrocie do Hiszpanii Norma Hilda Baños wybrała

milczenie, unikając kontaktów z prasą, odmawiając udzielania wywiadów, komentowania, podgrzewania skandalu. Wciąż mieszka z dala od zgiełku w reprezentacyjnej dzielnicy Madrytu, w luksusowym trzystumetrowym apartamencie, który ojciec Maciel zostawił jej w spadku. Wydaje się, że podpisała pozasądową

umowę z kongregacją - być może jeszcze przed śmiercią męża - która gwarantuje jej dożywotnią rentę i użytkowanie kilku posiadłości. W ten sposób Norma zapewniła przyszłość sobie i córce.

Finansowe porozumienie nie zostało natomiast osiągnięte z drugą, meksykańską rodziną. Donna Blanca, w zgodzie z synami, wybrała

przeciwną drogę:
ujawnienie całej prawdy
przed opinią publiczną, co
wywołało zamieszanie
i zainteresowanie mass
mediów. Omar i Raúl, dwaj
starsi synowie, domagają się
pokaźnej części majątku
zgromadzenia, twierdząc, że
jest to mienie ojca, jak
również wysokiego
odszkodowania za
wykorzystywanie seksualne,
jakiego ofiarą padli

w dzieciństwie.

W przypadku wizerunku Legionistów Chrystusa stanowiło to kolejne zmartwienie, kłopotliwą sprawę, jak wiele innych toczących się już w sądach. Według przewodniczącego Stowarzyszenia Ofiar Legionistów Chrystusa, Emilia Bartolomé, liczba przypadków wykorzystywania

seksualnego, które można przypisać ojcu Macielowi, jest znaczna. Według jego obliczeń chłopców molestowanych na różne sposoby mogłoby być nawet dwustu. Porażający obraz, ale w pełni do udowodnienia. Watykan próbuje odsłonić prawdę, żeby uporządkować czas „po Macielu” i tak zwaną *demaciellizzazione* („demacielizację”), ale

trudności zdają się nie mieć końca. Raz po raz pojawia się jakiś nowy szczegół, który jeszcze bardziej pogrąża ojca Maciela.

„Nie można wykluczyć, że poza tymi chłopcami Maciel spłodził jeszcze po drodze inne dzieci”, komentują zatroskani ludzie z za Tybru³, ci, którzy mają jakoś uporządkować ten szalony przypadek. Słysz się poszeptywania, że

również we Francji, a może w Szwajcarii, Maciel miał jeszcze jedną córkę, która umarła jednak jako dziecko. Również dla Watykanu, a nawet dla delegata papieskiego, Velasia De Paolisa, ustalenie, co tak naprawdę się wydarzyło, jest zadaniem niezwykle skomplikowanym, o ile w ogóle możliwym.

W 2008 roku José Raúl González, jeden z synów

ojca Maciela, zburzył mur milczenia. Zebrał się na odwagę i stanął przed kamerami, by rozpocząć batalię. Batalię swojego życia. Historia opowiedziana przez niego podczas konferencji prasowej wśród zupełnie nierzeczywistej ciszy wstrząsnęła światem. Nie było mu łatwo mówić bez ogródek o człowieku, którego jako dziecko kochał,

tak jak zawsze kocha się
ojca, którego oblicze
przeobraziło się potem
w nie wiedzieć ile innych
twarzy, w tym
w drapieżnika, w wilkołaka,
w potwora: ponieważ ojciec
Maciel również jego
wykorzystywał seksualnie.
U boku José Raúla siedział
advokat Jeffrey Anderson,
amerykański prawnik, znany
z tego, że w przeszłości
bronił dziesiątek ofiar

pedofilii. José Raúl mówił z trudem, przerywając od czasu do czasu, wycieńczony wspomnieniami i emocjami. Opowiadał, że był molestowany w wieku dziesięciu lat i że taki sam los spotkał jego braciszka, Omara. Zdarzyło się to między 1987 a 1988 rokiem. Podczas podróży do Madrytu, w pokoju hotelu Holiday Inn, chłopcy pod obliczem ojca odkryli

potwora. „Ojciec mówił nam, że jego wuj kazał mu, żeby go masturbował, i on teraz chce, żebyśmy zrobili to samo. Chciał też, żebyśmy zrobili zdjęcie polaroidem. Nie wiem po co. Może pokazywał to zdjęcie innym jako materiał pornograficzny”. W swojej niewinności chłopcy spełnili jego zachciankę. A jednak Raúl w następnym wywiadzie dla

meksykańskiej telewizji opisał ojca jako troskliwego rodzica.

Tytułem odszkodowania synowie zażądali od Legionistów Chrystusa znacznej sumy: dwudziestu sześciu milionów euro, obliczonych - jak stwierdzili - na podstawie ustnych obietnic złożonych im jeszcze za życia przez ojca, który sądził, że w ten sposób zrekompensuje im

zaznane cierpienia. Maciel miał ich poinformować o funduszu w wysokości sześciu milionów dolarów stworzonym właśnie dla synów. W tekście pozwu, który mecenas Anderson złożył w jednym z sądów w Connecticut, ujawnia się, że wydatki na utrzymanie dzieci Blanki i José Raúla Rivasa zostały pokryte z pieniędzy pochodzących z Legionu Chrystusa.

Szczegół ten uznano za istotny, ponieważ pokazuje, że wśród Legionistów Chrystusa ktoś wiedział o istnieniu synów. Kto dokonywał okresowych przelewów na konto matki? Kto zajmował się zobowiązaniami bankowymi? Legioniści Chrystusa natychmiast odparli te zarzuty. Na kontrofensywę nie trzeba było długo czekać. Kobietę

i jej synów oskarżono o próbę wyłudzenia pieniędzy. W oczekiwaniu na wyrok amerykańskiego sądu sprawa Maciela w Meksyku rozwija się w kierunku skandalu politycznego. Były prezes meksykańskiego Sądu Najwyższego, Juventino Castro (zmarły w 2012 roku), zaapelował o wszczęcie przez Ministerstwo Spraw

Wewnętrznych
drobiazgowego dochodzenia
dotyczącego zgromadzenia.
Twierdził on, że istnieją
dowody pozwalające na
rozpoczęcie śledztwa,
„które mogłoby zakończyć
się zamknięciem
zgromadzenia albo
surowymi sankcjami”.

Meksyk 1979: spotkanie z Wojtyłą

O 17.58 pewnego zimowego czwartku w lutym 1979 roku samolot meksykańskich linii lotniczych wylądował na lotnisku Fiumicino. Papież Wojtyła wracał do domu ze swojej pierwszej międzynarodowej podróży. Właśnie wtedy rozpoczęła się znajomość Maciela z polskim papieżem. Jan

Paweł II był w euforii z powodu nadzwyczajnego przyjęcia zgotowanego mu w Meksyku, kraju, który w owym czasie był najbardziej antyklerykalny w całej Ameryce Łacińskiej. Państwo uznawało Kościół za ciało obce, pozbawione statusu prawnego do tego stopnia, że Wojtyła musiał przed podróżą wystąpić do władz o regularną wizę wjazdową, jak każdy

turysta. Dodatkowo musiał uzyskać prezydencką dispensę, ponieważ księża mieli zakaz poruszania się publicznie w sutannie czy innym stroju kościelnym.

Na lotnisku Fiumicino, u podnóża schodków samolotu czekali na papieża premier Andreotti, minister spraw wewnętrznych Rognoni, minister spraw zagranicznych Colombo, kardynał Villot i inni

dostojnicy. Wszystkich
zaskoczyła pełna
niepohamowanego szczęścia
reakcja Wojtyły. Było jasne,
że dzięki sukcesowi podróży
meksykańskiej otwierały się
szeroko drzwi prowadzące
do jego Polski. Medialna
i polityczna waga wizyty
w Meksyku miała zadziałać
jak wytrych, neutralizując
sprzeciwy Kremla. Papież
pragnął jeszcze raz
pomodlić się w Polsce,

odprawić mszę wśród
swojego ludu. Czuł
dojmującą tęsknotę, chciał
uścisnąć swoich bliskich,
spotkać się ze swoim
najbliższym otoczeniem, do
którego należeli znani
intelektualiści. Pragnienie,
by pojechać do Krakowa
albo do Warszawy, trapiło
go: często rozmawiał o tym
ze swoimi
współpracownikami,
z sekretarzem Stanisławem,

z przyjacielem kardynałem
Andrzejem Deskurem.
Wiedział, że jego obecność
podzielała jak źródło
ożywczego tlenu zarówno
na Polaków, jak i na inne
narody Europy Wschodniej,
tak samo ciemiężone przez
reżimy komunistyczne.
Gdyby to od niego zależało,
pierwszą podróż
międzynarodową, chętniej
niż do Meksyku, co było
swego rodzaju dziedzictwem

po Pawle VI, Jan Paweł II odbyłby do Warszawy. Ale Moskwa, poprzez swoje kanały dyplomatyczne, interweniowała, by pohamować ten entuzjazm. KPZR była bardzo zaniepokojona: efekty działania papieża, który jako kardynał ośmielił się rzucić wyzwanie reżimowi komunistycznemu w Warszawie, były nie do przewidzenia. Oczywiście

niet nie kazało na siebie czekać.

W październiku 1978 roku wybór Jana Pawła II na nowo rozpał płomyk nadziei u milionów katolików w Europie Wschodniej. Ponieważ mówiąc o Chrystusie, ten energiczny papież mógł poruszyć również ważne kwestie obywatelskie, bronić podstawowych swobód, poszanowania

ludzkich praw, a nawet postawić w trudnej sytuacji system władzy komunistycznych rządów, otwarcie je oskarżając. Mógł to uczynić, zwracając się do wszystkich bezpośrednio, jako że mówił płynnie w ośmiu językach, w tym po rosyjsku. Władze Kremla, świadome potencjalnego zagrożenia, rozważały z obawą możliwe reperkusje, przygotowując

badania i analizy, domagając się raportów od tajnych służb. Obawiały się, że utracą kontrolę nad masami. Toczyła się bardzo poważna rozgrywka.

Tamtego dnia na lotnisku Fiumicino wszyscy obecni natychmiast zauważyli euforię papieża. Wylądował podekscytowany, nie dostrzegł nawet silnego wiatru, unoszącego jego białe szaty. „To było wielkie

doświadczenie. W Meksyku istnieje głęboka identyfikacja i związek między ludźmi a Kościołem, mimo że funkcjonuje on tam w warunkach ograniczeń, nielegalności, niesprawiedliwości”, powiedział.

W gruncie rzeczy mniej więcej tak samo wyglądała sytuacja w Polsce. Wysięk owych siedmiu gorących dni spędzonych między stolicą

kraju, Meksykiem, a Pueblą, konieczność napisania i przejrzania ponad dwudziestu przemówień (w wielu z nich papież pozostawił miejsce na improwizację, mówiąc do tłumu z głowy), kilometry przejechane w samochodzie, spotkania z biskupami, z Indianami, z władzami lokalnymi, z duchownymi – cały ten wysiłek zdawał się nie zostawić śladu na jego

obliczu. Papież Wojtyła promieniał. „Ojcze Święty, następna podróż będzie do Polski, zobaczy Ojciec”, dodawali mu otuchy obecni przy powitaniu przedstawiciele władz. Przedsięwzięcie nie było oczywiście proste, ale pomocą w podjęciu tej gry był właśnie wielki sukces medialny podróży do Meksyku. Globalny sukces, który trudno było

zlekceważyć. Dokonała się międzynarodowa konsekracja Jana Pawła II, przywódcy miliarda katolików na świecie, i okazała się ona opatrnościowa. Warszawie i Moskwie byłoby bardzo trudno nadal uniemożliwić głowie Kościoła katolickiego przyjazd i otoczenie ramionami milionów rodaków w Polsce. Właśnie ów triumf medialny

przyczynił się do
zwiększenia politycznej
rangi papieża.

Biały Dom obserwował
z oddali
i z zainteresowaniem to
zjawisko. Jan Paweł II
dokonał wyłomu
w najbardziej
antyklerykalnym
(masońskim) kraju Ameryki
Łacińskiej. Było
prawdopodobne, że to samo
mogło się wydarzyć we

wschodniej Europie.

To w czasie tej podróży, na tej niezapomnianej trasie, papież spotkał ojca Maciela, którego postać okazała się kluczowa dla powodzenia tego przedsięwzięcia. Ten już niezwykle wpływowy meksykański ksiądz dostał zadanie przygotować wizytę papieską. Niejako zza kulis kierował całą organizacją pobytu Ojca Świętego,

gotowy na rozwiązywanie
każdego logistycznego
problemu. A takich
trudności podczas
przygotowywania wizyty
papieskiej pojawiło się
sporo, gdyż w owym czasie
Meksyk nie utrzymywał ze
Stolicą Apostolską nawet
regularnych stosunków
dyplomatycznych. Wszelkie
przeszkody zniknęły jednak
jak za dotknięciem
czarodziejskiej różdżki

dzięki mediacjom ojca Maciela i powiązaniom, jakie miał z elitą kraju. W oczach Jana Pawła II założyciel Legionistów Chrystusa przemienił się szybko w męża opatrnościowego. Z kolei dla ojca Maciela była to okazja, którą należało jak najszybciej wykorzystać. Wyróżnić się w taki sposób oznaczało zdobyć uznanie i zaufanie w najbliższym

otoczeniu papieża, żeby stać się potem głównym współtwórcą meksykańskiego sukcesu Jana Pawła II.

Maciel miał świadomość, że z tych kontaktów będzie na pewno czerpał korzyści w przyszłości. W Rzymie przyjaźnie się liczyły, dobra pozycja w kręgu papieskim oznaczała glejt w kieszeni, coś w rodzaju przepustki pozwalającej neutralizować

wszelkiego rodzaju niechęci
czy wrogość. A biorąc pod
uwagę jego niezbyt jasne
posunięcia i zuchwałe
działania, mogło się to
okazać bardzo przydatne.
Zresztą on pierwszy zdawał
sobie sprawę z negatywnych
głosów na swój temat
w Kurii; prawdopodobnie
pogłoski te nigdy nie
przystały przenikać do jego
środowiska, mimo
umorzenia starego

dochodzenia dotyczącego narkomanii; chodziło o sprawę z końca lat pięćdziesiątych. Maciel zrobił wszystko, żeby została ona zatuszowana i zapomniana jako błąd młodości.

Celem ojca Maciela było zatem bez wątpienia wkraść się w łaski nowego papieża. Związek ten miał się okazać cenny również dla jego wciąż rozrastającej się

kongregacji. Miał osłonić Legionistów Chrystusa od przeciwnych wiatrów wiejących z Tybru, a także z Meksyku, gdzie zarówno niektórzy biskupi, jak i jezuici nie tracili żadnej okazji, by skarżyć się Rzymowi na dziwne i niewłaściwe zachowanie tego nieco snobistycznego księdza. Uwagi ojca Maciela nie uchodziło, że musi liczyć na kilku protektorów

w pałacach Stolicy Świętej,
aby odeprzeć różnego
rodzaju podejrzenia, jakie
nad nim ciążyły.

Ludzie próbujący go
oczernić zawsze opisywali
go jako osobę pozbawioną
skrupułów i ambitną,
niezwykle zręczną
w pozyskiwaniu sympatii
w kręgach
międzynarodowych elit,
a także w gromadzeniu
finansowych zasobów

pozwalających na rozwój kongregacji. Płynęły tam rzeki pieniędzy. Spotykał się z najbardziej konserwatywnymi kręgami Ameryki Łacińskiej, wśród których udawało mu się rozpowszechnić przekonanie, że Legioniści Chrystusa stanowią cenne narzędzie służące do zahamowania komunizmu rozprzestrzeniającego się już po całym kontynencie.

W konsekwencji rządy latynoamerykańskie postrzegały legionistów jako stowarzyszenie, na które można było liczyć w utrzymaniu porządku społecznego. Jako na zaufany czynnik w niepewnej sytuacji politycznej.

Również nie uszło ich uwagi, że ojciec Maciel w swoich kazaniach mieszał Ewangelię z polityką, tępiąc

stanowczo idee teologii
wyzwolenia, nurtu
teologicznego, który -
biorąc za punkt wyjścia
radykałność postaci
Chrystusa - bardzo szybko
nawiązał bliski kontakt
z polityką, a z czasem wręcz
popadł w ekstremizm.
Maciel miał obsesję na
punkcie ofensywy
komunizmu - od Kuby po
Nikaragwę - i często można
było usłyszeć, jak otwarcie

oczernia najbardziej
postępowych teologów
i jezuitów, których uważał
za swoich odwiecznych
wrogów, do tego stopnia, że
uznawał działalność
Towarzystwa Jezusowego
za szkodliwą dla moralnej
kondycji społeczeństwa.
Niezmordowanie ostrzegał
swoich rozmówców przed
spiskami, które
komunistyczny moloch jest
w stanie podsycać. Była to

wizja granicząca z paranoją. Te przemowy czyniły go szczególnie atrakcyjnym w oczach meksykańskiej klasy rządzącej, a szerzej, w oczach dyktatorskich reżimów kontynentu latynoamerykańskiego, szukających przystani wewnątrz Kościoła. Również z tego powodu Legioniści Chrystusa zyskali bardzo szybko sympatię i wsparcie finansowe wielu

rządów, co pozwoliło na realizację licznych projektów społecznych, zakładanie szkół, uniwersytetów i seminariów.

Już wtedy zgromadzenie prezentowało się jako bardzo żywotne. Rosła liczba członków, w stałym rytmie pojawiały się nowe powołania, powstawały placówki edukacyjne. Nie można było tego nie

dostrzec. W latach siedemdziesiątych statystyki powołań, z którymi mogli się zapoznać prefekci Kongregacji ds. Instytutów Życia Konsekrowanego i Kongregacji ds. Duchowieństwa, były co najmniej deprymujące. Kościół musiał się mierzyć z nieustannym odpływem krwi.

Wielu duchownych należących do ważnych

zakonów, od jezuitów po karmelitów, od dominikanów po franciszkanów, porzuciło stan kapłański, ponieważ nie potrafili oni pogodzić ślubów z osobistymi aspiracjami. Wielu z nich wstąpiło w związki małżeńskie, inni zajęli się polityką. Wiatr 1968 roku wiał mocno. O kolejne troski przyprawiali Watykan księża rewolucjoniści, młodzi kapłani, którzy

w obliczu politycznej opresji i niesprawiedliwości społecznej wybierali bunt, chwytając nawet za broń. Zafascynowani ideologią marksistowską i teologią wyzwolenia, stawali u boku zbrojnego ruchu oporu w wielu krajach, by zwalczać dyktaturę. W tak skomplikowanych czasach odpływu powołań i kontestacji wywołanych wydarzeniami 1968 roku

istnienie zgromadzeń
religijnych zdolnych
pozyskiwać nowe powołania
i zapełniać seminaria
zmotywowanymi młodymi
adeptami stanowiło dla
Watykanu zjawisko
pozytywne i godne poparcia.

Już w latach
siedemdziesiątych
w domach Legionu postać
Maciela była obiektem
kultu, przykładem do

naśladowania. Uznawano go za wybrańca Boga. Osiągnął sukces, miał charyzmę i potrafił zauroczyć swoich rozmówców. Seminarzyści mówili o nim jak o wzorze świętości. Silna osobowość ojca Maciela porywała wszystkich: utrzymywał bliskie stosunki z wieloma możnymi tego świata, uosabiał kapłańską doskonałość. Nawet antyklerykalny ówczesny

prezydent Meksyku, José López Portillo, chwalił go publicznie, wyrażając uznanie dla jego zalet, bez wątpienia pod wpływem entuzjastycznych opinii swojej matki, a przede wszystkim sióstr, które współpracowały z Regnum Christi, świeckim odgałęzieniem zgromadzenia Legionistów Chrystusa. Obie panie odwiedzały regularnie ojca

Maciela i wprost go ubóstwiały. Ich bratu, prezydentowi, nie brakowało zatem nigdy wiadomości z pierwszej ręki: obie siostry z przejęciem dzieliły się z nim swoimi doświadczeniami.

W pałacu prezydenckim często o nim rozmawiano, można wręcz powiedzieć, że należał on do najbliższego kręgu rodzinnego. Wpadał

na obiad albo kolację, ale także w sprawach dotyczących pracy, ponieważ jedna z sióstr Portilla była jego sekretarką. Związki z siostrami prezydenta okazały się niezwykle pożyteczne, zwłaszcza jako pomoc przy pokonywaniu przez Maciela różnych przeszkód natury biurokratycznej i organizacyjnej podczas

przygotowań do skomplikowanej wizyty papieskiej. Mediacje obu dam odgrywały decydującą rolę. Były wysłuchiwane, a *moral suasion*, presja moralna, jaką wywierały na brata, by go uwrażliwić, miała znaczenie rozstrzygające. Wizyta papieża stała się czymś w rodzaju sprawy rodzinnej. Panie „oliwiły” zacinające się mechanizmy i to, co

wydawało się początkowo niemożliwe albo było z mocy prawa Kościołowi meksykańskiemu zabronione, teraz stawało na porządku dziennym i znajdowało rozwiązanie w zaciszu domu prezydenckiej rodziny.

I tak - choć w Meksyku prawo zakazywało duchownym pokazywać się publicznie w szatach liturgicznych - dzięki

interwencji prezydenckiej dla Jana Pawła II zrobiono wyjątek. W przeciwnym razie papież nie mógłby nawet celebrować mszy w białej sutannie. Ale José López Portillo słuchał sióstr, zastanawiał się nad problemem, a potem przekonywał o użyteczności takiego politycznego gestu otwarcia i przekazywał swoje polecenia rządowi i współpracownikom. W ten

sposób wyciszone zostały nawet protesty najbardziej antyklerykalnego w rządzie ministra spraw zagranicznych, jawnie wrogiego wizycie papieża.

Jedynym podtrzymanym sprzeciwem była decyzja o nienadawaniu wizycie Jana Pawła II rangi wizyty państwowej. W praktyce, aby postawić nogę w stolicy Meksyku, papież musiał ubiegać się o wizę

turystyczną jak każdy inny odwiedzający. Ni mniej, ni więcej. Wymóg ten wywołał oczywiście dreszcz niepokoju u dyplomatów z Sekretariatu Stanu Stolicy Apostolskiej: coś podobnego nigdy wcześniej się nie zdarzyło i oznaczało brak szacunku dla osoby Ojca Świętego, który był przecież głową obcego państwa. Jednak Jan Paweł II tym się nie przejął. Bez problemu

przystał na ten warunek:
gra była warta świeczki,
i zachęcił swoich
dyplomatów do wykazania
się realizmem
i dalekowzrocznością.

Tymczasem ojciec Maciel
szykował się, by stawić
czoła różnym wyzwaniom
organizacyjnym, a także
osobiście nadzorować
potężną machinę medialną.
Zwrócił się o pomoc do
starego przyjaciela,

właściciela konsorcjum
Televisa, ogromnej sieci
obejmującej cały
hiszpańskojęzyczny obszar
kontynentu
amerykańskiego. On
również należał do zastępu
potentatów hojnie
wspierających działalność
Legionistów Chrystusa.
Przygotowany plan był
drobiazgowy i szeroki,
a rezultaty okazały się
nadzwyczajne. Medialny

rozgłos na całą Amerykę
Łacińską doprowadził do
istnej apoteozy Wojtyły.
Bezpośrednie transmisje
i specjalne serwisy
przeplatały się ze sobą
przez całą dobę. Papież non
stop. Dzięki temu
„bombardowaniu”,
koordynowanemu przez ojca
Maciela, wydarzenie
przeszło do historii,
przyciągając uwagę całego
świata. Miliony siedziały

dosłownie przyklejone do telewizorów. Oglądalność osiągnęła apogeum. Każdy gest, każde przemówienie stawały się materiałem do snucia refleksji na skalę globalną. Uwaga, jaką politycy skupiali na osobie Karola Wojtyły, rosła z dnia na dzień i przekraczała granice, zarażając również tych, którzy deklarowali swój dystans wobec Kościoła.

Polski papież, który w tak antyklerykalnym kraju jak Meksyk, mówiąc o Chrystusie, wprowadził w zachwyt cały naród na przekór obowiązującym prawom, stawał się zagrożeniem. Dla młodych na całym świecie Jan Paweł II przetrząsał się w fenomen, który warto było obserwować. Analitycy i dyplomaci zaczęli o nim mówić w swoich

sprawozdaniach. Według Stanów Zjednoczonych antykomunistyczna postawa Jana Pawła II miała uchronić Kościół latynoamerykański przed filozofią marksistowską. Nie wspominając o tym, że ten żywołowy i wysportowany papież był urodzonym liderem, zdolnym pociągnąć za sobą oceaniczne tłumy.

Obraz tamtych dni zrobił olbrzymie wrażenie na

wszystkich rządach. W niedzielę 28 stycznia 1979 roku, kiedy Jan Paweł II ruszył w stutrzydziestoośmiokilome podróż ze stolicy Meksyku do Puebli, uwielbienie sięgnęło zenitu. Wzdłuż autostrady, niemal na całej długości przejazdu ustawily się nieprzebrane tłumy wiwatujących ludzi. I to wszystko w antyklerykalnym kraju. Dwa ludzkie orszaki

długości ponad stu kilometrów każdy, po prawej i po lewej stronie drogi. Coś podobnego nie zdarzyło się nigdy wcześniej ani w Meksyku, ani w żadnym innym kraju. Na ulice wylegli masowo nie tylko mieszkańcy stolicy należący do wszystkich warstw społecznych i wszystkich pokoleń, ale również setki innych obywateli, którzy napływali

z okolicznych miasteczek,
z obszarów wiejskich
położonych w głębi kraju,
zewsząd. Docierali, jak się
dało. Pieszo, rozpadającymi
się wozami, zdezelowanymi
furgonetkami, konno.
Wszyscy razem czekali na
przejazd papieskiej
kolumny, cierpliwie, stojąc
nieruchomo pod palącym
słońcem. Wrażenie było
oszałamiające, wielki
mieszmasz w katolickim

sosie: Indianie
w tradycyjnych strojach
wymieszani z Metysami;
mężczyźni i kobiety
z dziećmi na rękach,
wiwatująca młodzież
z transparentami: „Viva el
Papa”, „Viva la Virgen de
Guadalupe”, biedni i bogaci,
ludzie wykształceni i prości,
rewolucjoniści
i konserwatyści.
Nadzwyczajna mieszanka.
Bardziej niż potęga Kościoła

rzucała się w oczy charyzma Jana Pawła II. Stanowiło to też dowód na to, że żadne przepisy nigdy nie stłumią tradycji religijnych czy też zwyczajów narodu, przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Było to wspólne żądanie prawa do wolności religijnej.

W Meksyku zbiorowe uniesienie związane z wizytą polskiego papieża przeciągnęło się na kolejne

dni. Poświęcana mu uwaga trwała w wyniku medialnej presji podtrzymywanej cały czas w tle. Grupa Legionistów Chrystusa, ekspertów od komunikacji, niosła pomoc zagranicznym dziennikarzom. Wszyscy pracowali nieprzerwanie na z góry założony rezultat: dobry wynik papieskiej wizyty.

Tak ojciec Maciel zyskał trwałą wdzięczność

polskiego papieża. Ten, kto należał wówczas do papieskiej świty, pamięta ciekawe szczegóły pozwalające zrozumieć, jak ważną rolę odegrał założyciel Legionistów Chrystusa i jak bardzo go ceniono. Ojciec Maciel potrafił rozwiązać każdy problem, dotyczący na przykład wydatków Kościoła, logistyki, przemieszczania się,

bezpieczeństwa. Wszystko. Ponieważ lokale przeznaczone dla delegacji apostolskiej okazały się niewystarczające, by przyjąć całą papieską świtę złożoną z dziesiątek osób, kardynałów i biskupów, mistrzów ceremonii, rzecznika prasowego, gwardii, osobistego lekarza, dziennikarza „L'Osservatore Romano”, fotografa, wielu więc zaproponowano

gościńę w prywatnych domach, zaoferowanych uprzejmie przez zamożnych przyjaciół ojca Maciela. Papież zamieszkał oczywiście w siedzibie arcybiskupstwa wraz z osobami z najbliższego otoczenia i osobistym lekarzem, natomiast pozostałych skierowano do okolicznych kwater. Na przykład korespondenta „L'Osservatore Romano”

przyjął bardzo bogaty pan, który otworzył szeroko przed gośćmi podwoje swojej iście książęcej willi. Rezydencja ozdobiona była marmurowymi kolumnami i wyposażona w kanapy obite brokatem, zabytkowe meble, cenne kolekcje, ale przede wszystkim w basen z podgrzewaną wodą, umieszczony pośrodku głównego salonu na wzór willi rzymskich.

Praca, którą założyciel Legionistów Chrystusa wykonał w tamtych dniach, pozostała na zawsze w pamięci Jana Pawła II. Obecność ojca Maciela okazywała się decydująca. Zbliżał się do papieskiego otoczenia, nie wychodząc jednak nigdy z roli pomocnika. W razie konieczności kontrolował, ale stanowczą ręką zarządzał machiną

organizacyjną Legionistów
Chrystusa zza kulis.

Jego koordynacja
medialna dała tak dobre
rezultaty, że otrzymał
propozycję współpracy
podczas kolejnych podróży
papieskich do Meksyku. Ta
ziemia droga Indianom
i katolikom z Ameryki
Łacińskiej, siedziba
największego sanktuarium
maryjnego na świecie
poświęconego Matce

Boskiej z Guadalupe, stała się idealną bazą do szerzenia duszpasterskich posłań na całym kontynencie latynoamerykańskim. To właśnie dlatego Jan Paweł II wrócił do Meksyku jeszcze cztery razy. Po 1979 roku chciał powtórzyć to doświadczenie w 1990 roku, aby beatyfikować męczenników z Tlaxcala, kapłana żyjącego pod koniec XIX wieku oraz Indianina

Juana Diega, w sanktuarium
Matki Boskiej z Guadalupe.

Papież zatrzymał się
w Meksyku na krótki, ale
ważny przystanek trzy lata
później, w drodze z Jamajki
do Stanów Zjednoczonych.
Następnie, w 1999 roku,
stolica Meksyku stała się
znów teatrem ważnego
przemówienia skierowanego
do całej Ameryki Łacińskiej,
mającego na celu
zilustrowanie dokumentu

Ecclesia in America,
opracowanego na podstawie
wskazówek
przedstawionych przez
biskupów z Ameryki
Północnej i Południowej
podczas synodu, który odbył
się w 1997 roku
w Watykanie. W końcu,
latem 2002 roku, Jan
Paweł II, mimo słabego
stanu zdrowia, po wizycie
w Kanadzie na Światowych
Dniach Młodzieży oraz

w Gwatemali, postanowił zatrzymać się jeszcze dwa dni w Ameryce Łacińskiej, tym razem, by kanonizować błogosławionego Juana Diega. Wojtyła uważał Meksyk za swoją latynoamerykańską bazę, a ojciec Maciel stał się jego przewodnikiem po tej ziemi. Założyciel Legionistów Chrystusa regularnie doradzał papieżowi, kiedy ten planował wizyty

w Ameryce Łacińskiej. Jan Paweł II słuchał z zainteresowaniem opinii ojca Maciela i brał je pod uwagę. Wiedział, że Legioniści Chrystusa byli dobrze zakorzenieni na tym terytorium, zorganizowani i przygotowani. Mogli mu być pomocni: wystarczyło, by ich założyciel dał tylko znak, a potężna machina natychmiast zostałaby uruchomiona.

Co sprawiło, że ojciec Maciel znalazł się w najbliższym otoczeniu papieża? Meksykańskie dni owego odległego stycznia 1979 roku rozpały serce Jana Pawła II. Ostatnim akordem było pożegnanie papieża przed powrotem do Rzymu, kiedy siedział już w samolocie. Miliony Meksykan, właściwie poinstruowanych przez radio i telewizję,

zaopatrzyło się w lusterka i o stosownej godzinie, gdy papieski samolot wznosił się już wysoko nad stolicą, stojący na dachach, na ulicach, w oknach domów lub na balkonach ludzie zaczęli odbijać promienie słońca, posyłając światło do nieba, aż utworzyło ono olbrzymią mozaikę małych refleksów, dobrze widocznych z pokładu samolotu. Pasażerowie

tamtego lotu doskonale
pamiętają owo
niewiarygodne,
scenograficzne pożegnanie,
nigdy wcześniej
niewidziane. Światło
połyskiwało, tworząc
niezwykłą choreografię dla
entuzjazmu papieża Wojtyły,
który nie musiał się nawet
domyślać, kto był
pomysłodawcą tej
fantastycznej gry światła.
Wiedział, że jeszcze raz

musi podziękować ojcu Macielowi. Podczas lotu powrotnego papież szepnął do swojego osobistego sekretarza: „Jeśli teraz przyjmują mnie w taki sposób w Meksyku, kraju tak bardzo antyklerykalnym, jak będą mi mogli odmówić przyjazdu do Polski? Czy władze komunistyczne będą mi mogły powiedzieć »nie«?”. Nie, teraz Kreml z trudem mógłby mu

zabronić, by przemówił do polskich wiernych.

Kilka miesięcy później Wojtyła postanowił odprawić mszę w ogrodach watykańskich tylko dla Legionistów Chrystusa, chcąc wyrazić wdzięczność ojcu Macielowi i całej jego kongregacji. Wyjaśnił obecnym, że jego pragnieniem było powtórnie przeżyć sukces tamtych dni

z tymi, którzy umożliwili tę podróż. Dwudziestego ósmego czerwca 1979 roku w blasku słońca w ogrodach watykańskich pojawili się seminarzyści, którzy mieli swoją siedzibę na via Aurelia, w głównym domu zgromadzenia. Wojtyła był pod wrażeniem, trudno bowiem było zobaczyć tak wielu równie pięknych i schludnych seminarzystów, wszystkich w długich

sutannach, starannie
uczesanych, świetnie
ułożonych i uśmiechniętych.
Mieli arystokratyczną
prezencję, byli smukli,
o znakomitej postawie,
zgodnie z żelaznymi
zasadami Legionu. „Wiem,
że jest wśród was wielu,
którzy podczas mojego
pobytu w Meksyku użyczyli
swojej hojnej
i entuzjastycznej pomocy
delegacji apostolskiej”,

powiedział papież. W ten sposób chciał również dać do zrozumienia Kurii, że Legionistów Chrystusa należy wyróżnić za wielkie zasługi. Legioniści dokonali wreszcie skoku jakościowego: stali się częścią najściślejszego kręgu papieża. Podczas kolejnych podróży do Meksyku ojciec Maciel był zawsze przyjmowany na pokład papieskiego samolotu

jako faktyczny członek delegacji. Cieszył się już nieograniczonym zaufaniem.

Ta praktyka została przerwana dopiero w 2002 roku, przy okazji piątej i ostatniej podróży do stolicy Meksyku. Obecność założyciela Legionistów Chrystusa, którego reputacja została już mocno nadszarpnięta, stworzyłaby problemy wizerunkowe Kościołowi i papieżowi.

Sytuacja stała się kłopotliwa. Oskarżenia o pedofilię krążyły już w amerykańskiej prasie. Nawet tak doświadczonemu rzecznikowi, jakim był Joaquín Navarro-Valls, trudno było odeprzeć te zarzuty, stawić czoło coraz bardziej uciążliwym i natarczywym pytaniom dziennikarzy, którzy chcieli dowiedzieć się czegoś o ewentualnych sankcjach

kanonicznych wobec ojca Maciela. Czy papież wie? Czy sprowadzi go do stanu świeckiego? Czy wciąż mu ufa?

W otoczeniu papieskim nadal panowało niedowierzanie. Oskarżenia wydawały się nieprawdopodobne i niektórzy sugerowali, żeby tylko chwilowo ograniczyć obecność ojca Maciela u boku papieża,

w oczekiwaniu, aż burza
medialna ucichnie;
wpływowy sekretarz
papieża, Stanisław, był
pośród tych, którzy
odradzali dawanie wiary
tym pogłoskom, według
niego oszczerczym,
rozgłaszanym uporczywie
przez niektóre
amerykańskie gazety. Dla
rzeczników jego niewinności
ojciec Maciel pozostawał
wciąż wybitnie zasłużonym

księdzem z powodu tego, czego dokonał na świecie dla dobra Kościoła oraz z uwagi na pozyskane na nowo powołania kapłańskie. Z wielu miejsc wypowiedziano jeszcze pod jego adresem słowa uznania. Legioniści Chrystusa wciąż przyciągali liczne dusze, przede wszystkim w Ameryce Łacińskiej, i w ten sposób równoważyli załączki teologii wyzwolenia, tego

teologicznego odstępstwa,
które nigdy nie podobało się
meksykańskiemu księdzu ani
Janowi Pawłowi II.

Pakt antykomunistyczny

Zagrożenie komunistyczne bardzo niepokoiło papieża Wojtyłę. Dobrze wiedział, do czego doprowadziłaby ofensywa marksizmu w Ameryce Łacińskiej. Nie miał w tej kwestii wątpliwości. Jako ksiądz, potem biskup, a jeszcze później kardynał, doświadczył surowości

reżimu, trudności Kościoła w swobodnym wypełnianiu swojej misji. Szpiegowały go nawet polskie tajne służby, uznając go za wroga systemu. Załączki marksizmu, które wnikały do teologii i umacniały się coraz bardziej na katolickich uniwersytetach Ameryki Łacińskiej, mogły go tylko zasmucać. Dlatego przed podróżą do Meksyku, by stworzyć sobie

kompletny obraz tego skomplikowanego problemu, który dotykał całego Kościoła, radził się biskupów, czytał raporty dyplomatyczne, spotykał się z intelektualistami i politykami z różnych krajów. Często dyskutował na ten temat przy stole z gośćmi, których zapraszał na obiad albo kolację do Pałacu Apostolskiego. Byli to starzy przyjaciele, będący

przejazdem w Rzymie, prałaci, ale dużo częściej profesorowie, ekonomiści, ambasadorzy. Byli jego oknem na świat. Zdarzało się dziesiątki razy, że również z ojcem Macielem rozmawiał o komunistycznym naporze, któremu ulegały wspólnoty katolickie w Meksyku, Argentynie, Chile, Brazylii. Chętnie się z nim zgadzał, słuchając jego opowieści,

doceniając doświadczenie,
dzieląc ten sam niepokój
dotyczący przyszłości
Kościoła w Ameryce
Łacińskiej. Ideologia
marksistowska zapuszczała
korzenie wszędzie,
zyskiwała prozelitów
w cieniu dzwonnicy, czasem
nawet z błogosławieństwem
samyh biskupów, którzy
przyglądali się pobłaźliwie
zjawisku upolitycznienia
kleru. Właśnie to zagrożenie

należało według Rzymu
rozbroić. Papież był w tym
względzie niewzruszony.
Mawiał, że należy
skorygować zły kierunek,
jaki przyjęły badania
teologiczne. Twierdził, że
głos Pana musi jak
najdonośniej rozbrzmiewać
z ambony: Kościół
Chrystusowy miał zadanie
bronić z całą mocą praw
człowieka i biednych mas,
jako że różnice społeczne

były niedopuszczalne i widoczne dla wszystkich; jednak papież uważał za pilne odizolowanie pewnych nurtów myśli teologicznej, ponieważ zanieczyszczały one Ewangelię historycznym materializmem.

Dyktatorskie reżimy, kierowane przez generałów lub polityków, którzy - choć deklarowali się jako katolicy - rządili twardą ręką, odbierając ludziom

podstawowe prawa, czyniły sytuację jeszcze bardziej skomplikowaną i dramatyczną. Uciekanie się do tortur w różnych krajach stało się powszechną praktyką. Kto ośmielił się domagać choć minimum swobód, był wtrącany do więzienia, czasem zabijany, a los ten nie oszczędzał nawet księży, którzy wypowiadali się głośno w obronie praw

człowieka. Wojtyła potępiał
przemoc, ale sprzeciwiał się
upolitycznieniu Ewangelii.
Pewnego dnia, mówiąc
z głowy podczas jednej
z wielu audiencji dla
kardynałów, stwierdził
stanowczym głosem, że
należy ustalić, czym jest
„socjalizm i jego wersje.
Wersja ateistyczna nie jest
zgodna z zasadami
chrześcijańskimi,
z chrześcijańską wizją

świata, z prawami człowieka, a zatem nie może być akceptowana”.

A jednak marksistowska analiza rzeczywistości była coraz bardziej rozpowszechniona na uniwersytetach. Większość teologów śledzących ten nurt, na czele z Leonardem Boffem i Gustavem Gutiérrezem, pochodziło ze środowiska, w którym biskupi w większości byli

przychylni wojskowym
juntom. Nawet
w najwyższych władzach
episkopatów niektórzy
uznawali te rządy za
mniejsze zło, które należy
tolerować, ponieważ
stanowi tamę dla zła
większego, choć koalicja
między ołtarzem a juntami
na pewno nie dawała się
pogodzić
z ustaleniami II Soboru
Watykańskiego, a tym

bardziej nie odzwierciedlała modelu Kościoła opisanego w encyklice *Dignitatis humanae*.

Dylemat, przed którym stawał polski papież, był niebagatelny. Jan Paweł II zastanawiał się nad tym, w jaki sposób Kościół może się zajmować niesprawiedliwościami, dotyczącymi społeczności Ameryki Łacińskiej, nie wpadając przy tym

w pułapkę walki klasowej,
pojmowanej jako motor
działania historii.
Z własnego doświadczenia
wielu lat przeżytych
w kraju, w którym panował
reżim komunistyczny, znał
szkody, jakie wyrządziło to
społeczeństwu. Problem nie
dotyczył zatem samego
celu - obrony praw
człowieka - ale
zastosowanych środków
oraz nurtów teologii

wyzwolenia, które prowadziły do upolitycznienia w podejściu do Słowa Bożego, zmieniając jego zasięg.

Właśnie w Meksyku, podczas podróży w 1979 roku, na Konferencji Generalnej Episkopatu Latinoamerykańskiego odbywającej się w Puebli, Jan Paweł II chciał wyjaśnić pewne kwestie. Lektura Ewangelii przez pryzmat

ideologii uniemożliwia
autentyczne chrześcijańskie
wyzwolenie. Należy
odrzuć obraz Jezusa
„zaangażowanego
politycznie, który walczy
z dominacją rzymską
i przeciwko „możnym”,
w powiązaniu z walką
klasową. Odsunąwszy na
bok ideę „wywrotowca”
z Nazaretu, papież Wojtyła
podczas podróży
meksykańskiej podkreślał

konieczność stworzenia
wewnątrz Kościoła kultury
zdolnej przeciwstawić się
ideologii poprzez ścisłe
przestrzeganie doktryny.
Marksizm nie może być dla
teologii chrześcijańskiej
tym, czym Arystoteles stał
się dla Tomasza z Akwinu:
wizja człowieka jest
nieadekwatna i pomnaża
„błąd antropologiczny”
ideologii ateistycznych.
Kościół powinien

przeciwwstawić „prawdę człowieka stworzonego na obraz i podobieństwo Pana, niedającego się sprowadzić do cząstki natury albo do jednego z wielu pierwiastków ludzkiego miasta”.

Nowy papież bardzo szybko zdał sobie sprawę, że w Ameryce Łacińskiej należało dokonać odnowy episkopatów, aby wypenić

chwasty. Konieczne było
uprzywilejowanie
kandydatów z mniejszą
skłonnością do polityki,
odporniejszych na
przyciąganie teologii
wyzwolenia i bardziej
przestrzegających doktryny.
Wezwanie papieża Wojtyły
wyrażone w Puebli było
kategoryczne: „Jesteście
kapłanami, nie zaś
przywódcami społecznymi
czy politycznymi władzy

świeckiej. Rząd doczesny może się łatwo stać źródłem podziałów, a tymczasem kapłan powinien być czynnikiem łączności i braterstwa". Sytuacja w całej Europie Wschodniej nauczyła papieża, że nieostrożnością jest pozostawienie spraw ich biegowi, że nie ma czasu do stracenia, że błędem byłoby okazywanie pobłażliwości. Jan Paweł II gruntownie się

przygotował do tego tematu, czytając publikacje polskiego Stowarzyszenia „PAX”, katolickiego ruchu współpracującego z komunistami, który zrzeszał w swoich szeregach wielu duchownych. Przeczytał również na nowo prace Gutiérreza. Europa była wciąż jeszcze podzielona: z jednej strony wpływy ZSRR, z drugiej USA,

zgodnie z ustaleniami
poczynionymi w Jałcie.
Wojtyła zastanawiał się nad
przyszłością komunizmu.
Było to prawdziwe
utrapienie. Czy zacznie się
cofać, czy można go
pokonać, czy też będzie
kontynuować swoją
ofensywę? Kardynał Alfonso
López Trujillo, były
arcybiskup Medellín, zmarły
kilka lat temu
ultrakonserwatysta,

przywołał napięcia owych lat, opowiadając o tym, że troską Jana Pawła II było stawienie czoła ruchom marksistowskim, które rozwijały się w Kościele latynoamerykańskim.

Chodziło o działające w Nikaragui Centrum Valdivieso, o ośrodek jezuitów z Uniwersytetu Środkowoamerykańskiego (UCA) w Salwadorze, o Centrum Gumilla

w Caracas w Wenezueli,
o ośrodek myśli teologicznej
w Meksyku, Konfederację
Szkół Prywatnych (CNEP)
w Bogocie w Kolumbii,
Centrum Diego de Medellín
w Santiago de Chile. Były to
środowiska akademickie
i teologiczne, z których
rozprzestrzeniały się ruchy
rewolucyjne. Jedno pytanie
dręczyło polskiego papieża:
a jeśli, po Europie
Wschodniej, również

Ameryka Łacińska wpadnie w ręce komunizmu? Kuba była przykładem, że takie ryzyko istnieje.

W tym kontekście Legioniści Chrystusa odznaczyli się rygorem i wiernością tradycji. Wyróżniali się spośród wszystkich ruchów zaproponowanym modelem duszpasterstwa: nieskazitelnym z punktu widzenia doktryny, ale

jednocześnie
zaangażowanym społecznie
poprzez świeckie
odgałęzienie Regnum
Christi. Jednak środowisko,
w którym działali, oddalone
było lata świetlne od
rewolucyjnej ścieżki teologii
wyzwolenia. Maciel wciąż to
powtarzał. Podczas częstych
podróży do Rzymu
informował na bieżąco
Kurię, przedstawiając
zakulisowe zmowy i wciąż

czyhające spiski. Według relacji jego byłych współpracowników „był zaciekle antykomunistą”. Ojciec Maciel próbował jednak uspokoić swoich rozmówców co do przyszłości, twierdząc, że istnieje recepta przeciwko złu. Jego zdaniem priorytetową strategią Kościoła powinno być zjednywanie elit, to znaczy ewangelizowanie klas

rzządzających. Po osiągnięciu tego celu łatwiej byłoby później trafić do mas. Wnikając do zamożnych grup społecznych, wchłaniając tych, którzy trzymają stery władzy, Kościół mógłby na pewno schodzić ze swoją działalnością do niższych warstw społeczeństwa.

Papież Wojtyła otrzymywał na bieżąco raporty dyplomatyczne

przysyłane przez nuncjuszy rezydujących w Meksyku, Kolumbii, Chile, Nikaragui, Salwadorze, Argentynie, Peru, Brazylii. Każdy z nich opisywał szczegółowo burzliwą sytuację społeczną i coraz mniej podlegającą kontroli wspólnotę katolicką. Jak już wspomnieliśmy, nawet księża porzucali stan kapłański, żeby przyłączyć się do guerrilli! Papież

Wojtyła usilnie podkreślał kwestię posłuszeństwa, wspierając wszystkie projekty, które zamknęłyby drogę wszelkim ideom rewolucyjnym wypracowywanym przez wiele ośrodków teologicznych. We wspólnej walce mającej położyć tamę komunizmowi ojciec Maciel, począwszy od papieskiej podróży do Meksyku w 1979 roku, stał się

niezbędnym punktem odniesienia. Geopolityczna wizja nowego papieża stała się bardzo szybko w centrum zainteresowania wielu rządów. Administracja Ronalda Reagana, czterdziestego prezydenta USA, sprawującego urząd w latach 1981-1989, dostrzegała w papieżu potencjalnego sojusznika. Choć występując z różnych pozycji, Rzym i Waszyngton

dążyły w gruncie rzeczy do tego samego celu, osłabienia komunizmu tak, by w końcu upadł. Dialog z Białym Domem stopniowo się nawiązywał.

Podejrzane działania USA

Jan Paweł II miał zwyczaj pozostawiać drzwi do swoich apartamentów zawsze otwarte. Był to dobry zwyczaj, przywieziony jeszcze z Krakowa. Każdy w owych czasach wiedział, że w Pałacu Biskupim przy Franciszkańskiej 3 audycje są udzielane wszystkim, bez specjalnego

wyróżniania nikogo. Po przybyciu do Rzymu próbował przenieść ten *modus operandi*, wielokrotnie już sprawdzony w Polsce, również za Mury Leoniańskie. Dialog uważał za coś niezbędnego, dlatego tak ważną rolę przypisywał wymianie informacji. Williama Caseya, dyrektora CIA, widywano więc z pewną częstotliwością na drugim brzegu Tybru.

W pewnym sensie nie było w tym nic dziwnego: również inni papieże udzielali audiencji odpowiedzialnym za tajne służby. Podczas drugiej wojny światowej Pius XII wydał swoim współpracownikom dyspozycje, by regularnie przyjmować szefów służb bezpieczeństwa w celu wymiany informacji dotyczących aktualnej

sytuacji. Spotkania między Caseyem a Janem Pawłem II koncentrowały się na wydarzeniach w Europie, w Polsce, ale także w Ameryce Łacińskiej, gdzie USA otwarcie wspierały dyktatury wojskowe. To akurat papieżowi się nie podobało, ponieważ junty łamały podstawowe prawa człowieka, ale zdawało się, że w tamtym momencie historycznym nie było innej

alternatywy.

Papież Wojtyła przyjął w Watykanie również generała Vernona Waltersa, kogoś w rodzaju wędrującego ambasadora prezydenta Reagana. Pierwsze spotkanie odbyło się 30 listopada 1981 roku, trzynastcie dni przed wprowadzeniem w Polsce stanu wojennego. Wiele lat później generał opowiedział, że papież pragnął mieć

obraz tego, co się dzieje
w Ameryce Łacińskiej:
„Wytłumaczyłem mu, że
podejmujemy wysiłki
zmierzające do poprawy
sytuacji związanej
z prawami człowieka, w taki
sposób, aby – rozpowiadając
na lewo i prawo o ich
winach – nie wywołać
odnoszącego przeciwny
skutek zakłopotania
tamtejszych rządów”.
Generał uspokoił papieża,

nie kryjąc jednak obaw związanych z obecnością w tamtym rejonie Sowietów. Sytuacja była napięta. Z jednej strony ZSRR, wysyłający tam broń, z drugiej USA, które szykowały się na najgorsze, rozmieszczając w Panamie dziesięć tysięcy ludzi i przeznaczając, między innymi dla junty salwadorskiej, fundusze w wysokości około

dwudziestu pięciu milionów dolarów, co w tamtej epoce było zawrotną sumą. Natomiast w Nikaragui wsparcie skierowano do siedemnastu tysięcy *contras*, zbrojnych grup antyrewolucyjnych zwalczających rząd sandinistowski, wybrany demokratycznie w 1979 roku po obaleniu dyktatury Somozy. Partyzantka *contras*, popierana przez

CIA, była utrzymywana przez sprzedaż broni Iranowi. Bezwzględni i krwawi *contras* odpowiadają za niekontrolowane masakry cywilów, co ustalił amerykański dziennikarz Gary Webb w swojej książce *Dark Alliance*.

Stanowisko Jana Pawła II wobec teologii wyzwolenia zbliżyło Watykan do Waszyngtonu. Eksperci CIA

przekonali się, że Kościół może stać się idealną przykrywką dla infiltracji komunistów w Ameryce Łacińskiej. Analogicznymi obawami dzielili się z papieżem również nuncjusze, biskupi i sam ojciec Maciel, który nieustannie słał do Rzymu sygnały alarmowe. Według niego to jezuici ponosili największą odpowiedzialność za

rozpowszechnianie
wichrzyielskich idei
politycznych. Generał
Walters położył na biurku
Wojtyły notatkę opisującą
działalność wielu księży
nastawionych bardziej na
działalność polityczną niż na
leczenie dusz: „Zakonnicy
przysporzyli nam
problemów. Na nieszczęście
niektórzy z nich wsparli
guerrillę, co podważa
wiarygodność wielu innych

duchownych działających w tym regionie”.

Już w połowie lat siedemdziesiątych amerykański sekretarz stanu, Henry Kissinger, uskarżał się na Kościół, twierdząc, że w tamtej części świata katolicy nie są już sojusznikami USA. Generał Walters okazał się szczególnie krytyczny wobec niektórych członków Towarzystwa Jezusowego,

zakonu wpływowego
i zakorzenionego
w Ameryce Łacińskiej. Nie
przypadkiem już wkrótce
właśnie tego zgromadzenia
dotyczyć będą zarządzenia
papieża, między innymi
decyzja, by popierać w jego
najwyższych władzach
kandydata mniej liberalnego
niż ojciec Pedro Arrupe. Ten
ostatni został potem
zastąpiony pod pretekstem
słabego stanu zdrowia.

W rzeczywistości wymianę ojca Arrupe można uznać za wprowadzenie w pełni zarządu komisarycznego, choć określenie to pozostaje tabu i nie można go w Watykanie używać.

W tych samych latach zostały podjęte również inne decyzje. W 1981 roku wybitny teolog niemiecki, kardynał i arcybiskup Monachium, Joseph Ratzinger został wybrany na

prefekta dawnego Świętego
Oficjum, czyli Kongregacji
Nauki Wiary. Ratzinger
opublikował natychmiast
dokument o jednoznacznym
tytuł e: *Instruktion über
einige Aspekte der
Theologie der Befreiung*
(1984) [Instrukcja
o niektórych aspektach
teologii wyzwolenia].
W 1986 roku zatwierdzony
został drugi dokument *Die
Christliche Freiheit und die*

Befreiung [Chrześcijańska wolność i wyzwolenie], mający na celu stworzenie precyzyjnych podstaw badań teologicznych i duszpasterskiego działania tego ruchu. Były to skomplikowane czasy i wydawało się już jasne, że wraz z nastaniem polskiego papieża trzeba będzie wyeliminować politykę z duszpasterskiej działalności Kościoła:

zadaniem księży
i zakonników jest
oświecanie mas, ale
wyłącznie przez
odwoływanie się do
Ewangelii i stawianie
Chrystusa na powrót
w centrum rozważań.

Ojciec Maciel stał się
w ten sposób centralnym
punktem projektu, nawet
o tym nie wiedząc. Miał
natomiast świadomość, że
spoczywa na nim życzliwe

spojrzenie Jana Pawła II.
Legioniści Chrystusa nabrali
wiatru w żagle, nic nie
mogło stanąć na
przeszkodzie ich
założycielowi, który zdołał
zyskać najbardziej
niezwykłą legitymację,
ukrywając przed wszystkimi
swoją prawdziwą naturę.

Powstanie *cristeros*

Jeśli niechęć do komunizmu papieża Wojtyły wynikała z jego doświadczeń w okresie panowania reżimu w Polsce, korzenie antykomunistyczne ojca Maciela sięgały epopei meksykańskiej z pierwszych dziesięcioleci ubiegłego wieku, kiedy wybuchło powstanie *cristeros*, długi okres gwałtów,

spowodowany falą
prześladowań przeciwko
Kościołowi i klerowi. Lała
się krew, na terenach
objętych powstaniem
zginęło tysiące ludzi, przede
wszystkim na obszarach
wiejskich. Ludność
przeciwstawiała się prawom
odbierającym wolność
religijną. Rząd prezydenta
Plutarca Elíasa Callesa
karał torturami i więzieniem
za samo posiadanie symboli

chrześcijańskich. Różańce, krzyże, tabernakulum, święte obrazki - wszystko było zakazane. Fanatyzm rządził niepodzielnie, przede wszystkim wśród lokalnych władz. Według kronik z tamtych lat, kiedy gubernator stanu Tabasco wchodził do biura, witał go chór: „Bóg nie istnieje”. Jego sekretarki i współpracownicy mieli polecenie, by wyraźnie

skandować to zdanie, na które on odpowiadał niezwłocznie: „Ani nigdy nie istniał”.

Cristeros – prześladowani katolicy – zmuszeni byli chwycić za broń pod sztandarem „Viva Cristo Rey”. To zdanie z czasem przemieniło się w prawdziwe wezwanie do walki. Na zbiorową mobilizację nie trzeba było czekać. W przeważającej

części byli to zwykli ludzie, którym w innej sytuacji przez myśl by nawet nie przeszło, żeby strzelać: profesorowie, nauczyciele, sklepikarze, chłopci, drobni właściciele ziemscy, lekarze. Należał do nich także wuj ojca Maciela, aptekarz, który dowodził oddziałami *cristeros*, aż w końcu został podniesiony do stopnia generała.

W tamtym czasie ojciec

Maciel był ledwie dzieckiem. Krwawe wydarzenia, o których rozmawiano w domu albo w parafii, musiały zadziałać na jego wyobraźnię. Wyrósł zatem w rodzinie zamożnych rolników, oddanych bezgranicznie idei w a l k i *cristeros*, uważających się za obrońców Kościoła. Ze strony matki w rodzinie było aż czterech biskupów, a do

tego wspomniany już
generał-aptekarz, który
przeszedł do historii jako
bohater wojenny, postać
mitologizowana przez
samego Maciela z powodu
odwagi, jaką wykazywał się
w walce oraz oporu wobec
lokalnej władzy
i antykatolickim
gubernatorom próbującym
pozbawić Kościół
autorytetu. Stało więc się
tak, że Jesús Degollado

Guízar w wieku trzydziestu pięciu lat wstąpił do oddziału Libertador Cristero. Na niezawodny okrzyk „Viva Cristo Rey” zaangażował się w planowanie akcji militarnych.

Ludzie byli rozgoryczeni, okrutne wydarzenia następowały po sobie bezlitośnie i nieprzerwanie: obławy w wioskach, krwawe represje wojska wobec

ludności cywilnej, zbiorowe egzekucje. Sparaliżowane strachem dzieci były na ulicach świadkami gwałtów. Sytuacja stała się tak poważna, że Pius XI wystosował do meksykańskiego episkopatu kilka „listów otwartych”, wskazując na „działalność wrogów Kościoła i jego Chrystusa”. Wzywał wspólnotę międzynarodową, by nie pozostawała

bezczylna wobec nowego, ateistycznego i masońskiego kursu przyjętego przez Meksyk. W 1932 roku papież wydał nawet encyklikę w całości poświęconą meksykańskiej wojnie domowej, zatytułowaną *Acerba animi*, w której stwierdzano, że sytuacja w Meksyku jest dla katolików krzywdząca, dotyczą ich prześladowania na tle religijnym, do tego

stopnia, że dostrzega się
groźbę wywrócenia
ówczesnego ładu
społecznego.

Rewolucja, która oddała
władzę w ręce Partii
Rewolucyjno-
Instytucjonalnej –
mieszaniny „komunistów,
socjalistów, masonów”, jak
określało ją w owych latach
pismo włoskich jezuitów „La
Civiltà Cattolica” –
przebiegała w kilku

etapach. W 1926 roku napięcie eksplodowało wraz z buntem katolików przeciwko reżimowi, którego władza opierała się na armii. Doprowadziło to do wymordowania duchownych oraz konfiskaty kościołów, szkół i klasztorów. Katolicy, którzy chwycili za broń przeciwko armii, wywodzili się w przeważającej mierze z ludności wiejskiej. Między

1926 a 1929 rokiem prezydent Plutarco Elías Calles zareagował na walkę zbrojną w imię sprawy katolickiej zabiciem czterystu przywódców *cristeros*, choć rzeczywista liczba nie została nigdy ustalona i mogła być wyższa. W swoich opowieściach o tamtych wydarzeniach ojciec Maciel podkreślał wielką epopeję odwagi, z której czerpał,

zakładając
Chrystusa.

Legion

Żaden historyk nie zdołał
nigdy wyjaśnić
w przekonujący sposób
jakobińskiej nienawiści
prezydenta Callesa do
Kościoła. Jean Meyer,
największy historyk
cristiady, stwierdził, że
antyklerykalizm mniejszości
sprawującej władzę był
mieszanką nienawiści

i pogardy do dawnego
Meksyku. „Sądzili, że
pogardzają klerem,
a w rzeczywistości gardzili
chrześcijańskimi chłopami”.

W rezultacie
antyklerykalna fala miała
niszczyielskie
oddziaływanie. Księża
i zakonnice karani byli
grzywnami za noszenie
sutann i habitów,
likwidowano gazety
diecezjalne, zamykano

szkoły katolickie i seminaria, działalność parafii ograniczano do tego stopnia, że zamieniały się one w tajne stowarzyszenia. Jeden z ministrów narzucił nawet limit dla liczby księży. W praktyce pracować mogli tylko ci, których nazwiska figurowały na liście uprawnionych. Dla rządu księża byli wywrotowcami, należało więc ich kontrolować i zwalczać.

Ludzie nie rozumieli, dlaczego nie można już było pogodzić wiary z życiem politycznym kraju. W archiwum historycznym Towarzystwa Jezusowego zachowano setki fotografii wykonanych podczas zbiorowych egzekucji. Pożółkłe obrazy ukazują falę fanatyzmu obejmującą cały kraj. Przedstawiają żołnierzy strzelających do tłumu albo do więźniów

ustawionych pod
wyszczerbionym murem
koszar. Widać na nich
zadowolone twarze
żołnierzy, wymachujących
w powietrzu karabinami na
znak zwycięstwa. W jednej
z archiwalnych teczek
znajduje się wstrząsająca
sekwencja fotograficzna.
Ukazuje ona ciało jezuity
(ogłoszonego później
męczennikiem), leżącego na
ziemi z twarzą

podziurawioną kulami,
z krwią zakrzepłą
w kącikach ust, a wokół
niego krąg radośnie
roześmianych mężczyzn
w mundurach.

Opowieści o gwałtach
i przemocy na ulicach nie
mogły nie pozostawić śladu
u dziecka wychowanego
w rodzinie zaprzysięgłych
cristeros. Właśnie z tego
rozdziału narodowej historii
ojciec Maciel będzie czerpał

garściami, by zbudować mit Legionistów Chrystusa. Wiele faktów dotyczących Legionu - jego narodzin i początkowego rozwoju - zostało dopasowanych do biografii jego założyciela, by dać ludziom do zrozumienia, że za wszystkim stało autentyczne boskie powołanie i że nowy zakon religijny opierał się na wyższych, pozaziemskich podstawach. To boskie

powołanie stało się
natchnieniem do powstania
tego wielce walecznego
zgromadzenia. Duch
cristeros - zgodnie z tym
założeniem - wstąpił
w legionistów.

Młody Maciel od tamtej
pory kłamał, mieszał prawdę
z fikcją, wymyślając od
początku do końca niektóre
szczegóły, by uczynić
bardziej wiarygodną
hagiograficzną opowieść na

przykład o tym, jak przyglądał się wieszaniu młodych buntowników na placu w jakimś miasteczku; według kronik z tamtych lat rzeczywiście do tego doszło, ale bardzo daleko od miejsca, w którym w tamtym momencie znajdował się Maciel. Inny epizod, przywoływany w broszurach opisujących historię Legionu, opowiada o tym, jak dorastający Maciel

stanął na czele tłumu buntowników, aby zażądać otwarcia jakiegoś kościoła. Jeszcze inny mówi o tym, że został postrzelony przez zabłąkaną kulę, kiedy odważnie dostarczał hostie grupce ukrywających się księży, którzy wstąpili do partyzantki. Jednak żołnierze kontrolujący drogi dostrzegli jakieś nietypowe ruchy, schwytali go i wtręcili do więzienia. Podobno

wydostała go stamtąd jedna z ciotek, po zapłaceniu kaucji w wysokości dwudziestu pesos. Ta seria trochę prawdziwych, a trochę zmyślonych historii, pomagała założycielowi Legionu zbudować legendę nieustraszonego „legionisty”, żołnierza Chrystusa, obrońcy wiary, *cristeros*.

Wojna z lat dwudziestych dała mu podstawę

ideologiczną, aby wprawić
w ruch całą maszynę.
W pierwszych broszurach
Legionistów Chrystusa (już
nieodostępnych, bo trafiły na
makulaturę) pojawiają się
też fotografie
przedstawiające
piętnastoletniego ojca
Maciela, ubranego niczym
mały Pancho Villa,
z ładownicą przy pasie,
w kapeluszu i z pistoletami
w kaburze. Hagiografia

miała uczynić jego
powołanie kapłańskie
bardziej fascynującym.
W narracji tej nocne
wyprawy konne po
najbardziej zagubionych
meksykańskich kanionach –
gdzie Maciel prowadził
podobno bezpośrednie
dialogi z Bogiem –
przeplatały się z momentami
głęboko duchowymi,
podczas których młodzieniec
miał wręcz tracić poczucie

czasu, tak bardzo pochłonięty był modlitwą. Według jego relacji sam Bóg wybrał go na założyciela Legionistów Chrystusa.

Bohaterką niektórych opowieści była matka, druga żona ojca Maciela, kobieta o wyglądzie chłopki, paląca jednego papierosa za drugim. Nazywała się Maura Degollado Guízar, a wszyscy zwracali się do

niej Mama Maurita. Odegrała podstawową rolę w jego wychowaniu. Kobieta spędzała z nim dużo czasu również w Rzymie i z upływem lat stała się kimś w rodzaju matki chrzestnej dla Legionistów Chrystusa, którzy też nazywali ją z czułością Mama Maurita. Kiedy w 1975 roku kobieta zmarła, ojciec Maciel zaczął zachęcać do oddawania jej

czci w domach
zgromadzenia. Została
pochowana w Cotija de la
Paz, w siedzibie głównej
Legionistów Chrystusa, i od
tamtej pory jej grób stał się
celem pielgrzymek.
Następnie, dzięki mediacjom
i kontaktom w Kurii, ojciec
Maciel spowodował, że
ogłoszono ją Służebnicą
Bożą. Od 1994 roku na
poziomie diecezjalnym
prowadzona jest sprawa jej

beatyfikacji, choć po śmierci
Maciela proces został
zatrzymany przez
Kongregację Spraw
Kanonizacyjnych, a jej
teczka gdzieś się
zapodziała, przywalona
stosem innych dokumentów.

Maciel opisywał „Mamę
Mauritę” jako kobietę
szczodłą i bardzo odważną.
Pewnego dnia miała bez
wahania wystawić na
niebezpieczeństwo swoje

własne życie, by bronić gospodarstwa przed grupą żołnierzy, którzy chcieli zaatakować dom rodziny otwarcie stojącej po stronie Kościoła. Widząc z daleka, że nadchodzą, kobieta ruszyła śmiało po strzelbę i z wielką determinacją stanęła w oknie, strzelając kilkakrotnie w powietrze. Zaskoczeni żołnierze po chwili się wycofali.

W stosunku do małego

Maciela - z którego przyrodni bracia z pierwszego małżeństwa ojca żartowali, nazywając go pogardliwie *guerito*, blondynek, z powodu jasnych włosów i błękitnych oczu - Maurita była bardzo opiekuńcza. Brała go w obronę, starała się chronić przed konfliktami, pomagała mu pokonać wrogość rodziny. W takiej atmosferze, w której

przeważał meksykański kult macho, życie tego chłopca o delikatnym wyglądzie nie zawsze było łatwe. Według wszelkiego prawdopodobieństwa on sam padł ofiarą seksualnego wykorzystywania lub maltretowania ze strony jednego z zarządców pracujących w gospodarstwie ojca. O doznanych w dzieciństwie krzywdach ojciec Maciel

nigdy nie wspominał, choć kilkakrotnie dał do zrozumienia, że okres ten był dla niego bardzo trudny i smutny. Kiedy mówił o tamtych latach, zawsze jako najważniejszą osobę wspominał Mamę Mauritę. Natomiast ojca - Francisca Maciela Faríasa - opisywał pokrótce jako człowieka autorytarnego, uczciwego, mało ekspansywnego. Nic więcej na jego temat nie

dodawał.

To właśnie w tej licznej, pokomplikowanej, głęboko zaangażowanej w sprawę *cristeros* rodzinie czternastoletni Maciel ogłosił w 1934 roku, że chce zostać księdzem.

Bóg wzywał mnie do wielkiej rzeczy. Pewnego majowego dnia w moim rodzinnym mieście, wracając z domu

parafialnego, gdzie
odmawiałem różaniec,
spotkałem dwie
zakonnice dobrze znane
w mojej rodzinie, które
z powodu konfliktu
religijnego zmuszone były
zamieszkać chwilowo
poza klasztorem. Kiedy
przystanąły, by się ze
mną przywitać, jedna
z nich okazała zdziwienie
na mój widok, ponieważ
myślała, że poszedłem do

seminarium
prowadzonego przez
mojego wuja, Rafaela
Guízara y Valencię,
biskupa Veracruz. Była
ciekawa, dlaczego nie
zostałem księdzem.
Zapytałem: to ja też
mógłbym być księdzem?
A ona na to: tak,
oczywiście. Bóg skorzystał
z tego, co my nazywamy
zamętem, by dać mi do
zrozumienia, że mnie

wzywa. W owej chwili wszystko wydało mi się wyjątkowo jasne. Bóg zatrzymał na mnie wzrok i wybrał mnie na księdza, mimo mojej małej wartości i lichoty.

Ojciec Maciel powtarzał z przekonaniem, że to zawsze Pan dawał mu do zrozumienia w najprostszy sposób, w którą stronę powinien skierować energię,

by zbudować Królestwo na ziemi i rządzić duchowymi losami całej wspólnoty religijnej. Był sugestywny w opisywaniu samego siebie: wybrany, namaszczony przez Pana. Może również dlatego czuł się uprawniony, by nie przestrzegać zasad. „Zasady są dobre dla ludu”, powtarzał przyjaciółom z Kurii. W Legionie bardzo szybko rozpowszechniło się

przeświadczenie, że ojciec
Marcial Maciel Degollado
jest człowiekiem
predestynowanym,
wskazanym przez
Opatrzność, wezwanym
przez Boga do dokonywania
wielkich rzeczy. Uprawiana
przez dziesięciolecia
propaganda przygotowała
teren pod kult jego osoby
w środowisku Legionu. Był
dla wszystkich człowiekiem
uległym, uprzejmym

i usłużnym, chrześcijaninem, który od dziecka opiekował się biedakami, pomagał potrzebującym i pocieszał strapionych, praktykując dzieło miłosierdzia. Jedna z krążących hagiograficznych opowieści mówiła o tym, że kiedy był młody, jego krewni widywali go, jak wraca na ojcowskie ranczo boso, ponieważ oddał swoje buty jakiemuś biednemu chłopu. Gdyby

ojciec Maciel nie został zdemaskowany, gdyby nie ujawniono popełnionych przez niego zbrodni, być może w tej chwili Kościół już by go beatyfikował.

Wykorzystywanie seksualne, gniew i milczenie

Jak więc zobaczyliśmy, przez wiele lat patyna szacowności oraz cała poważania pokryły wszystkie potworności rozgrywające się za kulisami. Niewielu wiedziało, że ojciec Maciel okazał się seryjnym

drapieżcą. Dla wielu
młodych chłopców był
złodziejem marzeń,
pozbawionym skrupułów
potworem, dręczycielem,
który zburzył ich
niewinność, wewnętrzną
harmonię, niszcząc przy tym
nienaruszalność oraz
zdolność do pokładania
nadziei w przyszłość.

Nikt nie mógłby nigdy
tego wszystkiego
podejrzewać, choć

w rzeczywistości dziwne pogłoski na jego temat krążyły już od czasów, kiedy mieszkał w seminarium, jeszcze przed święceniami kapłańskimi. Mówiło się o różnych niepokojących sprawach, które następnie wyciszano. Być może wskazówki te – gdyby zostały w porę odczytane – powstrzymałyby dalsze postępowanie zła. Faktem jest, że na początku swojej

drogi duchownej Maciel musiał dwa razy pospiesznie opuścić seminarium z nigdy niewyjaśnionych oficjalnie przyczyn.

Chodziło o tajemnicze zajścia w ogóle niezbadane przez ówczesne władze kościelne. Po raz pierwszy zdarzyło się to, gdy przebywał jeszcze w seminarium w stolicy Meksyku, które jeden z jego wujów biskupów, ten

z Veracruz, zdołał z trudem ponownie otworzyć mimo sprzeciwów władz. Czasy nie były łatwe, panowała duszna atmosfera, a katolicycy byli pod stałą obserwacją. Nie wystarczało środków, aby utrzymywać internat, a w seminaryjnych stołówkach brakowało nawet artykułów pierwszej potrzeby. Mięso uznawane było za luksus. To właśnie wtedy, kiedy stosowano

politykę oszczędności, ojciec Maciel zaczął studiować teologię, kultywując już wówczas myśl o powołaniu własnego zgromadzenia, opartego na ideale Kościoła bardziej walecznego, antykomunistycznego, zaangażowanego w poszerzanie Królestwa Bożego na ziemi. Mit epopei *cristeros* zaczął zapuszczać korzenie. Jednak 6 czerwca 1938 roku wuj biskup,

Rafael Guízar y Valencia, możny protektor siostrzeńca, nagle zmarł, co dla Maciela oznaczało początek trudności i wkrótce potem został usunięty z seminarium. Przyczyny tak radykalnego posunięcia nigdy nie poznano. Sam Maciel zawsze starannie unikał podawania szczegółów tej sprawy, ograniczając się do ogólnego mówienia

o znowu i twierdzenia, że
wraz z rozwojem projektu
narodzin Legionistów
Chrystusa wśród innych
duchownych nasilała się
zazdrość. Już wtedy
wspominał o czymś
w rodzaju spisku,
ukartowanego, aby
unicestwić w zarodku jego
zgromadzenie, które - jak
mówił - stałoby się
konkurencją dla istniejących
zakonów.

Pięćdziesiąt lat później wersja ta została definitywnie obalona dzięki odważnemu śledztwu przeprowadzonemu przez dwóch amerykańskich dziennikarzy, Jasona Berry'ego i Geralda Rennera. Biorąc za punkt wyjścia akty wykorzystywania seksualnego, których ojciec Maciel dopuścił się w latach pięćdziesiątych

i sześćdziesiątych w seminariach, rozszerzyli obszar śledztwa aż do początków mitu. Dziennikarze odkryli, że już pod koniec lat trzydziestych i w latach czterdziestych snuto insynuacje na temat dwuznacznych zachowań Maciela. Mówiono, że z jego pokoju dochodziły czasem dziwne hałasy, być może stłumione krzyki niektórych dzieci przychodzących do

seminarium na lekcje katechizmu. Plotki te dotarły do uszu wuja, Jego Eminencji Rafaela Guízara, przykutego wówczas do łóżka z powodu ataku serca. Nie dając do końca wiary tym pogłoskom, wezwał on jednak natychmiast do siebie ulubionego siostrzeńca, by wysłuchać jego wersji wydarzeń. Mówiono, że rozmowa przeobraziła się w ostrą

dyskusję, do tego stopnia, że prałat, którego serce było już osłabione, doznał kolejnego ataku, co spowodowało jego zgon kilka dni później, 6 czerwca 1938 roku.

Ojciec Maciel zawsze zaprzeczał, jakoby za jego wydaleniem krył się jakiś problem związany w jakikolwiek sposób ze z ł a m a n i e m *de sexto*, szóstego przykazania: nie

cudzołóż. Jak już
powiedziano,
usprawiedliwiał poczynione
wobec niego kroki
dyscyplinarne jakimś
tajemniczym spiskiem,
uknutym nie bardzo
wiadomo przez kogo, by
stanąć mu na drodze:

Rektor wyjaśnił mi to,
zanim mnie pożegnał.
Zwierzchnicy obawiali się
sprzeciwów

meksykańskich biskupów,
zaniepokojonych tym, że
niektórzy seminarzyści
mogliby powołać nowe
zgromadzenie religijne
i tym samym przysporzyć
problemów samemu
seminarium.

Odwołanie się do teorii
spiskowej dla
usprawiedliwienia
czynionych wobec niego
kroków karnych okazało się

na koniec skuteczne. Ojciec Maciel często opowiadał o konspiracyjnych działaniach wymierzonych w Kościół i w niego samego. W ten sposób zdołał zmylić nawet Jana Pawła II: także jemu wmówił, że oskarżenia z przeszłości były próbą zdyskredytowania jego osoby w celu osłabienia pozycji Kościoła w społeczeństwie meksykańskim.

Doszło więc do tego, że usunięcie z seminarium, zamiast rzucić cień na młodego seminarzystę, nie wywołało żadnego efektu ani nie stanęło na drodze jego ambitnych planów. Mimo pewnych trudności związanych z nagłym odejściem wielkiego wuja protektora Macielowi udało się znaleźć innego opiekuna, w osobie Jego Ekscelencji Antonia Guízara y Valenci,

drugiego brata Mamy
Maurity, biskupa
Chihuahua. Ten ostatni
wysłał siostrzeńca do
jezuitów, do Montezumy
w amerykańskim stanie
Nowy Meksyk. Odkąd
w Meksyku obowiązywały
nowe, antykatolickie prawa,
przygraniczne stany
amerykańskie udzielały
gościny wielu działaniom
duszpasterskim
meksykańskiego Kościoła.

W tej sytuacji biskupi kierowali seminarzystów na dalsze studia za granicę. Do Nowego Meksyku Maciel przybył z wujowską rekomendacją oraz ze znaczną sumą pieniędzy zebranych w rodzinie, a przeznaczonych na stypendia dla najbiedniejszych seminarzystów.

Przysporzyło mu to od razu pewnej przychylności,

pomimo czarnej plamy na życiorysie. W owym czasie siedziba jezuitów w Montezumie cierpiała na ciągły brak funduszy, jak wynika z korespondencji między rektorem seminarium i Towarzystwem Jezusowym w Rzymie. Wzmianki o rosnących potrzebach wspólnoty i trudnościach w znalezieniu środków na wydatki pojawiają się w wielu

fragmentach listów. Przyszły ojciec Maciel zadomowił się w Montezumie od razu, choć nigdy nie porzucił myśli o powołaniu własnego zgromadzenia.

Pomysł, jaki chodził mu po głowie, był ambitny. Zaczął przedstawiać go swoim kolegom i duchownym, wprowadzając pewien zamęt również w tym środowisku. Według

wersji Maciela jezuici z Montezumy irytowali się na samą myśl o tym, że wychowują przyszłego konkurenta. Ale on nie ustępował: „Czułem, że Bóg pragnął zjednoczyć grupę duchownych. Nie był to po prostu mój pomysł, ale głos, który rozbrzmiewał w mojej głowie”. Powtarzał tak z emfazą, dodając, że Duch Święty wpływał bezpośrednio na niego,

wypełniając go wielką wewnętrzną siłą, by mimo wszelkich trudności parł naprzód: „Czułem się mały, niegodny i nieprzygotowany do realizacji tego zadania”.

A jednak po kilku miesiącach również tam sprawy przybrały zły obrót. Pewnej nocy jeden z księży z seminarium obudził się gwałtownie. Maciel spał w jego pokoju. Polecenie,

jakie otrzymał, było
kategoryczne: miał
natychmiast się ubrać
i spakować walizki. Maciel
dostał pół godziny na
bezzwłoczne opuszczenie
seminarium. Był
oszołomiony i natychmiast
poprosił o rozmowę
z rektorem, nalegał, aby
pozwolono mu zostać, ale
powiedziano mu, że to
niemożliwe. Polecenie
okazało się nieodwołalne

i miał się bezdyskusyjnie do niego zastosować. Na dole czekał już samochód z zapalonym silnikiem, by odwieźć go na stację. Wydarzyło się to 17 czerwca 1940 roku.

Tak szybka i zdecydowana reakcja należała do rzadkości i można ją wytłumaczyć tylko poważnymi wykroczeniami jak akty seksualne popełnione

z innymi seminarzystami. Nie trzeba dodawać, że również w tej sprawie zaległa cisza.

Młody Maciel, wówczas dwudziestoletni, bronił się, oskarżając po raz kolejny jakiś bliżej niezidentyfikowany spisek: tym razem to jezuici chcieli uniemożliwić mu założenie własnego zakonu. Mówił, że nigdy nie znieśliby pomysłu powołania nowego

zgromadzenia religijnego
o charakterze wyraźnie
konserwatywnym
i antykomunistycznym.
Dopiero wiele lat później,
w 1965 roku, podczas
rozmowy między ojcem
Macielem a biskupem
diecezji Papantla, Alfonsem
Maríą Sánchezem Tinoco,
nastąpiła wymiana zdań na
temat tego dawnego
zdarzenia i prawdziwej
przyczyny wydalenia

z seminarium: ojciec Maciel został nakryty podczas stosunków z innymi młodzieńcami. Również wtedy usunięcie z seminarium nie zdołało go złamać, zadrasnąć jego charakteru ani powstrzymać jego determinacji, by zostać kapłanem. Choć zdezorientowany, wrócił do Meksyku i wkrótce przyjął śluby oraz zbudował całkowicie własną strukturę

religijną. W Meksyku, gdzie urządził się w mieście Cuernavaca, od razu znalazł nowego wpływowego sponsora, biskupa Gonzáleza y Arias, dalekiego krewnego, dzięki któremu zdołał ukończyć studia i złożyć śluby kapłańskie. Prałat był przekonany, że ten młodzieniec rzeczywiście ma talent, zdolności niezbędne do realizowania

wielkich celów. Wyznaczył mu prywatnych nauczycieli i chłopak z Cotija de la Paz uzupełnił swoje wykształcenie.

Maciel, opowiadając o swoich niepowodzeniach, wyjaśniał, że był zawsze szkalowany za swoją wielką wiarę. „Konspiracja” dotyczyła oczywiście politycznej i społecznej sytuacji tamtej epoki. Duchowny ostrzegał swoich

rozmówców przed zagrożeniami ze strony komunistycznej ofensywy, która miała przeszkodzić Kościołowi w ewangelizacji świata. Natomiast jemu to zagrożenie uniemożliwiało stworzenie nowego zakonu. Twierdził, że oszczerstwa podsycali jezuici z Montezumy, którzy od samego początku podawali w wątpliwość jego dobrą wiarę, moralne prowadzenie

i uczciwość, aby się go pozbyć i przeszkodzić w powołaniu Legionistów Chrystusa.

Tymczasem Maciel zdołał znaleźć odpowiednie miejsce, aby położyć fundamenty pod pierwszą kwaterę Legionu. Chodziło o nędzny lokal w Tlalpanie. Ten pierwszy okres jest opisywany w hagiografiach jako heroiczne

przedsięwzięcie, owoc
ogromnych poświęceń, ale
jednocześnie wielkich
ideałów. Maciel był
pierwszym, który świecił
przykładem swoim
współtowarzyszom.

Należało zmierzyć się
z ograniczeniami i według
przekazów młody założyciel
zgromadzenia spał w owym
okresie na podłodze, jako
poduszki używał spodni
owiniętych wokół butów

i tylko z rzadka coś jadał. Odkrył również, że ma niecodzienne zdolności w pozyskiwaniu środków. Przez całe swoje życie znakomicie sobie radził ze znajdowaniem sponsorów. Wiele lat później grecki armator Arystoteles Onassis tak to skomentował przy stole podczas jakiegoś przyjęcia: „Całe szczęście, że jest on księdzem, bo gdyby był bankierem,

wszystkich by nas oskubał!”. Ojciec Maciel potrafił być przekonujący i wiarygodny, umiał zaangażować rozmówców w swoje projekty, wykazując się bardzo konkretnym podejściem. Zgromadzone pieniądze służyły budowaniu szkół, kształceniu nowych pokoleń księży. Obraz legionisty był już jasno sprecyzowany: Maciel chciał duchownych walecznych,

konserwatywnych
i posłusznych zarówno
wobec zwierzchników, jak
i w głoszeniu Chrystusa.
Maciel miał ogromną
charyzmę, sprawiał, że
pieniądze płynęły rzeką,
przyciągał całe rzesze
młodych ludzi gotowych
podążać za nim w jego
przygodzie. Potrafił
wywierać niezwykle wpływ
i miał diaboliczną zdolność
manipulowania

najsłabszymi.

W takich okolicznościach doszło też do pierwszych przypadków wykorzystywania seksualnego. W 1944 roku w Cuernavaca został oskarżony przed miejscowym biskupem o zmuszanie pewnego chłopca, Francisca de la Islę, do akceptowania jego chorobliwych zachowań. Miał prosić, by ten go

masturbował, zapewniając, że nie ma w tym nic moralnie naganego. Uspokojony przez ojca Maciela, który twierdził, że dostał zezwolenie od papieża, aby rozgrzeszać tego rodzaju przypadki, naiwny Francisco zrobił, o co go proszono. Poddał się potworowi. „Wszystko odbyło się podstępnie”, opowiadał później inny były seminarzysta. To także nie

przeszkodziło Macielowi
zostać kapłanem
wyświęconym przez biskupa
w bazylice w Guadalupe.

Gdy wewnątrz
zgromadzenia zapuszczało
korzenie zło, na zewnątrz
zaczynała się rozwijać
działalność edukacyjna
i społeczna Legionu.
Wystartowały wielkie
projekty duszpasterskie
oraz współpraca z różnymi

diecezjami. Maciel skutecznie odpierał krytykę i trudności, które stopniowo się pojawiały, wpływając na jego wiarygodność i publiczny wizerunek nieskazitelnego księdza, wiernego swoim ideałom.

Mówi się o tym, że w 1949 roku próbowano go nawet zabić. Prawdopodobnie bardziej niż spisek, mógł być to fortel wymyślony przez samego

ojca Maciela dla
wzmocnienia jego
wizerunku
antykomunistycznego
księdza. O tym przedziwnym
zamachu niczego
specjalnego się nie
dowiedziano. Jakiś nigdy
niezidentyfikowany
mężczyzna strzelił do niego
z bardzo bliska. Czarny
kapelusz księdza, który miał
tamtego dnia na głowie,
został przeszyty na wylot.

Maciel zgłosił to zdarzenie, twierdząc, że ta kula mogła go zabić i uczynić z niego jednego z wielu meksykańskich męczenników Kościoła. Całe to zdarzenie narobiło oczywiście szumu. Mówiono o nim przez jakiś czas. Miał być to dowód na to, że ojciec Maciel był naprawdę ofiarą, heroicznym człowiekiem niesprawiedliwie

zaatakowanym za swoje
poglądy, prześladowanym
księdzem, nękanym
zazdrością i zawiścią.
A przecież sprawy miały się
zupełnie inaczej. Po
kilkudziesięciu latach kilku
byłych legionistów, którzy
opuścili zgromadzenie,
opowiadało o tym,
ujawniając, że chodziło
o fikcję obmyśloną
diabolicznie przez ojca
Maciela, żeby dodać sobie

wiarygodności i wzmocnić swój publiczny wizerunek. Przeobrażając się w ofiarę, zneutralizowałyby wciąż krążące uporczywie na jego temat nieprzychylnie głosy. Postrzelenie z pistoletu miało zrobić wrażenie na opinii publicznej, na meksykańskich biskupach, seminarzystach i oczywiście również na jego dobroczyńcach, którzy – coraz bardziej

zaniepokojeni ryzykiem, że Meksyk może się pogrążyć w chaosie komunistycznej rewolucji – chętniej sięgnęliby do swoich sakiewek, by hojnie sfinansować projekty Legionu.

W owym czasie w Kościele w ogóle nie mówiło się o wykorzystywaniu seksualnym. Był to temat tabu. Władze kościelne

z trudem wszczywały
pogłębione dochodzenia
w takich sprawach,
zgłaszając księdza pedofila
do trybunału Kongregacji
Nauki Wiary, uruchamiając
śledztwo pozwalające
zweryfikować zasadność
oskarżeń, szukając prawdy
i sprawiedliwości. Nieliczne
ujawniane przypadki były
rozpatrywane przez
lokalnego biskupa
z ogromną ostrożnością, by

tylko nie wywołać skandalu. W konsekwencji nic albo prawie nic nie przeniknęło na zewnątrz.

W tej atmosferze woła dochodzenia, co takiego dzieje się za murami nowej kongregacji, była bardzo słaba: kwestii tej na pewno nie postrzegano jako priorytetu. Poza tym Legioniści Chrystusa szczyli się od tamtej pory ważnym wsparciem. Pius XII

napisał: „Pochwalam i błogosławię proponowane przez was formy apostołstwa”. Papież Pacelli w 1948 roku wystosował do ojca Maciela osobiste posłanie, zachęcając go do pośpiechu w pracy nad stworzeniem klasy kierowniczej w służbie Boga, poprzez nauczanie w seminariach i szkołach katolickich. Z pierwszej, nędznej siedziby założonej

w 1941 roku w Tlalpanie, która zdawała się filią miejscowego seminarium, z czasem zbudowano dużo silniejszą strukturę. Rozwijała się szybko, była aktywna i przedsiębiorcza. Młody ojciec założyciel pozwalał się poznać jako waleczny duch, obdarzony twardym i niezłomnym uporem. Już wtedy bardzo dużo podróżował, uruchamiał projekty,

naciskał na seminarzystów, by ściśle przestrzegali Ewangelii. Wewnętrzne zasady były surowe i wszyscy musieli się do nich stosować, choć sam Maciel prowadził już tymczasem podwójne życie.

W grudniu 1948 roku ojciec Maciel zaczął wykorzystywać Juana José Vacę, wówczas dwunastolatka. Vaca jest

jednym z ośmiu byłych Legionistów Chrystusa, którzy po pięćdziesięciu latach zwrócili się do Jana Pawła II o przywrócenie prawdy, zgłaszając molestowanie, przemoc moralną, podporządkowanie psychologiczne i wszystko to, co zmuszeni byli znosić. Byli ofiarami księdza, którego przez długi czas uważali za duchowego ojca, punkt odniesienia, by

odróżniać dobro od zła, bezpieczny port, w którym można się schronić przed każdą burzą.

Wykorzystywanie Juana Vaki ciągnęło się przez trzynaście lat, aż do 1963 roku. Dla dorastającego chłopca trwające trzynaście lat cierpienie może się przeobrazić w otchłań bez powrotu. Bolesne przeżycia z tamtego okresu ugodziły Juana w samo serce,

dotykając najgłębszego
jądra jego osobowości.
Dzisiaj jest szanowanym
wykładowcą
uniwersyteckim, ale
koszmar tamtych odległych
lat wciąż go prześladowa,
jakby wszystko wydarzyło
się wczoraj. Gdyby nie miał
obok siebie zdolnej mu
pomóc rodziny, nigdy by się
z tego nie podniósł. W latach
pięćdziesiątych posyłanie
syna na naukę do

seminarium było bardzo częste i przez wiele rodzin uznawane za prestiżowe. Chodziło o perspektywę poważnych korzyści. Kiedy rodzice Juana spotkali ojca Maciela, nie mieli wątpliwości, że powierzenie mu syna to znakomita sposobność, i skorzystali z niej, nie zastanawiając się zbyt długo. Ten ksiądz budził wielkie zaufanie, a poza tym kreślił dla Juana

drogę pełną satysfakcji,
może nawet zdolną
zapewnić mu przyszłą
karierę duchownego. Byłaby
to pociecha dla całej
rodziny. Tak więc matka
i ojciec udzielili zgody,
przekonani, że robią
dobrze, nieświadomi, że ten
młody ksiądz, tak bardzo
elokwentny, potrafiący tak
dobrze mówić, stanie się
później katem ich syna.
Kiedy się zorientowali, było

już za późno na naprawienie błędu.

Tymczasem w owych latach szeregi Legionistów Chrystusa stawały się coraz liczniejsze. W 1949 roku - dzięki stypendium otrzymanemu od reżimu frankistowskiego - ojciec Maciel zdołał wysłać do Hiszpanii pierwszą grupę studentów na kursy formacyjne prowadzone przez Papieski Uniwersytet

w Comillas, prestiżową uczelnię jezuicką.

To właśnie w Comillas rozpoczął się koszmar Juana, nieświadomego oczywiście tragicznego losu, jaki miał na niego spaść. Pewnego dnia Juan Vaca zobaczył wchodzącego do pokoju kolegę, który poprosił go, by pilnie poszedł do oczekującego na dole ojca Maciela. Kiedy Juan otworzył drzwi - jak

opowiadał on sam
kilkadziesiąt lat później -
zobaczył go leżącego na
łóżku w pogrążonym
w półmroku pokoju. Na jego
widok ojciec Maciel
powiedział, że źle się czuje
i potrzebuje pomocy. Dla
złagodzenia
przeszywającego bólu
należało zrobić mu masaż
klatki piersiowej. Maciel
pokazał mu, jak poruszać
rękami, chodziło o okrężne,

uciskające ruchy, które od mostka miały schodzić w dół do brzucha, a potem powoli jeszcze niżej, aż między uda. Chłopiec drżał i nie rozumiał; polecenie było niecodzienne. W głębi serca wiedział, że nie może się cofnąć, chodziło o jego ojca duchowego, jego zwierzchnika, punkt odniesienia w życiu, latarnię, która każdego dnia miała go oświecać. Skąd

takie polecenie? Jeśli wyznaczał mu takie zadanie, może istniał jakiś nieznanemu powód, jakaś wyższa siła, być może nie czynił niczego zdroźnego, może to nie grzech. Opowieść Juana i świadectwo, które dotarło do Watykanu po kilkudziesięciu latach, są dramatyczne. Zebrał się na odwagę i zamknął oczy. W pokoju nie słychać było żadnego innego hałasu, poza

dyszącym oddechem.
„Pocieraj mnie, pocieraj
mnie”. Po zaspokojeniu
ojciec Maciel usnął,
pozostawiając chłopca na
pastwę niekończącej się
udręki. Juan potrzebował
pięćdziesięciu lat, by
znaleźć siłę i zrzucić z serca
ciężkie brzemie, zanim mógł
opowiedzieć o tym
publicznie, ujawniając przed
światem prawdę. W głowie
rozbrzmiewało mu zdanie

z Ewangelii: „Prawda was wyzwoli”.

Maciel był dla mnie człowiekiem Boga, człowiekiem bardzo czułym. Uważałem go za ojca. Był moim ojcem. Czasem traktował mnie jak dziewczynę. Wkładał mi penisa między nogi. Pewnego razu próbował we mnie wejść, ale mu nie pozwoliłem. Wtedy posłał

po innego chłopaka,
a potem wykorzystał nas
obu.

Ojciec Maciel wyróżniał
chłopców ładnych, o dobrej
fizycznej prezencji, a także
inteligentnych. Swoim
współpracownikom polecał
zawsze, by zwracali uwagę
na wybór seminarzystów,
należało przyjmować nie
tylko najlepszych, ale także
najprzyjemniejszych

z wyglądu. Nie chciał, by mieli indiańskie rysy, bo publicznie źle by się prezentowali. Poza tym, co nie przeszkadzało, powinni być bogaci i pochodzić z dobrych rodzin.

Od samego początku relacje panujące w Legionie naznaczone były milczeniem. Obowiązywała bezwzględna zasada niekrytykowania

zwierzchnika. „Wiadomo, że oszczerstwa doprowadzają w końcu do choroby również zdrowe ciało”, powtarzał ojciec Maciel. Lepiej było natychmiast uciszać negatywne głosy. Mówi się, że jego umysł ogarnięty był obsesją kontrolowania, tak by móc uzależnić i manipulować świadomością. W ten sposób, nawet jeśli któremuś ze studentów

zdarzało się być
nieumyślnym świadkiem
jakichś niecodziennych lub
dwuznacznych zachowań,
czuł się zmuszony do
milczenia. Nie mógł o tym
rozmawiać nawet ze
współlokatorem albo
z najbliższym przyjacielem.
Zniechęcano do zadawania
bezpośrednich pytań
dotyczących tego, co się
działo. Legioniści mieli
zgłaszać swoje wątpliwości

i przemyślenia tylko do bezpośredniego zwierzchnika, do swojego ojca duchowego, „by nie sprawić przykrości Bogu”. O każdej ewentualnej próbie odreagowania informowano ojca Maciela. Psychiczne uzależnienie panujące w domach Legionu brało w końcu górę nad myślami, nastrojami, uczuciami jednostek. Przy takim reżimie popełniane zbrodnie

z trudem mogłyby dotrzeć
pod osąd jakiegokolwiek
trybunału.

Narkotyki

Pogłoski w tej sprawie pojawiały się cyklicznie. Już w 1944 roku poszeptywano o tym, że coś potwornego przytrafiło się w Cuernavaca, w Meksyku, jakiemuś chłopcu, który podążał za ojcem Macielem, wówczas młodym duchownym. Okoliczności sprawy pozostają dotąd niejasne, ale wystarczyły, by

skłonić miejscowego biskupa do interwencji. Również tym razem, gdy burza ustała, wszystko zdawało się wrócić na swoje miejsce. Plotki na temat ojca Maciela były niczym wir, młynek, pojawiały się i znikwały z taką samą intensywnością: przybierały jakiś kształt, ale potem nigdy nie znajdowały ostatecznego ujścia albo decydującego słowa. Wszystko odkładane było ad

acta pod hasłem: spisek.

Na początku lat
pięćdziesiątych do
Kongregacji ds.

Duchowieństwa

w Watykanie dotarły

nieprzyjemne i ważne

wiadomości dotyczące

założyciela nowej instytucji

religijnej. Informacje

przynosiły ciężkie zarzuty,

że ten młody meksykański

ksiądz, poprzez bezprawne

wykorzystywanie spowiedzi,

nakłaniał do grzechu najmłodszych wiernych, odwołując się właśnie do strategii kłamstwa podczas duchowego prowadzenia seminarzystów.

Następne skargi sygnalizowały kolejne dwuznaczne zachowania. Mówiono, że ten ksiądz zażywa morfinę, i to w sposób nieumiarkowany. Z Meksyku do Rzymu nieprzerwanie docierały

różne głosy. Osoby informujące o nałogu księdza wymieniały konkretne przypadki. Widziały duchownego, jak nadużywał substancji odurzających, i dodawały, jako uzupełnienie, inne zachowania, całkowicie nieprzystające do stanu kapłana Świętego Kościoła Rzymskiego.

W Rzymie, po przewyciężeniu

początkowego
niedowierzania,
postanowiono uczynić
pierwsze kroki w celu
naświetlenia sprawy.
Dochodzenie doprowadziło
do czasowego zawieszenia
ojca Maciela na stanowisku
głównego zwierzchnika
Legionistów Chrystusa.
A jednak już po kilku latach
duchowny został
w niewytłumaczalny sposób
zrehabilitowany przez

władze kościelne i zyskał jeszcze mocniejszą pozycję niż poprzednio. To kolejny niewyjaśniony rozdział, stawiający w niewyraźnym świetle stosunki łączące ojca Maciela z Kurią. A przecież dochodzenie przeprowadzone przez Kongregację ds. Duchowieństwa przyniosło wstrząsające rezultaty. Kongregacja podeszła do śledztwa z wielką

skrupulatnością, aby znaleźć dowody, jako że podejrzenia nie były bezpodstawne: Maciel miał wykorzystywać swoją władzę, miał popełnić wykroczenia na tle seksualnym, miał zażywać narkotyki.

We wrześniu 1956 roku zakonnik karmelitański, ojciec Anastasio Ballestrero - przyszły arcybiskup Turynu i kardynał - przeobraził się

w duchownego-detektywa. Po przestudiowaniu grubych akt zgromadzonych w kongregacji, po nawiązaniu wszystkich potrzebnych kontaktów, wsiadł do pierwszego samolotu, którym mógł się dostać do Meksyku i Hiszpanii, dwóch krajów, gdzie koncentrowała się obecność Legionistów Chrystusa. Praca śledcza trwała dość długo,

a zakończyła się w Rzymie, w głównym domu Legionistów Chrystusa przy via Aurelia. Ballestrero dostał zadanie, by zebrać jak najwięcej poszlak, zanim zostanie sformułowane orzeczenie. Wypełniając swoją misję, zakonnik zasypywał pytaniami seminarzystów, wszędzie szukał dowodów, badał archiwa. Odbył kilka spotkań również ze

zwierzchnikami
zgromadzenia. To, co go
uderzyło – powie wiele lat
później – to gumowy mur
otaczający ojca Maciela.
W jego sprawie kongregacja
zdawała się
nieprzenikniona. Napisał
końcowe sprawozdanie,
wyraźnie niekorzystne dla
oskarżonego, potępiające
Maciela. Po powrocie
z Meksyku Ballestrero
wyznał w zaufaniu swoim

karmelitańskim
współbraciom, że w tamtym
środowisku obowiązywała
„absolutna zmowa
milczenia” i że „wśród
członków nie było swobody
wypowiedzi, możliwości
opowiedzenia
czegokolwiek”.

Obraz ten jeszcze
bardziej pogorszyło
późniejsze, bezpośrednie
świadcstwo kardynała
Valeria Valeriego,

ówczesnego prefekta
Kongregacji ds.
Duchowieństwa. Kiedy
prałat dowiedział się, że
ojciec Maciel przebywał
w tamtych dniach
w rzymskiej klinice Salvator
Mundi z powodu ataku
wywołanego właśnie
nadużyciem narkotyków,
poszedł go odwiedzić, by
sprawdzić, w jakim jest
stanie. Chciał wyrobić sobie
zdanie i ocenić przypadek.

Ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu zastał tam księdza w strasznym stanie, wciąż pozostającego pod wpływem środków odurzających. Mówi się, że było to coś w rodzaju nagłej wizyty, wcześniej rano, bez żadnego uprzedzenia. Valeri chciał przekonać się na własne oczy, co też, do diabła, dzieje się z ojcem Macielem, który już wtedy zażywał duże dawki

dolantyny, leku na bazie morfiny. Żeby go zdobyć, wysyłał najbardziej zaufanych seminarzystów, by go kupili, gdzie się tylko dało, także w nocy. Czasem z jego upoważnienia lecieli nawet do Hiszpanii. Nie było to łatwe zadanie, zważywszy na to, że żadna apteka nie wydałaby leku bez okazania recepty.

Pełen obraz sytuacji przedstawiał się tak

poważnie, że Kongregacja ds. Duchowieństwa, jak powiedziano, postanowiła zawiesić w trybie zapobiegawczym ojca Maciela w funkcjach zwierzchnika generalnego, wysyłając go do kliniki. Miał tam wyleczyć się całkowicie z uzależnienia od leku. Kardynał Valeri podpisał decyzję 3 października 1956 roku. Tymczasem ojciec Maciel zawiadomił Watykan,

że bez słowa, z „szacunkiem i pokorą”, akceptuje wszelkie dotyczące go rozporządzenia, a wręcz zastosuje się do nich natychmiast i chętnie zawiesi swoje zwierzchnictwo nad Legionistami Chrystusa. Postanowił jednak ich samych nie zawiadamiać o swoim czasowym usunięciu ze stanowiska. Nie chciał, by ucierpiał

wśród legionistów jego autorytet ani by podano w wątpliwość jego charyzmatyczną postać. Ponieważ nikt nie ośmielał się mu sprzeciwić, jak gdyby nigdy nic kontynuował w Hiszpanii i Meksyku zbiórkę środków finansowych, które miały mu posłużyć do zbudowania w Rzymie bazyliki Matki Boskiej z Guadalupe. Przez cały okres zawieszenia

zbierał fundusze,
przedstawiając się
dobroczyńcom jako
sprawujący swoją funkcję
zwierzchnik generalny
i prosząc o pieniądze jako
pomoc dla Kościoła.
Formalnie prowadzenie
zgromadzenia powierzone
zostało tymczasowo
wybrany przez niego
samego dwóm zaufanym
ludziom, za których
pośrednictwem mógł cały

czas sprawować kontrolę i władzę.

To wtedy wypląnęła historia z narkotykami. Ujawniło ją kilku byłych legionistów. Zirytowani tak wieloma występkami napisali do arcybiskupa stolicy Meksyku listy przepełnione bólem i oburzeniem. Wspomnieli między innymi o zastrzykach, które ojciec Maciel kazał sobie robić,

z dolantyny, demerolu
i sedolu - bardzo
rozpowszechnionych
w owych latach silnych
środków przeciwbólowych
na bazie morfiny, które
przyjmowane w dużych
ilościach powodowały
uzależnienie.

W takim właśnie stanie
był Maciel: niewolnik
narkotyków. Uzależniony
narkoman. Za zastrzyk
oddałby wszystko. Były

legionista Alejandro Espinosa twierdził, że przyjmował nawet do dwóch albo trzech zastrzyków dziennie. Jego ramię pokrywały siniaki i niebieskie plamy. Kiedy nie miał leku pod ręką, jak każdy narkoman, tracił kontrolę, wychodził z siebie, wpadał w furję. Pewnego razu zrobił nawet widowisko w luksusowym hotelu w Hiszpanii, co oburzyło

miejscowego biskupa, który natychmiast zawiadomił o tym Rzym, a informacja ta wzbogaciła grubą już teczkę w Kongregacji ds. Duchowieństwa. Ojciec Maciel usprawiedliwił się, opowiadając o bardzo rzadkim schorzeniu wywołującym ogromne cierpienie. Mówił o dokuczających mu co jakiś czas bólach w dole brzucha, w jądrach. Przysięgał, że

właśnie z tego powodu nieustannie potrzebował dolantyny.

W pewnym momencie sytuacja się jednak zmieniła. Watykańskie dochodzenie ojca Ballestrera zostało zrównoważone przez opinię kilku biegłych lekarzy wskazanych przez Legionistów Chrystusa. Zaprzeczyli oni, jakoby ksiądz miał nadużywać narkotyków. Jeden

z biegłych napisał, że pacjent jest w dobrym zdrowiu, jego stan psychiczny mieści się absolutnie w normie, poza tym odznacza się silnym charakterem, nie wykazując żadnych wyraźnych oznak „dziedzicznej neurozy”. Lekarz zapewniał, że nie wykazano skłonności do używania narkotyków. „Nie stwierdzono u niego uzależnienia chemicznego,

choć zdaje się, że w przeszłości cierpiał na bóle brzuszne wywołane kolką”. Taka sama opinia wyszła od drugiego lekarza, który też był gotowy poprzysiąc, że zakonnik jest w stanie spokojnie podjąć na nowo nauczanie i prowadzić normalną działalność duszpasterską.

Dodatkowo, po pierwszej relacji Ballestrera, z Watykanu przysłano

dwóch innych wizytatorów
apostolskich: Alfreda
Bontempiego, rektora
Papieskiego Kolegium im.
Jana Nepomucena, oraz
franciszkanina Polidora van
Vlierberghe'a, obydwu
z zadaniem
przeprowadzenia
dochodzenia
uzupełniającego.

Z ich zapisów wyłonił się
natychmiast inny obraz.
Osąd wizytatorów był

w zasadzie korzystny i pobłażliwy. Tak czy owak, śledztwo kanoniczne nigdy nie doprowadziło do formalnych wniosków. Tymczasem zmarł Pius XII. W okresie *vacatio* ojciec Maciel został przywrócony na swoje stanowisko przez Watykan. Formalnie odbyło się to w bardzo szczególnym okresie: wszystkie papiery rehabilitacyjne zostały podpisane przed konklawe,

właśnie w okresie interregnum między jednym a drugim pontyfikatem. Taka procedura wydała się wielu niecodzienna, ale również tym razem głosy te wyciszono. Ojca Maciela poparł niezwykle wpływowy kardynał Clemente Micara, ówczesny wikariusz diecezji rzymskiej. Ten sam purpurat, który już wkrótce miał pobłogosławić wmurowanie kamienia

węgielnego pod budowę kościoła Matki Boskiej z Guadalupe przy via Aurelia w Rzymie, pierwszego kościoła Legionistów Chrystusa, wewnątrz którego Maciel miał polecić wykonanie okazałej marmurowej krypty przeznaczonej na jego pochówek. Micara jako wikariusz Rzymu był jednym z nielicznych dostojników, którzy w okresie

przejściowym po śmierci
papieża nie zostali
zawieszeni w swoich
funkcjach. Choć
przewidziane
z kanonicznego punktu
widzenia postanowienie
o przywróceniu Maciela
zdawało się niezgodne
z procedurą, nie wchodziło
bowiem w zakres zwykłej
administracji, Micara
podpisał list, który pozwalał
ojcu Macielowi na powrót

do sprawowanej wcześniej funkcji.

Po kilkudziesięciu latach pewien duchowny, który przez dwadzieścia dziewięć lat należał do Legionistów Chrystusa, ojciec Richard Gill, oświadczył, że dochodzenia prowadzone w owym czasie przez Watykan według wszelkiego prawdopodobieństwa były stronnicze i zupełnie nie brały pod uwagę

przypuszczalnych
uwarunkowań wynikających
z silnych powiązań, jakie
ojciec Maciel już wówczas
miał w Kurii. Dlaczego -
zastanawiał się ojciec Gill,
a pytanie to pozostaje bez
odpowiedzi również dzisiaj -
pojawił się wówczas
prałaci, którzy
interweniowali z pewną
gorliwością, nie chcąc
dopuścić do tego, by
działania Maciela podane

zostały w wątpliwość, zanim upewnili się, czy krążące na jego temat głosy miały jakieś podstawy? W jaki sposób ojciec Maciel zdołał uzyskać od Watykanu istotne zezwolenia, jak dekret zatwierdzający wydany przez Kongregację ds. Duchowieństwa, a podpisany przez Pawła VI w 1965 roku? Trudno nie zauważyć, że minęło zaledwie dziewięć lat od śledztwa i poczynienia

znaczących kroków
w związku ze złym
zachowaniem. I jeszcze,
dlaczego karta
konstytucyjna Legionu
została zatwierdzona przez
Kongregację ds.
Duchowieństwa w 1983
roku, mimo ewidentnych
konfliktów jurysdykcyjnych
z prawem kanonicznym,
podnoszonych przez
wybitnych kanonistów?

Obsesja kontrolowania

Jak już powiedziano, ojciec Maciel owładnięty był różnymi obsesjami, z których na czoło wysuwała się potrzeba kontrolowania. Zawsze i wszędzie chciał kontrolować wszystko, co go dotyczyło. Nic się nie mogło ukryć przed jego wzrokiem. Najmniejszy ruch wewnątrz, ale też na zewnątrz

zgromadzenia, budził w nim
niewspółmierne do
znaczenia zainteresowanie.
Monitorował każdy
szczegół, chcąc przewidzieć
posunięcia swoich
adwersarzy, jak również
poznać opinie księży
i seminarzystów
Legionistów Chrystusa.
Próbował wychwycić
nastroje w Kurii, sprzyjając
wstępowaniu do różnych
kongregacji zaufanych

duchownych, „sygnalistów”, z zadaniem, by informowali go okresowo o tym, co się tam dzieje. To samo zdarzało się w kancelariach wielu arcybiskupstw, między innymi w kancelarii kardynała w mieście Meksyku. Zbieranie informacji było kluczowe, by zrozumieć, w jakim kierunku wieją wiatry. Maciel miał zawsze na oku wszystkich, którzy obracali się wokół

jego sfery działania. Zachowania te uznawane były przez jego krytyków za diaboliczne: ojciec Maciel potrafił być ujmujący, hojny i przekonujący wobec każdego, kto go interesował, dopóki nie zyskał pewności, że zdoła tę osobę kontrolować. Z biegiem lat udało mu się wznieść skuteczne bariery obronne. Były to niezbędne fortyfikacje, których w razie

potrzeby mógł użyć, by
uzyskać ochronę, i które
mogłyby mu pomóc
kamuflować podwójne życie.
Można uznać Maciela za
eksperta w zbieraniu
i opracowywaniu
strategicznych informacji.
Była to działalność, którą
prowadził również
w Watykanie, bez wiedzy
Jana Pawła II. Można to
nazwać czymś w rodzaju
działania

antyszpiegowskiego.

Na przykład w 2000 roku, podczas Wielkiego Jubileuszu, Legioniści Chrystusa zaoferowali Janowi Pawłowi II wszystkie swoje zdolności organizacyjne, aby zrealizować pierwszy kurs formacyjny dla świeżo nominowanych biskupów. Biskupi nominowani w ciągu tamtego roku przyjechali do Rzymu, by rozmawiać

o ewangelizacji. Wielu z nich stało na czele ważnych diecezji Ameryki Łacińskiej, obszar, na którym skupiała się uwaga ojca Maciela. Każdemu z biskupów towarzyszył młody duchowny z Legionu, ktoś w rodzaju sekretarza, który w razie potrzeby mógł służyć za kierowcę albo pomagać w rozwiązywaniu problemów. Legionista oferował wszelkie wsparcie

logistyczne i oprowadzał gościa po Rzymie, bo dla wielu był to pierwszy pobyt w stolicy. Ten duchowny do wszelkich poruczeń miał jeszcze inne, tajne zadanie: z polecenia ojca Maciela każdego wieczoru pisał sprawozdanie, referując szczegółowo, co biskupi myślą i mówią prywatnie na temat Legionistów Chrystusa i ich założyciela, na temat Ameryki

Łacińskiej, nacisków sił
postępowych
w poszczególnych
episkopatach, komunizmu,
Kurii i papieża. Ich raporty
były zbierane i analizowane,
po czym trafiały wszystkie
do jednego dossier. Ojciec
Maciel otrzymywał na
własny użytek syntezę,
a w rezultacie pełny obraz
prac, jakie toczyły się za
zamkniętymi drzwiami
w Watykanie.

Taki sam mechanizm został już wypróbowany wcześniej, przy okazji IV Konferencji Generalnej Episkopatu Latynoamerykańskiego, która odbyła się w Santo Domingo w 1992 roku. Co do tego posiedzenia papież Wojtyła miał istotne oczekiwania: chciał sprawdzić, czy nurty związane z teologią wyzwolenia, której tak

bardzo się sprzeciwiał w poprzednich latach, wciąż robią wrażenie na ludziach i na klerze. Ojciec Maciel po raz kolejny odegrał fundamentalną rolę i swoimi zakulisowymi działaniami nadał kierunek debacie. Pracował na zapleczu, działając w taki sposób, żeby najbardziej rewolucyjne i postępowe orientacje znalazły jak najmniej miejsca

w ostatecznym dokumencie, który zgodnie z przyjętą praktyką miał podsumować stanowiska, jakie wyłoniły się podczas obrad. Aby skuteczniej kontrolować biskupów zaproszonych do wystąpienia podczas Konferencji, ojciec Maciel odwołał się do stałego chwytu. U boku każdego prałata znalazł się młody sekretarz, który miał mu towarzyszyć

w przemieszczaniu się z miejsca na miejsce, załatwianiu drobnych formalności, takich jak robienie rezerwacji, odbiór akredytacji, przyjmowanie telefonów. Każdego wieczoru sekretarz znajdował trochę czasu, aby sporządzić ściśle tajny raport, zawierający syntezę dnia spędzonego przez objętego obserwacją biskupa i uwydatniający

najważniejsze fakty.
Donoszono w nim, z kim
biskup zjadł obiad, z kim
rozmawiał, jakie opinie
zostały podczas rozmów
wyrażone. Taką syntezę
przekazywano ojcu
Macielowi, który w ten
sposób zdobywał wiedzę na
temat orientacji
politycznych obecnych
podczas zgromadzenia. Ten
system pozwolił mu
stworzyć wyjątkową sieć

szpiegowską.

Ślub milczenia

Milczenie może zabić. Obok tradycyjnych rad ewangelicznych obowiązujących w zakonach – ubóstwa, czystości, posłuszeństwa – opartych na przestrzeganiu hierarchicznego szacunku, ojciec Maciel wprowadził w latach pięćdziesiątych jeszcze jeden ślub, który w rzeczywistości stanowił

anomalię, chory korzeń -
zakaz krytyki. W praktyce
każdy nowy seminarzysta,
poza strzeżeniem własnej
czystości, posłuszeństwa
wobec hierarchii, życiem
w ewangelicznej
wstrzeźliwości,
podpisywał jeszcze jedno
zobowiązanie: absolutny
zakaz mówienia źle o swoich
zwierzchnikach. Był to ślub
milczenia. Wewnętrzna
krytyka została więc

całkowicie zakazana. Złamanie tego ślubu oznaczało narażenie się na poważne konsekwencje. Zasadniczo zabraniano pełnej swobody działania i nieograniczonej niczym wolności myślenia. Czwarty ślub wprowadzał system zbliżony do policyjnego, co zresztą wyszło na jaw dzięki świadectwom wielu byłych członków Legionu: nazywali to „systemem hitlerowskim”,

„systemem stalinowskim”. Na jednostki wywierano ogromną presję psychologiczną. Często chodziło o poddaństwo, uzależnienie.

Potrzeba drobiazgowego kontrolowania wszystkiego, sondowania również aspektów życia prywatnego przez przekraczanie granic prywatności, rozciągała się na wszystko, w tym na osobiste kontakty z rodziną.

Korespondencja, rozmowy telefoniczne, informacje o przyjaźniach przechodziły przez sito zwierzchnika. Wprowadzono cenzurę. Każdy list przed wysłaniem był regulaminowo otwierany.

Wraz z pojawieniem się internetu taką samą kontrolą objęta została poczta elektroniczna, zarówno ta przychodząca, jak i wychodząca; każdy e-

mail, zanim dotarł do odbiorcy, był najpierw zawsze sprawdzany. Ten, kto miał za zadanie kontrolować treść wiadomości, zbierał informacje i w razie potrzeby sporządzał raport. Każdy szczegół służył określeniu, czy dana jednostka jest godna zaufania. Zbiór informacji zawierał listę osób, z którymi osobnik

utrzymywał regularne kontakty, a także tych, z którymi spotkał się w ciągu dnia, poglądy polityczne oraz opinie na temat głównych wydarzeń danego tygodnia. Zapis ten trafiał do bezpośredniego zwierzchnika, aby ten miał zawsze pełny obraz życia i oraz wizyt wszystkich gości odwiedzających siedziby Legionu.

Nelly Ramírez Mota

Velasco, błyskotliwa młoda Meksykanka, która przez dwanaście lat jako konsekrowana mieszkała w żeńskich siedzibach zgromadzenia, doniosła o wszystkich ograniczeniach, jakim została poddana. Nawet korzystanie z programów telewizyjnych podlegało obostrzeniom. Wiadomości ze świata były filtrowane, poddawane cenzurze

prewencyjnej.

Włączaliśmy telewizję i myśleliśmy, że oglądamy normalny dziennik, ale na dużym ekranie, który mieliśmy we wspólnej sali, widzieliśmy tylko to, co zwierzchnicy chcieli nam pokazać. Jeśli to nie jest pranie mózgów, to co? Tak działa się we wszystkich domach Legionu, nie tylko u nas.

Był to standardowy sposób działania. Nie były to normalne wiadomości, a nagrane fragmenty dziennika telewizyjnego, pocięte i zmontowane, oczyszczone z informacji, które według naszych zwierzchników nie powinny być rozpowszechniane. To samo dotyczyło internetu. Mieliśmy ograniczony

dostęp. Nie wszystkie strony były widoczne.

Założyciel zgromadzenia usprawiedliwiał te wszystkie działania ochroną instytucji religijnej, która inaczej – jak mawiał – narażona by była na zewnętrzne ataki ze strony różnych wrogów. Twierdził, że dostrzega na horyzoncie ogromne zagrożenia. Za każdym razem przywoływał

ofensywę spisków lóż
masońskich, jakichś bliżej
nieokreślonych sił zła,
środków żydowskich,
komunistycznego lobby
i wszystkich innych swoich
wrogów. Z upływem lat
kongregacja Legionistów
Chrystusa wypracowywała
znakomite i coraz
doskonalsze wewnętrzne
systemy kontroli,
odwołujące się do obsesji
ojca Maciela. W ten sposób

duchowni albo
konsekrowane kobiety
świeckie przekonywali się
w końcu, że są wystawieni
na jakieś wielkie, tajemne
niebezpieczeństwa. Dlatego
też każda reguła, każda
rada, każda nowa restrykcja
dotycząca własnych swobód
była chętnie akceptowana,
w przeświadczeniu, że
chodzi o cel wyższy,
o właściwy sposób
wypełnienia woli Boga

i chronienia najwyższego dobra wspólnego: Legionu Chrystusa.

Rok po roku legioniści poszerzali strefę wpływów na różne narody świata, wzmacniając jednocześnie silne poczucie więzi wspólnotowej. Pozornie nikt zdawał się nie dostrzegać, że manipulacja wprowadzona przez ojca Maciela służyła ukryciu zbyt wielu spraw: jego

podwójnego życia,
wykorzystywania, donesień
składanych przez ofiary.

Nie przypadkiem pomysł,
by włączyć do życia Legionu
czwarty ślub, przyszedł
Macielowi do głowy podczas
pierwszych lat budowania
kongregacji. Ślub milczenia
miał uciszyć wewnętrzną
krytykę, unieszkodliwiając
potencjalnych donosicieli.
Zduszenie w zarodku
negatywnych opinii

oznaczało dalsze
sprawowanie rządów bez
żadnych przeszkód.
Kłopotliwe fakty,
niebezpieczni świadkowie
albo niewygodne prawdy,
wszystko podlegało kontroli.
W jaki sposób? Ci, którzy
wstępowali do
zgromadzenia, zachęceni
byli do przyjęcia postawy
charakterystycznej dla
żołnierzy legionu
rzymskiego: do

respektowania żelaznej
dyscypliny, kultywowania
niewzruszonego ducha
jedności tak, by grupa szła
naprzód jak jeden monolit,
przyczyniając się do
ewangelizacji Kościoła.
Dzięki temu, powtarzał
Maciel, legionieści byliby
rzeczywiście zdolni stawić
opór rozlewającemu się na
zewnątrz złu, komunizmowi
czy też masonerii,
ateistycznej mentalności,

broniąc Kościół przed spiskami. Dookolny świat przedstawiany był jako terytorium nieustannej walki między dobrem a złem; dobro było ulokowane wewnątrz Legionu, zło na zewnątrz. Czwarty ślub i sposób jego egzekwowania miał w sobie coś diabolicznego. Pomysł, by sprawować coś w rodzaju kontroli nad sumieniami, był czymś naprawdę rzadkim

w historii. W Kościele
niewiele zakonów chlubi się
czwartym ślubem.
Najbardziej znanym
przykładem jest
Towarzystwo Jezusowe,
którego adepti są
zobowiązani do
bezwarunkowej i specjalnej
wierności wobec papieża.
Ojciec Maciel mógł łatwo
kontrolować każdy oddech
swoich seminarzystów, na
uniwersytetach, w szkołach,

w internatach. Ten mechanizm pozwalał mu uchronić się przed możliwym wyciekami destabilizujących wiadomości.

Wzmianka

o „wewnętrznym ślubie w Legionie” pojawiła się po raz pierwszy w 1956 roku. W tamtym czasie ojciec Maciel zmagał się ze śledztwem watykańskim w sprawie uzależnienia od

narkotyków. W służbowej korespondencji z tamtego okresu sugerowano legionistom, by nie przekazywali negatywnych opinii o ojcu generalnym i o zwierzchnikach, bo to zaszkodziłoby prestiżowi i autorytetowi grupy kierowniczej. Ojciec Maciel był przekonany, że ostre krytyki uderzających w kongregację będzie bardzo dużo i dlatego należy

je powstrzymać. Historia Kościoła zna takie precedensy; jeśli jezuici mieli czwarty ślub, również legionieści mogli spokojnie wystąpić o to samo, dodając do już istniejących jeszcze jeden. Po jakimś czasie ta nowość została przedstawiona Kongregacji ds. Duchowieństwa, która o dziwo zaakceptowała ją bez specjalnych dyskusji. Od tamtej chwili, kiedy młodzi

legioniści składali śluby, przysięgali również, że będą przestrzegać reguły milczenia. Ślub ten sam w sobie nie zawierał nic tajemnego czy sekretnego: chodziło o formułę wypowiedaną uroczyście w chwili wyświęcania, która zobowiązywała do respektowania wewnętrznego spokoju, niedyskredytowania działań zwierzchników oraz

nienarażania na szwank ich autorytetu. Ojciec Maciel był dalekowzroczny: cenzura prewencyjna niwelowała wszelką krytykę, mogła zakneblować każdego, kto chciałby opowiedzieć o tym, co się działo.

Takie właśnie działania przez długi czas powstrzymywały świadków przed swobodnym mówieniem prawdy,

uniemożliwiając ofiarom
obronę, otwarte
manifestowanie opinii,
ujawnianie doznanego zła.
To właśnie dlatego papiescy
wizytatorzy wysłani
w latach pięćdziesiątych
przez Stolicę Świętą, by
przeprowadzić dochodzenie,
nie mogli zbyt wiele znaleźć.
Ojciec Ballestrero wyraźnie
o tym napisał: nie pojawiło
się żadne świadectwo, które
potwierdziłoby fakty będące

obiektem śledztwa, właśnie z powodu bariery psychologicznej, jaka została przed nim postawiona. Gumowy mur. Napisał, że chłopcy wzywani na świadków prawdopodobnie kłamali przed wizytatorem apostolskim, aby nie złamać ślubu, sparaliżowani poczuciem winy i strachem przed karą.

Maciel rozpowszechnił wewnętrzne komunikaty, aby przekonać legionistów, że reguła nie ma w sobie nic negatywnego:

Do wszystkich legionistów, moich najdroższych synów [...] Po pierwsze, nie należy wyrażać na zewnątrz, w żaden sposób, ani ustnie, ani pisemnie, ani poprzez uzewnętrznione

gesty, niczego, co mogłoby przysporzyć problemów osobie przełożonego. Po drugie, należy jak najszybciej zawiadomić przełożonego, czy są członkowie Legionu, którzy złamali to zobowiązanie.

W czasie kiedy wizytator apostolski lustrował siedziby Legionu, ojciec Maciel,

zaniepokojony
świadcetwami, które
mogłyby wyjść na jaw,
zaapelował do legionistów
o jedność i przestrzeganie
reguł. W Rzymie, w głównej
sali domu generalnego,
wygłosił również alarmującą
mowę. Zwołał wszystkich
i powiedział, że Legion
przechodzi bardzo trudny
okres, że znajduje się na
celowniku wrogów. Właśnie
dlatego należy wznieść mur.

Poprosił zatem o zwarcie szeregów, dodając, że kongregacja Legionistów Chrystusa jest dobrym drzewem wydającym zdrowe owoce i właśnie dlatego należy bronić jej przed atakami. Wzywał wszystkich, by tworzyli drużynę.

W tej sytuacji Ballestrero, próbując zebrać świadectwa i prowadzić dochodzenie

w sprawie oskarżeń o narkomanię, miał przed sobą kolejnych milczących świadków. Przesłuchania odbywały się zgodnie z procedurą, ale przesłuchiwani wystrzegali się wchodzenia w szczegóły, unikali konkretów, byle tylko nie krytykować założyciela.

Kazali mi przysięgać na Biblię i przed krzyżem,

nakłaniając mnie, bym
wyjawił prawdę.
Zadawali mi pytania
o moją znajomość z ojcem
Macielem, dociekając,
czy coś wiem
o ewentualnych
problemach, pogłoskach,
czy coś było wiadomo
o jego chorobie.
Powiedziałem, że tak,
więc zapytano: jaka to
choroba? Odparłem, że
nie wiem, że nie mam

tego typu informacji.
Rozmowa trwała jakieś
dziesięć minut.
Pamiętam, że
przesłuchano wszystkich
duchownych z naszej
wspólnoty

- opowiadał po wielu latach
José Barba, jeden
z sygnatariuszy wspólnego
doniesienia w sprawie
wykorzystywania
seksualnego. Przed ojcem

Ballestrerem zeznawał jako pierwszy, oświadczając, że założyciel Legionistów Chrystusa jest osobą poza wszelkim podejrzeniem, punktem odniesienia dla każdego. „Nic tu nie wskóramy”, brzmiał lapidarny komentarz ojca Ballestrera, wypowiedziany do jednego z jego współbraci. W tej atmosferze psychologicznej presji z trudem mogły wyjść

na jaw historie związane z przemocą. Brak wolności nie pozwalał przesłuchiwanym chłopcom na udzielanie spontanicznych odpowiedzi, prezentowanie postaw odmiennych od tych nakazanych. Strach przed łamaniem reguł stanowił dla młodych ludzi przeszkodę nie do przejścia. Uwarunkowania te zmuszały ich do zachowywania się

według określonych schematów: „Posłuszeństwo narzucało wszystkim jeden wspólny kierunek, nakłaniało do milczenia, by chronić założyciela”.

Mechanizm kontrolny opracowany przez ojca Maciela zachęcał również do wewnętrznego donosicielstwa. Wszelkie oznaki zwątpienia należało sygnalizować zwierzchnikom. Tak

pomyślany system hamował
powoli zdolności krytyczne.
Występowanie przeciwko
bezpośredniemu
zwierzchnikowi stanowiło
akt obrazy majestatu tak
poważny, że podlegający
karze. Legioniści, którzy
byli świadkami osobliwych,
nienormalnych,
niepokojących zdarzeń,
woleli udawać, że nic nie
widzieli, byle tylko nie
narazić się na problemy,

zmuszając się do akceptowania wyjaśnień zwierzchników. Jeśli ojciec Maciel zachowywał się czasem w sposób dziwaczny i niewłaściwie, może przemawiały za tym jakieś racje pochodzące z góry, może nawet od samego papieża.

Taka sytuacja trwała latami, a założyciel Legionistów Chrystusa mógł zachować

w całości swój domek z kart. Nikt nie mógł opowiadać, że widział go wychodzącego w nocy w cywilnym ubraniu ani podać do wiadomości, że jego mieszkanie jest opancerzone i że posiłki spożywa samotnie. Choć sam ubierał się czasem w stroje cywilne, to wszystkim swoim księżom surowo nakazywał noszenie sutanny. W kazaniach głosił ubóstwo, ale potem sam

siadał za kierownicą luksusowych samochodów, a w podróży zatrzymywał się wyłącznie w najlepszych hotelach i restauracjach, zamiast korzystać ze spartańskich pomieszczeń własnej kongregacji. Z rzadka można go było zobaczyć, jak odprawia mszę albo przyjmuje komunię, co w przypadku księdza było co najmniej osobliwe. Na synod biskupi

dotyczący zakonników,
zwołany przez Jana Pawła II
w latach
dziewięćdziesiątych, jako
jedyny generał
zgromadzenia zakonnego
przybył do Watykanu
w granatowej limuzynie
z kierowcą, która czekała
na niego na zewnątrz, gdy
tymczasem większość ojców
synodalnych przychodziła
pieszo albo wysiadała
z autobusów. „Sprawiał

wrażenie człowieka bardzo zarozumiałego, wyniosłego. Nie zdawał się odzwierciedlać głębi swoich pism o formacji kapłana”, przypominają sobie niektórzy uczestnicy synodu.

Czwarty ślub, poza osłanianiem występków, służył także obronie wizerunku absolutnej doskonałości ojca Maciela, uruchamiając wewnętrzną dynamikę przypominającą

tajne sekty. Meksykański socjolog Fernando González długo się zastanawiał nad źródłem tej dyspozycji, zadając sobie pytanie, skąd założyciel Legionistów Chrystusa zaczerpnął inspirację. Prawdopodobnie, argumentuje González, przypomniał sobie to, o czym opowiadał mu przed laty wuj Jesús Degollado Guízar na temat akcji bojowych, które - kiedy

w Meksyku szalało powstanie *cristeros* - były organizowane przy poparciu tajnego stowarzyszenia o nazwie Unia Ducha Świętego, lepiej znanego jako „U”, założonego w 1919 roku przez innych przeciwników reżimu. Na ojcu Macielu na pewno zrobiło to wrażenie. Akcje bojowe okazywały się skuteczne, jeśli dokonywano ich w sposób spójny, ale

przede wszystkim tajny, nie pozwalając, by szczegóły przedostały się na zewnątrz. Posłuszeństwo wobec przywódcy było niezbędne, aby osiągnąć dobre rezultaty w walce. Taki sam sposób działania ojciec Maciel wprowadził do zgromadzenia.

Piekło schowane za diabolicznym czwartym ślubem odsłoniło się dopiero w 2005 roku, prawie

pięćdziesiąt lat po
popołnionych zbrodniach,
kiedy Joseph Ratzinger
interweniował w celu
zniesienia tej reguły.
Benedykt XVI zachęcił
wszystkich legionistów, by
opowiadali swobodnie, nie
bali się, niczego nie
ukrywali, uwolnili się od
absurdalnej obietnicy.
Trzeba było zdjąć pokrywę.
Z czarnej studni wyłonił się
cały łańcuch potworności,

które dokonały się
w strachu, zatajonych
zdarzeń, powszechnego
wspólnictwa.

Początek końca

Nawet w kartach astrologicznych ojca Maciela zapisano, że rok 1997 będzie początkiem jego końca. Występowała tam nieprawdopodobna koncentracja planetarna pod dominacją dziesiątego domu, odpowiadającego Skorpionowi, co dla astrologów jest wyraźnym odniesieniem do królestwa

tego, co tajemne, ukryte,
podwójne. Félix Alarcón
Hoyos, José Barba Martín,
Saúl Barrales Arellano,
Alejandro Espinosa Alcalá,
Arturo Jurado Guzmán,
Fernando Perez Olvera,
Juan José Vaca Rodríguez po
miesiącach zastanowienia
podpisali list otwarty
adresowany do Jana
Pawła II. Był to kluczowy
krok. Ci mężczyźni
oczekiwali, że zostanie

wymierzona

Sprawiedliwość, ta

Sprawiedliwość. Rozmawiali

o tym wcześniej pełni

nadziei z ówczesnym

nuncjuszem apostolskim

w stolicy Meksyku, Jego

Ekscelencją Justem

Mullorem Garcíą, który po

lekturze listu zrozumiał

powagę sytuacji. Dyplomata

bez żadnej zwłoki wysłał

pismo do Watykanu.

Przekazanie dokumentu

było obligatoryjne, a jednak papier ten nigdy nie znalazł się na biurku papieża Wojtyły. Mullor García jest w głębi ducha przekonany, że podczas długiej drogi biurokratycznej to straszne świadectwo gdzieś utknęło, zanim dotarło do celu. Trudno dojść gdzie, w jaki sposób, za czyją sprawą, dlaczego. Na pewno trafiło do Sekretariatu Stanu, a być może zostało dostarczone

do sekretarza papieża,
Stanisława, dziś kardynała
Dziwisza, arcybiskupa
Krakowa.

Apel ofiar skierowany był
bezpośrednio do „Jego
Świątobliwości, Wikariusza
Chrystusa, moralnego
przewodnika wszystkich
katolików na świecie”.
Krótco wcześniej papież
ogłosił encyklikę *Veritatis
splendor*, tekst
o problemach nauczania

moralnego Kościoła.
Encyklika w centrum
Magisterium Kościoła
stawia wybór, jaki ma
człowiek wobec dobra i zła.
Ofiary ojca Maciela
odwołały się do tej nauki,
zanim podały listę zbrodni,
wykaz potworności,
straszliwych zdarzeń do tej
pory zatajonych. Nie szukali
zemsty.

Jesteśmy grupą

mężczyzn, chrześcijan,
którzy na dwóch różnych
etapach swojego życia
stali się podwójnymi
ofiarami, najpierw
w okresie dorastania
i młodości, a następnie
w wieku dojrzałym,
z powodu pewnego
bardzo Wam bliskiego
duchownego i zakonnika,
który wielokrotnie nas
wykorzystywał,
psychologicznie,

seksualnie i na inne sposoby, gdy byliśmy bezbronni.

Straszna opowieść, a przecież nienaznaczona dramatyczną tonacją, syntetyczna, płynna, jasna, przytaczająca fakty, nazwiska, daty, dokumentująca każdy szczegół. Nie wyczuwa się w niej między wierszami zawziętości, rzuca się

natomiast w oczy potrzeba
potwierdzenia nauki
Ewangelii: spójności, miłości
bliźniego, miłosierdzia
w prawdzie. Po opuszczeniu
zgromadzenia niemal
wszyscy ci byli legioniści
z trudem rozpoczęli nowe
życie.

Niektórzy ożenili się
i zostali ojcami rodzin. Inni
pozostali duchownymi, ale
już nie legionistami.
Opublikowanie ich historii

w amerykańskiej gazecie „The Hartford Courant” natychmiast wyzwoлиło negatywne reakcje zarówno w Watykanie, jak i wewnątrz samego Legionu Chrystusa, i ogólnie zostało przyjęte z irytacją.

Kontrofensywa nastąpiła szybko, a władze zgromadzenia zwróciły się do najlepszych adwokatów, żeby zbadać prawne strategie pozwalające

wszystko wyciszyć. Groziły
pозwami w nadziei, że
zdołają zneutralizować
rysujący się na horyzoncie
wielki skandal. W murach
Pałacu Apostolskiego
oskarżenia przeciwko ojcu
Macielowi wciąż wydawały
się nienormalne,
niewiarygodne. Cały zastęp
adwokatów wziął się do
pracy, by powstrzymać
dziennikarskie śledztwo.
Rozwścieczony Maciel

chciał tym wszystkim byłym legionistom zamknąć usta, podsycając podejrzenie, że ich zamiarem jest oczernić jego osobę, aby zaszkodzić zgromadzeniu. Ofiary uporczywie powtarzały, że ich akcja wynikała wyłącznie z chęci zrekonstruowania prawdy. Było w nich pragnienie sprawiedliwości, nie zemsty. Nie chcieli przeciwko nikomu spiskować: „My, Ojczy

Święty, nie mamy żadnych powodów, by wchodzić z tymi ludźmi w konflikty, jako że śpiewaliśmy z nimi kiedyś wspólnie: ... *congregavit nos in unum Christi amor*"⁴. W liście było odniesienie do „mrocznego zła” i do bolesnej rzeczywistości ukrytej w murach klasztorów Legionistów Chrystusa. Nikomu wcześniej nie przyszłoby nawet na myśl,

żeby podawać w wątpliwość tak ważną i wpływową wspólnotę religijną.

Sformułowanie tego rodzaju zgłoszenia nie było proste dla ówczesnych seminarzystów, dręczonych złymi wspomnieniami. Ten krok kosztował ich bardzo wiele: musieli pokonać bariery psychologiczne, przełamać schematy, stawić czoło opinii publicznej, wziąć na siebie ryzyko, że

staną się celem ataków ze strony bardzo jeszcze potężnego systemu. Dobrze wiedzieli, jak wszyscy, że dominującą tendencją w Kościele pozostaje ukrywanie skandali seksualnych, a nie publiczne ich ujawnianie. Jednak, jak powiedzieli później, pewne bolesne zdarzenie zachęciło ich, a właściwie prawie zmusiło do przerwania milczenia.

Stało się to, kiedy największy meksykański dziennik opublikował zdjęcie przedstawiające Jana Pawła II obejmującego ojca Maciela. Fotografia wykonana podczas audiencji w Watykanie z okazji pięćdziesiątej rocznicy jego kapłaństwa była dla niegdysiejszych seminarzystów, zgwałconych przez Maciela, jak policzek, jak ukłucie

prosto w serce. Jawiła się im
jako plastyczne
zobrazowanie Dobra
obejmującego Zło. Dla
kogoś, kto nosił w sercu tak
ogromne cierpienie, było nie
do zniesienia – jak wyjaśnili
potem – patrzeć na ten
obraz i czytać o „Jego
Świątobliwości, który
skierował do ojca Marciała
Maciela Degollado słowa
wsparcia oraz gratulacje,
opublikowane 4 grudnia

1994 roku
w najważniejszym
meksykańskim dzienniku,
w którym pokazany został
bilecik z tekstem i podpisem
papieża”. Papież nazwał
ojca Maciela skutecznym
przewodnikiem dla
wszystkich młodych,
księdzem, który ustanowił
Chrystusa jedynym
kryterium swojego życia
oraz pracy duszpasterskiej.
To wszystko wywołało

wewnętrzny bunt w tych ośmiu oddalonych od siebie mężczyznach i połączyło ich w pilnej potrzebie przerwania łańcucha kłamstw. Była to reakcja spontaniczna, natychmiastowa, bardzo silna, być może uśpiona i tłumiona od dawna, której teraz żaden z tych mężczyzn nie mógł już uniknąć i przed którą żaden nie mógł już się cofnąć. Ten krok mógł

naznaczyć historię. Nie było łatwo ośmiu sygnatariuszom tego doniesienia nawiązać na nowo kontakty: od czasu, kiedy opuścili zgromadzenie, minęło wiele lat. Niektórzy z nich nie mieszkali już w Meksyku, kilku przeprowadziło się do Stanów Zjednoczonych. Jednak wszyscy pragnęli, by ich wysłuchano. Tak poważne oskarżenia nie mogły trafić w próżnię,

spłynąć gdzieś bez żadnych konsekwencji niczym woda po szybie. Ten wychwalany przez gazety ksiądz nie był taki, jak go wszyscy opisywali. Jak to możliwe, że w Watykanie nikt się nigdy nie zorientował? Właśnie w taki sposób rozpoczęła się ich batalia o prawdę.

Tymczasem przypadek ten wywołał wojnę medialną. „The Hartford Courant”

został oskarżony przez legionistów o publikowanie fałszywych informacji. Amerykański rzecznik zgromadzenia skorzystał nawet z usług notariusza, u którego złożono oświadczenie, aby bardziej uwiarygodnić linię obrony. „Ojciec Maciel i legioniści absolutnie zaprzeczają tego rodzaju oskarżeniom. Nasz klient jest gotowy udowodnić ich całkowitą

nieprawdziwość”, napisane było w czterostronicowym faksie wysłanym do gazety przez kancelarię Kirkland & Ellis. Ze względu na autorytet, jakim cieszył się ojciec Maciel, oskarżyciele skończyli w medialnej maszynce do mięsa, wytykani przez prasę kierowaną przez legionistów jako osoby godne pogardy, szantażyści, kłamcy, kierujący się zamiarem

oczernienia Kościoła. Ci, którzy musieli znosić tak wielkie cierpienie wywołane przeżytym koszmarem, teraz stanęli przed próbą uczynienia z nich nie ofiar, lecz katów i oszczerców.

A jednak dla sygnatariuszy tego zgłoszenia gra toczyła się o coś o wiele głębszego od konfliktu prawnego czy medialnego, o coś, co miało swoje korzenie

bezpośrednio w wierze.
Gdyby udało się im wszcząć
proces kanoniczny,
oznaczałoby to
przywrócenie porządku tam,
gdzie go brakowało.
Przywrócenie
sprawiedliwości. Wszyscy
oni wiedzieli, że wchodzą na
krętą ścieżkę. Mimo to
postanowili kroczyć nią
dalej. Z podniesioną głową.

Nie można milczeć ani

w samym Legionie, ani w Kościele. Tu chodzi o znowę milczenia, o wstydlive przykrywanie prawdy i kolejną niesprawiedliwość wobec ofiar ze strony osób będących częścią watykańskiej hierarchii albo członkami Kościoła meksykańskiego.

Oskarżenia były mocne. W końcu coś się ruszyło.

Droga pod górę

Aż do reformy Benedykta XVI postawa Kościoła dotycząca wykorzystywania seksualnego przez księży była nakierowana bardziej na obronę dobrego imienia instytucji, nie zaś na wspieranie ofiar. Ośmiu byłych legionistów zdecydowanych, by zdemaskować perfidię ojca Maciela, wielokrotnie

znosiło oszczerstwa ze strony władz kościelnych.

Jeden z najdotkliwszych sądów sformułowany został przez arcybiskupa stolicy Meksyku, kardynała Norberta Riverę Carrerę, który zaatakował oskarżycieli, twierdząc, że opowiadają wyłącznie nieprawdę. Prałat - jeden z purpuratów najbliższych założycielowi Legionistów Chrystusa - nie poczuł

nawet potrzeby, by wezwać
ich do arcybiskupstwa
i wysłuchać bezpośrednio
ich wersji wydarzeń,
przekonać się osobiście, czy
to, o czym mówią, jest
prawdą. Nic z tych rzeczy.
Żadnego zbliżenia do
sprawy, żadnej
przychylności, odruchu
empatii czy ludzkiego
rozumienia wobec tych,
którzy przeszli straszne
traumy. Nic takiego się nie

stało. Przeciwnie, przed kamerami jednej ze stacji telewizyjnych kardynał przyjął chłodną, niemal szyderczą postawę. Tak samo zachowali się były nuncjusz w Meksyku, Girolamo Prigione, oraz kardynał Cahal Daly, wpływowy purpurat irlandzki, również przyjaciel założyciela Legionistów Chrystusa. Do Daly'ego, prymasa Irlandii, ofiary

same wysłały obszerną dokumentację, szczególnie ilustrującą zbrodnie założyciela Legionistów Chrystusa, zgromadzenia dobrze zakorzenionego w Irlandii przez sieć seminariów, instytutów szkolnych i akademii językowej. Również ze strony tego hierarchy ośmiu byłych legionistów dręczonych w młodości przez Maciela nie doczekało

się żadnej odpowiedzi.

W liście skierowanym do papieża ofiary pisały:

Wasza Świątobliwość,
gdyby wiele osób
w Legionie mogło mówić
i nie było psychologicznie
skłaniane do milczenia
przez źle pojmowaną
lojalność wobec instytucji
i ojca Maciela, o wiele
więcej prawdy wyszłoby
na jaw.

Przypadki wykorzystywania seksualnego, do których odnosili się składający doniesienie, sięgały lat pięćdziesiątych, a doszło do nich przeważnie w rzymskim domu, gdzie kształcono przyszłych duchownych. Kiedy do prasy zaczęły przeciekać wiadomości o dochodzeniu, nikt nie zdawał sobie jeszcze sprawy z rozmiarów tego, co się dzieje:

rozrywała się zasłona przykrywająca jedną z najbardziej niepokojących spraw, jakie wydarzyły się na przestrzeni ostatnich wieków. Przypadek ten ujawnił nieszczelność systemu kościelnego, brak kontroli, nieumiejętność oceny osobowości duchownych. Oczywiście, przeprowadzono w 1956 roku śledztwo dotyczące nadużywania narkotyków,

potem jednak je umorzono, ale poza tym w Watykanie nikt nigdy nie czuł potrzeby szczegółowego zbadania tej sprawy. Tym razem jednak oskarżyciele byli zdeterminowani i postanowili się nie poddawać. Droga do osiągnięcia celu była stroma i najeżona przeszkodami, ale nie miało to znaczenia.

Siedemnastego

października 1998 roku

teczka z dokumentami
trafiła w końcu na biurko
podsekretarza Kongregacji
Nauki Wiary, ojca
Gianfranca Girottiego,
franciszkanina blisko
powiązanego
z Ratzingerem, jego byłego
współpracownika
w Świątym Oficjum.
Girottiego wszyscy uznawali
za znakomitego prawnika
i człowieka wiary. Z punktu
widzenia prawa

kanonicznego zbrodnia
zarzucana Macielowi
dotyczyła rozgrzeszenia
w spowiedzi jego współnika
w grzechu. Dla Kościoła jest
to jedno
z najpoważniejszych
przestępstw, uznawanych za
tak odrażające, że nigdy nie
ulega przedawnieniu, nawet
po upływie dziesięcioleci.
Wystarczy, że fakt zostanie
udowodniony, a winnego
wyklucza się automatycznie

z komunii z Kościołem, tzn. ekskomunikuje. Dossier, które otrzymał ojciec Girotti, opatrzone było na g ł ó w k i e m *Absolutionis complicitis. Arturo Jurado et alii - rev. Marcial Maciel Degollado.*

W tamtym okresie przestępstwa pedofilii albo te związane z wykorzystywaniem seksualnym regulowane były jeszcze przez stare przepisy

kanoniczne. Kiedy Jan Paweł II w 2001 roku wprowadził zmiany zaostrzające przewidziane kary, skandal już się rozprzestrzenił, głównie w krajach anglosaskich, czyszcząc kasy amerykańskich diecezji, zmuszonych wypłacać rekordowe odszkodowania, a przede wszystkim wystawiając na ciężką próbę wiarygodność całego

systemu. Opinia publiczna była osłupiała i wściekła. Duchowni tracili stopniowo charyzmę, którą się dotąd cieszyli. Sondáže pokazywały, że ludzie nie ufają już Kościołowi, ponieważ nie potrafi on zadbać o porządek i sprawiedliwość we własnym domu. Wizerunek episkopatów został skompromitowany.

Jak wiadomo, skandal na

dobrze wybuchł w Bostonie, kiedy dowiedziano się, że pewien seryjny pedofil, zamiast zostać usunięty i oddany w ręce policji, był przenoszony z jednej parafii do drugiej, aby zatuszować sprawę. Kardynał Bernard Law, ówczesny arcybiskup Bostonu, ufając lekarzom, którzy opiekowali się duchownym i zapewniali, że jego przypadek jest uleczalny i wcale nie taki

poważny, za każdym razem
wrażał zgodę na
przeniesienie księdza. W ten
sposób zło przemieszczało
się od parafii do parafii,
zwiększając tym samym
liczbę ofiar.

Po Bostonie - gdzie
prawie stu duchownych
zostało oskarżonych
o wykorzystywanie
seksualne - nastąpił efekt
lawiny. W krótkim czasie
skandal wstrząsnął innymi

amerykańskimi diecezjami, aż wreszcie wyszedł poza granice kraju. Fala szybko rozlała się poza Stany Zjednoczone. Objęła Kanadę, Australię, Nową Zelandię, aż dotarła do Europy: Francji, Holandii, Wielkiej Brytanii, Niemiec, Austrii, Irlandii. W krajach o silnej tradycji katolickiej skandal wywołał wręcz efekt tsunami. Wspólnota katolicka była zszokowana,

zarówno z powodu
rozmiarów zjawiska, jak też
postawy Watykanu, który
zdawał się nastawiony na
jego pomniejszanie, by nie
narazić dobrego imienia
Kościoła. Szybko
rozpowszechniło się
wrażenie, że to sam papież
nie chce wyciąć raz na
zawsze tego raka, który
niszczył od wewnątrz
zaufanie wśród
amerykańskich wspólnot

katolickich. Opinia publiczna miała ogromne znaczenie w szerzeniu tych wiadomości, aż w końcu zmusiła Watykan do sięgnięcia po środki zaradcze. Wewnątrz Kościoła zmieniało się stopniowo podejście do sprawy wykorzystywania seksualnego. W Kurii proces reformy kierowano powoli na właściwe tory, choć odbywało się to

z nieusprawiedliwionym i nagannym opóźnieniem. Wśród prawników, którym Jan Paweł II zlecił zadanie zaostrożenia kar kanonicznych, pojawiły się dwa różne nastawienia. Z jednej strony opowiadano się za przyjęciem domniemania niewinności, z drugiej strony zaś wykluczano jakąkolwiek tolerancję, a nawet rozważano możliwość

przekazania sądu nad duchownym-potworem władzy świeckiej. Prawnicy wypracowali podstawę nowych norm, choć *Delicta graviora*, czyli podpisane przez papieża *motu proprio*, lokowało się w pół drogi między dwoma stanowiskami. Dokument ten wydawał się wielu osobom zbyt łagodny, ponieważ pedofilię traktowano w nim jako

zbrodnię przeciwko moralności, a nie przeciwko człowiekowi, inni zaś uważali proponowane środki za drakońskie.

Jego Ekscelencja Domenico Sorrentino, arcybiskup Asyżu, w eseju zatytułowanym *Nella notte una luce* (Światło pośród nocy), przyznaje, że „bez wątpienia grzech popełniany przez księdza, czyli przez Bożego kapłana

i wychowawcę wspólnoty w wartościach Ewangelii, jest podwójnie niezrozumiały, obciąża bowiem sumienie kogoś, kto sam powinien sumienia kształtować". Przyznanie, że dla opinii publicznej zbrodnia pedofilii popełniona przez księdza ma większą wagę, stanowiło samo w sobie krok naprzód w stosunku do postawy z przeszłości. Píše

Sorrentino: „W zgiełku skandalu pojawiło się światło, to znaczy żywa reakcja moralnej świadomości. Słusznie jest reagować bez wahania, stając u boku ofiar”.

W poprzednich dziesięcioleciach przeważało jednak zupełnie inne myślenie. Obawa przed wywołaniem publicznego skandalu była zdecydowanie silniejsza od potrzeby

zwalczania zbrodni, dlatego wszelkie inne względy schodziły na drugi plan, a przedstawiciele hierarchii kościelnej zachowywali się stosownie do tej sytuacji. Priorytetem było nie szkodzić wizerunkowi Kościoła; to właśnie on stawał się najwyższym dobrem, które należało chronić. Unikano doniesień, upubliczniania, nie sprzyjano śledztwom

policyjnym, obawiano się wyroków sądów cywilnych. Krótko mówiąc, jeśli już prano brudy, to czyniono to wyłącznie we własnym domu.

Jednym z pierwszych kardynałów z Kurii, którzy zastanawiali się nad koniecznością rewizji obowiązujących praw kanonicznych, by surowo karać duchownych dopuszczających się

molestowania, był właśnie Ratzinger, w tamtym czasie prefekt w Kongregacji Nauki Wiary. Potwierdziło to czasopismo jezuitów „La Civiltà Cattolica”, które w 2010 roku opublikowało wspomnienie biskupa Opus Dei, Juana Ignacia Arriety, sekretarza Papieskiej Rady ds. Interpretacji Tekstów Prawnych. Biskup ujawnił tożsamość tego, kto pod koniec lat osiemdziesiątych

wziął do ręki papier i pióro, aby poprosić prawników o przestudiowanie reformy kanonicznej zdolnej skuteczniej i bardziej sprawiedliwie zmierzyć się z tą kwestią. Język tego komunikatu jest trochę tajemniczy, ale treść bardzo jasna. Ratzinger pisał:

Takie rozporządzenia powinny, dla dobra wiernych, poprzedzać

ewentualne udzielenie dyspensy kapłańskiej, która ze swej natury kształtuje się jako łaska na korzyść oratora. Przy oczekiwanej złożoności przewidywanej przez Kodeks procedury, można się spodziewać, że niektórzy biskupi napotkają niemało trudności w jej realizacji [...] W określonych przypadkach można by

przewidzieć procedurę
szybszą i uproszczoną.

W liście tym przyszedł papież
okazywał „odrazę” wobec
idei wewnętrznego systemu
prawnego skłonnego
udzielać jako aktu łaski
dyspensy winnemu
wykorzystywania, gdy
tymczasem było oczywiste,
że należy odwołać się do
przykładowej kary, poza
sprowadzeniem pedofila do

stanu świeckiego.
Natomiast w tamtych
czasach preferowano
nakłanianie księdza, by
„dobrowolnie” poprosił
o możliwość porzucenia
drogi kapłaństwa.
„Postępując w ten sposób”,
pisał Arrieta, „rezygnowano
także ze sprawiedliwości i,
jak uzasadniał kardynał
Ratzinger, niesłusznie
odsuwano na bok dobro
wiernych”.

Właśnie to było
kluczowym punktem: dobro
wiernych, które - z powodu
utrwalonej procedury -
schodziło dotąd na drugi
plan. Amerykański skandal
z lat dziewięćdziesiątych
pobudził do głębszej
refleksji. Pod presją opinii
publicznej i nowej kultury
władze kościelne zrozumiały
wreszcie, że istnieje
potrzeba zreformowania
ordynacji prawa

kanonicznego. Pierwsza reforma w tym względzie zajęła się *delicta graviora*, najcięższymi przestępstwami. Jej normy zostały ogłoszone w 2001 roku. Był to ważny krok, ale nie decydujący, który położył z kolei podwaliny pod dalsze przykręcenie śruby. Nastąpiło to w lipcu 2010 roku. Przy tamtej okazji Benedykt XVI ustanowił, że wobec bardzo

poważnych przypadków
możliwe będzie
natychmiastowe
sprowadzenie do stanu
świeckiego księdza
uznanego za winnego
wykorzystywania
seksualnego nieletnich
(*dimissione ex officio*).
Papież tym postanowieniem
wskazał na radykalny krok
proceduralny, o który sam
dopominał się przed laty,
będąc na innym stanowisku.

W wewnętrznej korespondencji z tamtych czasów wiele zaprotokołowanych listów odnosi się do jego prośby o przydzielenie Świętemu Oficjum specjalnych uprawnień. Uprawnień, które już wówczas pozwoliłyby natychmiast reagować na anormalne przypadki, takie jak sprawa ojca Maciela.

Ale czasy najwyraźniej

jeszcze do tego nie dojrzały, bo stanowcze głosy, by wszcząć postępowanie przeciwko założycielowi Legionistów Chrystusa, za pontyfikatu Jana Pawła II, jakoś nie zostały usłyszane. Dopiero w 2008 roku kompetencje Kongregacji Nauki Wiary zostały uaktualnione i poszerzone. Rzecznik watykański ojciec Federico Lombardi wyjaśnił, że chodziło o „wielki wkład

w jasność
i zagwarantowanie prawa
w dziedzinie, w którą
Kościół angażuje się silnie,
by postępować z surowością
i przejrzystością,
odpowiadając w pełni na
słuszne oczekiwania
ochrony i moralnej
spójności”. Obowiązujące
obecnie nowe normy
przewidują, że
w szczególnych
przypadkach księży zostają

skazani przez Kościół
również bez procesu
sądowego. Potrzebne są
oczywiście jednoznaczne
dowody, aby zastosować
prosty dekret
administracyjny lub osobisty
dokument papieski.

System

W ostatnim okresie pontyfikatu Jana Pawła II nie podjęto wystarczających działań na rzecz transparentności, które pozwoliłyby zdemaskować ojca Maciela. Jego przypadek pozostanie odbiegającym od normy przykładem krótkowzroczności całego systemu. Mimo oskarżeń,

które dotarły aż na szczyty, kanoniczne śledztwo utknęło w biurokratycznym gąszczu. Jeszcze dziś niewyjaśnione pozostaje zachowanie tych, którzy zetknęli się z doniesieniem ośmiu byłych legionistów. W oczekiwaniu na odgórne polecenia urzędnicy watykańscy zwlekali, pogrążeni jak zwykle w bezruchu. Również w przeszłości, jak już powiedzieliśmy,

doniesienie przeciwko
Macielowi zostało
zignorowane bez żadnych
wyjaśnień. To samo
powtórzyło się pod koniec
lat dziewięćdziesiątych i na
nic zdały się telefony
adwokatki rotalnej Marthy
Wegan, która
reprezentowała byłych
legionistów. Domagała się
odpowiedzi, wiadomości,
wyjaśnień, bez skutku.
W Kurii ktoś stłumił tę

inicjatywę śledczą jako manewr antyklerykalny, „spisek masoński i żydowski, mający na celu osłabienie papieża i uderzenie w tak zasłużoną postać jak ojciec Maciel”, jak wyrwało się pewnego dnia jednemu z kurialnych kardynałów.

Alberto Athié, jeden z oskarżycieli Degollada, opowiadał, że w 1999 roku napisał drugi list na temat swojej sprawy, powierzając

go jednemu z biskupów, Jego Ekscelencji Carlosowi Talaverze, w przeddzień jego wyjazdu do Rzymu. Prałat uspokoił go, zapewniając, że dostarczy pismo do Watykanu. Po dotarciu do celu biskup spotkał się z ówczesnym prefektem Kongregacji Nauki Wiary, Ratzingerem. Ten wyjaśnił mu, że sprawa jest bardzo delikatna, że ojciec Maciel jest

przyjacielem Ojca Świętego, że założony przez niego zakon uczynił wiele dobrego w Ameryce Łacińskiej, przyczyniając się do licznych powołań kapłańskich. Z trudem, powiedział Ratzinger, udałoby się popchnąć tę sprawę do przodu. Konsternacja Athiego mieszała się z niedowierzaniem. Widać było wyraźnie, że ojciec Maciel może liczyć w Kurii

na życzliwe spojrzenia, na przyjazne kontakty, na uprzejme gesty. Miał dobre powiązania, poczynając od papieskiego sekretarza, Stanisława Dziwisza. Równie dobre stosunki łączyły go z polskim kardynałem Andrzejem Deskurem, z kardynałem Eduardem Martínezem Somalem, z biskupem Stanisławem Ryłką, z meksykańskim kardynałem

Barragánem, z wpływowym zastępcą w Sekretariacie Stanu, Leonardem Sandrim, dzisiaj kardynałem.

W kręgu jego popleczników ważne miejsce zajmował również ówczesny sekretarz stanu Angelo Sodano, który miał sposobność poznać Maciela bezpośrednio, kiedy stał na czele nuncjatury w Santiago de Chile, pod okrutną dyktaturą generała

Pinocheta. Sodano był
wśród tych, którzy pomogli
zgromadzeniu w powstaniu
wielkiego Uniwersytetu
Regina Apostolorum,
będącego chlubą
Legionistów Chrystusa
w Rzymie. Być może
również dlatego po śmierci
ojca Maciela w 2008 roku
prestżowe czasopismo
północnoamerykańskich
jezuitów, „America”,
rozpoznało właśnie

w sekretarzu stanu jednego z odpowiedzialnych za zмовę milczenia, jaka zawisła nad tą potworną sprawą: „Jest kardynał, którego głowa powinna spaść, Angelo Sodano. Jego dymisja byłaby najlepszym wyjściem, by nigdy takie osoby jak ojciec Maciel nie były w tak obrzydliwy sposób ochraniane w Rzymie”, napisał Austen Ivereigh. Faktycznie, sięć

znajomości, jaką ojciec Maciel utkał, godny zaufania wizerunek, jaki stworzył, osobiste stosunki z Janem Pawłem II i cała reszta osłaniały go czymś w rodzaju tarczy. Nie licząc oszałamiających rezultatów, jeśli chodzi o liczbę powołań, jakie osiągał Legion, nawet sześćdziesięciu nowych duchownych rocznie. Właśnie dlatego Watykan

z podejrzliwością podchodził do skarg ofiar, uznając je za niewiarygodne. Pojawiała się wątpliwość, że jest to owoc fantazji grupy mitomanów. Nie ma co zaprzeczać: oskarżenie przeciw Macielowi, tak bardzo hańbiące, uderzało w jednego z najbardziej znanych i wpływowych ludzi z otoczenia papieża Wojtyły.

Wobec tego rozgłosu, w poczuciu zagrożenia,

ojciec Maciel rozpoczął bardzo agresywną kontrofensywę medialną. Jej celem było powstrzymanie ogromnych szkód, jakie skandal wyrządzał jego wizerunkowi. Po pierwsze, dał swoim adwokatom pełnomocnictwo, by pozwali do sądu wszystkie gazety publikujące artykuły na jego temat. Był wściekły: „To spisek przeciwko mnie, przeciwko Kościołowi. To

kolejna akcja demona”,
powtarzał obsesyjnie swoim
najbliższym
współpracownikom. Na
potwierdzenie swojej
niewinności przywoływał
jeden szczegół: składających
doniesienie było początkowo
dziewięciu, ale potem jeden
z nich, Miguel Díaz Rivera,
wycofał oskarżenie. Tę
nagłą zmianę decyzji
uzasadnił tym, że dał się
wciągnąć w zaistniałą

sytuację. Wyjaśnił, że naciski skłoniły go, aby poświadczyć coś, co nie było do końca prawdą. Właśnie jego wahanie stanowiło główny punkt obrony ojca Maciela, który powoływał się na ten aspekt sprawy, jak również na deklaracje trzech innych oskarżycieli - Ariasa Sáncheza, Valente Velázquez i Jorge Luisa Gonzáleza Limóna - którzy, podobnie jak Miguel Díaz

Rivera, wspomnieli
o wywieranych naciskach,
aby uwiarygodnić
oskarżycielską tezę.
Jednocześnie rzecznik
meksykańskiej Konferencji
Episkopatu wysunął znany
już argument o spisku
uknutym, aby obrzucić
błotem Kościół, ponieważ –
jak zapewniał – oskarżenia
te były całkowicie
bezpodstawne. Inny
meksykański biskup,

Abelardo Alvarado, twierdził wręcz, że z braku dowodów nie można wszcząć żadnego dochodzenia, a poza tym to na pewno nie sąd, lecz Watykan jest jedyną władzą upoważnioną do zajmowania się tą sprawą.

Po latach, kiedy na tronie Piotrowym zasiadał Joseph Ratzinger, pewien meksykański prałat, podczas jednej z okresowych audiencji zarezerwowanych

dla narodowych
episkopatów, zapytał
z nienacka, dlaczego Kościół
czekał tak długo
z poczynieniem kroków
w stosunku do ojca Maciela.
Jak wynika z przecieków
z tego spotkania, Benedykt
XVI skwitował to pytanie
wyważoną odpowiedzią,
dając rozmówcy do
zrozumienia, że nie mógł
zrobić nic więcej ponad to,
co uczynił jako prefekt

Kongregacji Nauki Wiary. Chciał przez to powiedzieć, że nawet najbliższy współpracownik Jana Pawła II, to znaczy on, miał w tym przypadku związane ręce. Krótko mówiąc, gdyby to zależało od niego, śledztwo kanoniczne od samego początku przyjęłoby inny obrót i zostałoby wszczęte o wiele wcześniej. Gdyby tak się stało, być może cała historia miałaby

inny epilog.

Dochodzenie z 2005 roku zakończyło się po roku postanowieniem o odizolowaniu osiemdziesięcioletniego już ojca Maciela. Miał prowadzić życie w odosobnieniu i w modlitwie. Komunikat Stolicy Świętej wydany przy tamtej okazji precyzował, że z powodu zaawansowanego wieku i wątłego zdrowia

oskarżonego Kongregacja Nauki Wiary rezygnuje z poddania go procesowi kanonicznemu. Separując go od świata, oszczędzono mu upokorzenia związanego ze stawieniem się w sądzie. W ten sposób po raz ostatni okazano ojcu Macielowi względy.

Ostatnie płomienie

Wielu, zarówno w Kościele, jak i poza nim, oczekiwałoby od papieża czegoś zupełnie innego. Choćby ekskomuniki kapłana, sankcji, której nigdy nie rozważano. Maciel został ułaskawiony. Wyjątek, jaki dla niego uczyniono, wynikał być może z konieczności obrony przez Kościół zgromadzenia Legionistów Chrystusa

i chronienia kongregacji przed nadciągającą burzą.

Tekst komunikatu wydanego tamtego dnia przez watykańskie biuro prasowe, autoryzowany przez ówczesnego sekretarza stanu Sodano, pozostaje arcydziełem słownej ekwilibrysty. Komunikat nie wymienia głównych punktów oskarżenia, nie zajmuje się ofiarami, pomija zło

czynione przez niemal pół
wieku, ale przede wszystkim
nie podaje żadnego
wyjaśnienia, dlaczego tak
niewiarygodnie długo
władze watykańskie
zwlekały
z przedsięwzięciem
środków, które mogłyby
powstrzymać ojca Maciela,
ani też nie tłumaczy,
dlaczego nigdy nie zostało
wszczęte przeciwko niemu
żadne postępowanie

kanoniczne. Sprawiedliwość nie była dla wszystkich równa, a może znów wmieszał się w to diabeł. W dokumencie tym potwierdzano tylko, że do byłego Świętego Oficjum oskarżenia „o przestępstwa objęte wyłączną kompetencją Kongregacji” dotarły w 1998 roku, choć w 2002 roku „Wielebny Maciel opublikował oświadczenie, aby

zaprzeczyć tym
oskarżeniom i wyrazić
smutek z powodu zniewagi,
jakiej doznał ze strony kilku
byłych Legionistów
Chrystusa”. Próba
usprawiedliwienia opóźnień
w postępowaniu karnym
wzbogaca się o kolejne
uzupełnienie, kiedy
w tekście precyzuje się, że
po trzech latach „z powodu
zaawansowanego wieku
Wielebny Maciel wycofał się

z urzędu Generalnego
Przełożonego Zgromadzenia
Legionistów Chrystusa”.
Dokument nic jednak nie
mówi o tym, czy to zejście
ojca Maciela ze sceny
odbyło się pod presją
Watykanu.

Wszystkie te elementy
stały się przedmiotem
dogłębnego badania ze
strony Kongregacji
i w myśl *motu proprio*

Sacramentorum

sanctitatis tutela,

ogłoszonego 30 kwietnia

2001 roku przez Sługę

Bożego Jana Pawła II,

ówczesny Prefekt

Kongregacji Nauki Wiary,

Jego Ekscelencja

Kardynał Joseph

Ratzinger, udzielił

pozwolenia na

dochodzenie w sprawie

oskarżeń.

Tymczasem po śmierci Jana Pawła II i wyborze Ratzingera postanowiono wszcząć postępowanie przeciwko ojcu Macielowi, zważając jednak na „zarówno zaawansowany wiek, jak i jego wątłe zdrowie”. Watykan wyjaśniał, że postanowiono „zrezygnować z procesu kanonicznego, zachęcając Ojca do dyskretnego życia w modlitwie i pokucie oraz

wycofania się z wszelkich posług kapłańskich”. W celu uniknięcia nieporozumień komunikat precyzował, że za tymi decyzjami stoi Ojciec Święty, który „niezależnie od osoby założyciela z wdzięcznością przyjmuje zasłużony apostolat Legionistów Chrystusa oraz Stowarzyszenia Regnum Christi”.

Na wyższych piętrach

Pałacu Apostolskiego przeważała linia „miłosierdzia”, a Ratzinger po raz kolejny musiał się dostosować do wymogów racji stanu.

Było jasne, że górę wzięła Realpolitik: chodziło o to, by nie zniszczyć tego wszystkiego, co ojciec Maciel zbudował przez pół wieku. Dla Kościoła Legion pozostawał wciąż bardzo ważnym elementem.

Reprezentowało go pięciuset księży, kolejnych dwa i pół tysiąca gotowych przywdziać sutannę, tysiąc konsekrowanych świeckich, trzy tysiące aktywnych członków w dwudziestu krajach. Prawdziwa potęga. Ignorowanie tej rzeczywistości, ukaranie wraz z jej założycielem, wyrządziłoby szkodę, byłoby strategicznym błędem. W rezultacie przyjęty

kierunek polityczny
nastawiono na ochronę
wszystkich pozytywnych
aspektów związanych z tą
niepokojącą postacią: szkół,
uniwersytetów, seminariów.
Ci, którzy w Watykanie
upierali się przy postawie
miłosiernej, odwoływali się
właśnie do tego argumentu:
za Macielem przemawiały
stworzone przez niego
dzieła.

Jeszcze rok wcześniej,

w listopadzie 2004 roku,
kiedy skandal wybuchł już
na łamach gazet połowy
świata, założycielowi
Legionistów Chrystusa
pozwolono, i to bez
większych trudności,
świętować
sześćdziesięciolecie
kapłaństwa wraz
z papieżem. Właśnie to
wydarzenie wywołało
reakcję ośmiu byłych
legionistów. Uroczystość

przygotowano z największą pompą. Jan Paweł II, wyniszczony już przez chorobę Parkinsona, praktycznie sparaliżowany na swoim tronie, kiedy zobaczył przed sobą Maciela, niepewną i drżącą ręką wykonał gest, który mógł sugerować, że chciał go pogłaskać. Flesze aparatów fotograficznych uchwyciły jakby ślad czułego uśmiechu. Zdjęcie obieгло

świat, wywołując wśród wiernych przewidywalną konsternację i zakłopotanie. Zdawało się, jakby echa skandalu nie docierały do Rzymu. Obchody były solenne. Ceremonia przygotowana przez Legionistów Chrystusa składała się z trzech części: mszy w bazylice Świętego Pawła za Murami; audiencji papieskiej w Auli Pawła VI; wielkiego przyjęcia

w siedzibie Uniwersytetu
Regina Apostolorum,
w którym wzięli udział
kardynałowie, arcybiskupi
i różne osobistości świata
katolickiego. Dziennik
„L'Osservatore Romano”
poświęcił tym wydarzeniom
obszerne sprawozdanie,
opatrując je pochwalnym
tytułem i przywołując słowa
samego papieża: „Ojciec
Maciel, życie naznaczone
misjonarską i duchową

płodnością”. Dziennik relacjonował, że „szkoła wiary Legionu wykształciła około czterdziestu tysięcy katechetów, z których wielu pracowało później w środowisku ludzi z marginesu społecznego”. Widok w bazylice był oszałamiający. Zebrało się tam pięciuset kapłanów, cała rzesza purpuratów, poczynając od Angela Sodana, Norberta Rivery

Carrery, arcybiskupa
Meksyku, Słoweńca Franca
Rodégo, prefekta
Kongregacji ds.
Duchowieństwa
i arcybiskupa Leonarda
Sandriego, któremu Jan
Paweł II powierzył zadanie
odczytania jego życzeń.

Papież Wojtyła, który
w tamtym czasie czuł się już
bardzo źle, nie mógł
uczestniczyć w uroczystości.
Gdyby zdrowie mu

pozwoili, na pewno by sie nie zawahał. Napisał jednak serdeczne w treści życzenia, które w jego imieniu przeczytał Jego Ekscelencja Sandri. W swoim posłaniu papież oświadczał, że chce przyłączyć się duchowo do ogólnej radości i do wspólnych „podziękowań”. Zaznaczył, że ta rocznica jest odpowiednią okazją, aby wyrazić wdzięczność Bogu za dar takiego kapłana,

którego życie jest „naznaczone misjonarską i duchową płodnością”. Sandri, przyszły kardynał, prefekt Kongregacji ds. Kościołów Wschodnich, odczytał tekst, wyraźnie skandując słowa: „Powierzam was, drogi ojcze Maciel, boskiej opiece Maryi Dziewicy, matki Kapłanów i z miłością posyłam wam specjalne błogosławieństwo”.

Tamtego dnia przed ołtarzem obecnych było także pięćdziesięciu dziewięciu nowych kapłanów z Legionistów Chrystusa, wyświęconych dzień wcześniej w bazylice Matki Bożej Większej przez kardynała Rodégo, jeszcze jednego nieugiętego poplecznika ojca Maciela. Również on zdawał się ignorować sprawę wykorzystywania

seksualnego i zwrócił się do
założyciela Legionu
z niezwykle pochwałą,
sławiąc jego moralną
szlachetność. Dziękował mu
w imieniu Kościoła za
dotychczasowe wysiłki, za
przykład dawany światu i za
oddanie w ewangelizacji.
Chór pochwał rozbrzmiewał
w bazylice, jakby nigdy nie
istniała potężna
dokumentacja dotycząca
przypadków

wykorzystywania seksualnego przez Maciela, która od dawna leżała w oczekiwaniu na rozpatrzenie w biurach Kongregacji ds. Duchowieństwa:

Dziękujemy ojcu Macielowi za jego sześćdziesiąt lat kapłańskiej wierności i za tych młodych, którzy dzisiaj przygotowują się,

aby pójść jego śladami
w drużynie Chrystusa.

Kardynał mówił, obserwując
z zadowoleniem stojący
przed nim gęsty tłum
legionistów, nienaganych,
w wykrochmalonych
sutannach, lśniących butach,
starannie uczesanych,
właśnie takich, jakimi chciał
ich widzieć założyciel
zakonu: „Pragniemy
wszyscy połączyć się

z ojcem Marcialem Macielem, który świętuje sześćdziesiąt lat swojej ordynacji”. Rodé kontynuował:

Kiedy zbliżał się moment ordynacji, która nastąpiła 26 listopada 1944 roku, jego duch próbował zjednoczyć się głęboko z Chrystusem, ponieważ wiedział on, że kapłaństwo wymaga

pełnej z nim identyfikacji,
towarzyszenia

Chrystusowi i znośnienia
z Nim kalwarii. Dziękuję,
ojcze, za to, co ojciec
zrobił przez te lata, i za
tych młodych, którzy
teraz przygotowują się,
by pójść śladami
Chrystusa kapłana.

Rodé wyliczał liczne sukcesy
prałata. A przecież tamtego
groteskowego dnia

najwyższe władze Kurii
dobrze wiedziały
o doniesieniach złożonych
w kancelarii trybunałów
watykańskich przez
mecenas Marthę Wegan.

Nie przeszkodziło to
prefektowi Kongregacji ds.
Duchowieństwa dokończyć
mszę, ogłaszając też
uroczyście „wspaniałą
wiadomość”: w drodze było
już ważne wyróżnienie dla
Legionu. Papież postanowił

zatwierdzić konstytucje
ruchu apostołskiego Regnum
Christi, co stanowiło
fundamentalny krok prawny,
na który władze legionistów
czekały od lat. W dekrecie
tym Kościół sankcjonuje
specyfikę tej organizacji
religijnej, której celem było
ustanowienie Królestwa
Chrystusa wśród ludzi
„poprzez uświęcenie jego
członków, w stanie
i warunkach życia, do jakich

powołał ich Bóg”. Dla całej społeczności Legionistów Chrystusa stanowiło to ostatni etap długiej drogi uznania przez Kościół. Biorąc pod uwagę moment, obwieszczenie kardynała Rodé jawiło się jako ukryte wotum zaufania wobec założyciela, na przekór krążącym na jego temat pogłoskom.

Mówi się, że tak nagłe zatwierdzenie tych

konstytucji zostało przyspieszone przez pogarszający się gwałtownie stan zdrowia Jana Pawła II. Pewne jest natomiast to, że papież Wojtyła nigdy nie przejrzał w całości ostatecznego tekstu, co powinien był uczynić. Nie pozwoliła mu na to słaba kondycja fizyczna. W owym czasie sprawami Watykanu kierowali sekretarz stanu Angelo Sodano i sekretarz

papieża Stanisław Dziwisz, który po konsultacji z papieżem zajmował się zazwyczaj przekazywaniem decyzji podjętych w urzędach Kurii. Ten tok postępowania krył jednak w sobie diaboliczną pułapkę. Dopiero po kilku latach dowiedziano się, że zatwierdzone zasady nie były kompletne: brakowało co najmniej stu. Te najbardziej niewygodne

i ograniczające podstawowe swobody osobiste zmodyfikowano.

Zatwierdzony tekst został oczyszczony, wydawał się niepełny. Gdyby taki był, zgodnie z dezyderatami Maciela, z trudem uzyskałby placet Wojtyły. Tymczasem jednak w domach legionistów wszystkie reguły stosowane były w komplecie. Nelly Ramírez Mota Velasco,

konsekrowana świecka, która praktycznie dorosła w siedzibach Legionistów Chrystusa, wyjawiała, że z tysiąca pięćdziesięciu ośmiu reguł dyscyplinujących w każdym aspekcie religijne życie wewnętrzne jedynie sto dwadzieścia osiem zostało faktycznie przekazanych do Watykanu w celu ich zatwierdzenia.

Pozostałe zostały celowo

ocenzone i ukryte:
miały charakter zbyt
przymusowy i nigdy by nie
przeszły. Dzięki temu
wybiegowi,
przygotowanemu bez
wiedzy Jana Pawła II, na
cztery miesiące przed jego
śmiercią, konstytucja
złożona ze stu dwudziestu
ośmiu artykułów
odnoszących się do życia
ruchu Regnum Christi,
w taki sposób

zweryfikowana i skrócona, uzyskała upragniony placet. Przez oszustwo. Mówi się, że to sekretarz stanu Sodano napisał do kardynała Rodégo, upoważniając go do działania.

Po pominięciu wewnętrznej analizy w Kongregacji ds. Duchowieństwa wszystko odbyło się szybko. „Konstytucja zatwierdzona przez Jana Pawła II na

pewno nie była tą pierwotną. Wewnętrzne reguły, na których opierało się nasze życie, były drobiazgowo i o wiele liczniejsze”, twierdzi Nelly. W pułapkę wpadł również kardynał Rodé.

W 2007 roku, trzy lata po wejściu w życie uznanych konstytucji i rok przed śmiercią Maciela, słoweński kardynał dowiedział się o tej

rozbieżności przypadkiem
i spadł z obłoków na ziemię.
Podczas Spotkania
Młodzieży i Rodziny
zorganizowanego w Atlancie
w USA prefekt znalazł się
przed stoiskiem
poświęconym życiu
konsekrowanemu
i skonsternowany oznajmił
obecny, że nie wiedział
o istnieniu w ramach
Regnum Christi
dodatkowych reguł poza stu

dwudziestoma ośmioma
zatwierdzonymi trzy lata
wcześniej. Ten moment
pamięta dobrze Nelly,
ponieważ tam była:

Żyłyśmy wewnątrz
całkowicie zamkniętego
systemu, oderwanego od
rzeczywistości, gdzie nie
dawano ci możliwości,
byś zdał sobie sprawę
z tego, co dzieje się na
zewnątrz. Żyłyśmy,

akceptując to wszystko, ponieważ byliśmy przekonane, że kroczymy ścieżką wytyczoną przez Boga. Nawet się nie buntowałyśmy, bo w głębi serca nosiłyśmy bardzo silną motywację i robiłyśmy wszystko, by czcić Chrystusa. Nie było tam żadnej wolności.

Nawet swobody
w podtrzymywaniu

związków przyjaźni.
Kontakty z osobami, które opuściły Legion, były systematycznie przerywane lub do nich zniechęcano. Gdyby jakaś dziewczyna podjęła decyzję, że opuszcza życie wspólnotowe i wraca do rodziny, przed odejściem nie mogłaby się z nikim pożegnać. Musiałaby spakować szybko walizkę i po cichu wyjechać, nie mogąc nawet uścisnąć

koleżanki z pokoju, żeby nie wywierać na nią wpływu. Wymknąć się jak złodziejka, jak cień. Od tej chwili przestałyby dla wszystkich istnieć. Oczywiście musiałyby zostawić tam książki, zapiski, broszury czy też inne materiały związane z wewnętrznym życiem grupy. „To wyjaśnia, dlaczego na zewnątrz nikt się nigdy nie dowiedział o istnieniu innych reguł, tych

przymusowych. Teksty
nigdzie nie krążyły”,
tłumaczy Nelly. Opisując
swoje bolesne
doświadczenie, kobieta
chciała uświadomić światu,
że

w Legionie panował duch
silnego fanatyzmu: żyło
się w przekonaniu, że
wszystkie normy i całe
funkcjonowanie systemu
są wytworem Boga,

dlatego też nikt nie mógł podawać tego w wątpliwość i osądzać. W Legionie pojęcie wierności interpretowane było jako pokorne przyłączenie się do dzieła założyciela. Nikomu nie przychodziło do głowy, żeby się zastanawiać, czy przypadkiem to wszystko jest spójne z wiernością Bogu i Ewangelii.

W tamtym czasie, dokładnie po podpisaniu papieskiego dekretu, ojciec Maciel miał powiedzieć jednemu ze swoich najbliższych współpracowników: „Teraz, kiedy Legion tak bardzo urósł, może się wydarzyć wszystko, ale nie będą już mogli nas tknąć”. Faktycznie, od pierwszej placówki szkolnej założonej w Meksyku w latach czterdziestych aż do

obecnego
rozprzestrzenienia się,
Legion przebył długą drogę.
Na wzór pierwszej szkoły
otwarto aż sto pięćdziesiąt
cztery ośrodki edukacyjne,
wśród nich dwadzieścia dwa
uniwersytety i siedemnaście
placówek szkolnych
przeznaczonych dla uczniów
pozbawionych środków,
Mano Amiga, położonych na
biednych obszarach
Ameryki Łacińskiej,

poczynając od slumsów wielkich metropolii aż po granice z dżunglą. Społeczne zaangażowanie świeckich z Regnum Christi obejmowało nawet budowę kompleksów mieszkalnych dla osób, które straciły dach nad głową w wyniku trzęsienia ziemi. W samym Meksyku zbudowano osiemset sześćdziesiąt trzy takie osiedla, łącznie z wszystkimi koniecznymi

placówkami, takimi jak
szkoły podstawowe
i średnie, ośrodki pomocy
medycznej i obiekty
sportowe, które pozwalały
zaspokoić potrzeby ofiar
dotkniętych przez katastrofy
naturalne, jak na przykład te
w Meksyku w 1985
i w 1997 roku. Należy
wymienić też budowę
jeszcze jednego wielkiego
kompleksu w Republice
Salwadoru, również

przeznaczonego dla
bezdomnych po trzęsieniu
ziemi w 2001 roku.

Legion był szczególnie
aktywny na froncie działań
społecznych. Mógł również
liczyć na system
mikrokredytów
wspierających małe firmy,
dzięki któremu utrzymywał
około trzystu tysięcy osób;
finansował szkolenia
zawodowe, dla ubogich
organizował sieć sklepów

i supermarketów z urzędowymi cenami maksymalnymi. Na rozległym archipelagu Legionistów Chrystusa nie brakowało działań pozytywnych. W Watykanie dobrze o tym wiadano. W 2004 roku, właśnie podczas obchodów sześćdziesiątej rocznicy kapłaństwa Maciela, w uroczystej atmosferze, wielokrotnie wychwalano

bilans dokonań: „Módlmy się do Boga, że podarował Kościołowi tak dobrego syna”. W tym podniosłym nastroju ojciec Luis Garza, prawa ręka Maciela, ujął mikrofon i powiedział:

W życiu Maciela jest doświadczenie miłości Boga, które staje się dotykalne i realne w tajemnicach naszego odkupienia. Odkrywamy

ponadto, że kapłańska droga ojca Maciela ożywiana była czterema wielkimi miłościami, osobistą miłością do Jezusa Chrystusa, miłością do przzenajświętszej Maryi Dziewicy, miłością do Kościoła i papieża, i w końcu miłością do ludzi, którym oddał całe swoje życie i dla których zbawienia założył, z woli

Boga, Legion Chrystusa
i ruch Regnum Christi.

Jeśli poza Watykanem
rozprzestrzeniał się
wizerunek legionisty diabła,
wewnątrz oskarżenia
zdawały się jakby nie
istnieć. W tamtym okresie
powierzono wręcz
Legionowi prowadzenie
w Jerozolimie domu
gościnnego w klasztorze
Notre Dame, z którego

korzystali pielgrzymi
podróżujący do Grobu
Świętego. Oskarżenia
przeciwko założycielowi
spływały jak woda po skale.
A najgorsze miało dopiero
wypłynąć.

Upadek

Kiedy w 1997 roku doniesienie ośmiu byłych legionistów zostało formalnie złożone w Watykanie, działania zgromadzenia w wielu krajach stawały się coraz bardziej aktywne i przynosiły znaczące rezultaty. Otwierano nowe uniwersytety, w szkołach nie brakowało podań

o przyjęcie nowych uczniów,
a zamożni rodzice chętnie
wnosili słone opłaty, aby
edukować dzieci
w placówkach
gwarantujących wysoki
poziom dydaktyczny. Armia
Maciela składała się
z duchownych
i konsekrowanych kobiet
świeckich, nieświadomych
tego, co dzieje się za
kulisami zakonu.

Chłopcy wstępowali do

seminarium, wybierając za wzór założyciela, którego uważali za kogoś w rodzaju świętego, za żyjący mit. Kiedy Maciel przyjeżdżał z wizytą do któregoś z domów, następowała ogólna mobilizacja. Było to wydarzenie. „Przyjeżdża *nuestro padre*”. Prześcigano się w robieniu porządków, żeby placówka wydawała się jeszcze przyjemniejsza i bardziej

schludna. Wszystko musiało być doskonałe, zgodnie z odebraną nauką. Kult jednostki zakorzenił się i nawet po tym, jak papież Ratzinger w 2006 roku nakazał komisaryczny zarząd zakonem, w domach zgromadzenia byli jeszcze tacy, którzy uporczywie nie wierzyli w rewelacje na temat założyciela. Rozporządzenie to okazało się bowiem wielkim

szokiem.

W 1990 roku podczas światowego synodu dotyczącego życia religijnego, Jan Paweł II spośród wszystkich generalnych przełożonych wybrał właśnie ojca Maciela, aby zobrazować proces kształtowania kandydatów do kapłaństwa. Prace synodalne posłużyły jako podstawa dokumentu papieskiego zatytułowanego

Pastores dabo vobis, jeszcze
dziś uznawanego za *magna
charta* w seminariach na
całym świecie. Tekst został
zaprezentowany uroczyście
w sali biura prasowego
Stolicy Apostolskiej 3
kwietnia 1992 roku, a wśród
ojców chrzestnych tego
dokumentu, poza
kardynałem Janem
Schottem, sekretarzem
Synodu, biskupem
teologiem, ojcem Klausem

Hemmerlem i ojcem
Marcelem Zagiem,
przełożonym misjonarzy
oblatów, znalazł się również
założyciel Legionistów
Chrystusa. Który – jak na
ironię – miał zadanie
opowiedzieć o tym, jak
bardzo w życiu kapłana
ważna jest spójność. Temat
ten poruszany był także
w wewnętrznych
dyskusjach, podczas których
szczególny nacisk kładzono

na celibat, ubóstwo,
nieodpłatną służbę,
przestrzeganie głębokiej
duchowości:

„W społeczeństwie
naznaczonym przez
sprzeczności musimy
połączyć naszą egzystencję
z posłaniem
ewangelicznym”.

W tym samym czasie
Maciel opublikował na
łamach „L'Osservatore
Romano” długi artykuł:

Jeśli traci się z oczu życie kapłana, jego misja może przemienić się w zwykłe realizowanie czegoś już całkowicie nabytego; to nawykowe posuwanie się po martwym torze, na którym jedynym możliwym postępowaniem jest rozwój znajomości i technik operacyjnych, podobnie jak to się dzieje w różnych profesjach.

Maciel dodawał, że każdy ksiądz powinien sam wewnętrznie oddawać się medytacji i zbliżaniu do Boga, ponieważ

nikt nie może uświęcać się za niego. Tak jak nikt nie może go zastąpić na polu ludzkiego rozwoju, w wysiłku ustawicznego kształtowania temperamentu i wzmacniania ludzkich

cnót, które uczynią go godnym szacunku jego braci.

Artykuł kończył się zaleceniem: każdy ksiądz powinien się wyróżniać „cnotą wytrwałości i nieustannym wysiłkiem rozwijania świata; przeżywaniem kapłańskiego powołania i misji”.

Zagrożone królestwo

Polemiki, oskarżenia, podejrzenia. Nagle jednak coś lekko drgnęło dzięki inicjatywie kilku biskupów amerykańskich, którzy wysyłali do Watykanu listy, aby poinformować, że w ich diecezjach Legioniści Chrystusa nie są już mile widziani. Jak twierdzili, ich praktyki nie są zgodne z pożądaną posługą

duszpasterską. W 2002 roku jednym z pierwszych, których usłyszano w Rzymie, był biskup z Columbus w Ohio. Zabronił on kategorycznie zarówno kapłanom z Legionu, jak i świeckim należącym do ruchu Regnum Christi aktywności na swoim terenie. Rzecznik diecezji, Robin Miller, potwierdził, że dla wyznawców ojca Maciela wprowadza się

zakaz prowadzenia
jakiegokolwiek działalności
poprzez uniemożliwienie
korzystania z placówek
diecezjalnych i parafialnych.

Wkrótce potem kolejny
biskup uczynił to samo.
W liście opublikowanym na
stronie internetowej diecezji
Minneapolis arcybiskup
Harry Joseph Flynn
zawiadamiał, że
„legionistów nie dopuszcza
się w żaden sposób do pracy

diecezjalnej ani też nie mogą oni korzystać z kościelnych obiektów”. Restrykcje te dotyczyły również ruchu Regnum Christi, który miał być „całkowicie oddzielony od normalnych działań parafialnych”.

Od tamtej pory co najmniej dziesięciu innych biskupów odwołało się do papieża, aby zamknąć drogę zakonowi z przyczyn

związanym z wykonywaniem posługi duszpasterstwa, ale przede wszystkim opisując rozbieżności w poglądach na duszpasterstwo powołań. Legioniści postrzegani byli jako nieprzenikalny organizm, funkcjonujący według własnej logiki, z trudem dającej się połączyć z całą resztą. Zdaniem biskupów młodzi ze zgromadzenia nie mieli

swobody w decydowaniu o swojej przyszłości; istniało podejrzenie, że są uzależnieni od władzy zwierzchniej. We Włoszech jednym z kardynałów, którzy jako pierwsi wyrazili swoją niechęć do Maciela, był ówczesny arcybiskup Mediolanu, Carlo Maria Martini.

Tymczasem na froncie prawnym, w grudniu 2004 roku, mecenas Wegan

odebrała w końcu telefon z Watykanu. Tym razem wydawało się, że wszystko jest gotowe, aby otworzyć proces przeciwko Macielowi: śledztwo Świętego Oficjum dostało zielone światło. Niczym wiatr, który rozpędza chmury, ten komunikat rozniecił na nowo nadzieje ofiar księdza. Mecenas Wegan udała się na spotkanie. Osobiście

rozmawiała z kardynałem Ratzingerem po uroczystości, która jak co roku odbyła się na cmentarzu niemieckim w Watykanie, miejscu jakby zawieszonym poza czasem, wypełnionym historią i wspomnieniami. Purpurat zapewnił adwokatkę o swoim przekonaniu, że nie można dłużej ignorować tego rodzaju przypadku i że istnieje zbyt wiele dowodów

obciążających Maciela; dodał, że wyrobił sobie bardzo precyzyjne zdanie na temat popełnionego zła. Wydaje się, że na jego biurko trafił szokujący zapis wideo. Film, który całkowicie pogrążył założyciela Legionistów Chrystusa. Może właśnie to było ostatecznym dowodem. „Tym razem, pani mecenas, dojdziemy do sedna”; niewiele słów padło podczas

tego krótkiego spotkania, wskazywały jednak na porozumienie w tej sprawie.

Nie było łatwo dojść do tego miejsca nawet prefektowi Kongregacji Nauki Wiary. Wokół tego przypadku odbyły się ostre starcia. Za Murami Leoniańskimi nie wszyscy byli zdania, że należy postępować radykalnie, doprowadzając do ekskomuniki Maciela

i sprowadzenia go do stanu świeckiego. Kiedy więc kardynał Ratzinger kierował sprawę na drogę sprawiedliwości zgodnie z kodeksem prawa kanonicznego, w Kurii wciąż jeszcze usztywniały się i tak już twarde postawy oporu. Mecenasa Wegan zrozumiała, że jest to pierwszy wewnętrzny, znaczący sygnał, że godziny ojca Maciela są policzone,

że być może tym razem
prawda wyjdzie na jaw.
Ksiądz oszust miał stanąć
przed wymiarem
sprawiedliwości, choć – jak
się potem okaże – aż do
samego końca
sprawiedliwość będzie
wobec niego chwiejna
i pobłażliwa.

Tymczasem Martha
Wegan skontaktowała się
niezwłocznie
z poszkodowanymi stronami,

pytając, czy po tak długim czasie wciąż mają zamiar kontynuować sprawę, czy wolą dać sobie spokój. Nikt nie miał żadnych wątpliwości: wszyscy byli tego samego zdania i wydali polecenie, by dalej prowadzić sprawę.

Na początku 2005 roku pontyfikat Jana Pawła II zbliżał się do końca: choroba zagroziła papieżowi nieodwracalnie.

W pierwszych dniach lutego trafił do kliniki Gemelli na operację, która miała mu umożliwić oddychanie i zapobiec uduszeniu się. Parkinson paraliżował mu stopniowo mięśnie szyjne. Rządy Kościoła spoczywały w rękach watykańskiego sekretarza stanu Angela Sodana oraz papieskiego sekretarza Stanisława Dziwisza, który w zastępstwie chorego

papieża wydawał Kurii dyspozycje, skonsultowane wcześniej z Ojcem Świętym. Z końcem marca, gdy świat obserwował bolesną agonię papieża, który miał wkrótce zgasnąć, wieczorem 2 kwietnia, najwyższe władze Kongregacji Nauki Wiary dały zgodę Jego Ekscelencji Charlesowi Sciclunie, aby wyruszył i zebrał cały materiał konieczny do rozpatrzenia

sprawy przeciwko ojcu Macielowi. Scicluna miał wysłuchać wielu świadków, sięgnąć do archiwów, wydobywając z nich dokumenty. Miał prowadzić działania śledcze, dokładnie tak samo jak prokurator. Powierzone mu zadanie skierowało go najpierw do Meksyku, gdzie narodziło się imperium Maciela, a potem do Nowego Jorku, gdzie mieszkało kilka jego

ofiar. Po każdym zeznaniu watykański promotor sprawiedliwości prosił o złożenie uroczystej przysięgi na Biblię oraz uwierzytelnionego podpisu pod protokołem. Zeznania odbyły się twarzą w twarz, poza jednym: Fernando Pérez Olvera wolał spisać swoje wspomnienia. Sformułowane oskarżenia nie tylko zostały uznane i potwierdzone, ale też

wyszły jeszcze na jaw inne niepokojące szczegóły. Mówi się, że podczas tamtych tygodni przesłuchań Jego Ekscelencja Scicluna z trudem powstrzymywał emocje i oburzenie, widząc na twarzach świadków oznaki wciąż przeżywanego cierpienia.

Relacja przekazana kardynałowi Ratzingerowi – który tymczasem został

wybrany przez purpuratów na następcę Jana Pawła II i wyniesiony na tron papieski 19 kwietnia 2005 roku jako Benedykt XVI - była obszerna i bogata w dane. Powstało mrozące krew w żyłach dossier, które zawierało wystarczająco dużo faktów, by bezzwłocznie podjąć działania. Kilka lat później słowa, wypowiedziane przez kardynała Ratzingera

podczas ostatniej Drogi Krzyżowej pontyfikatu Jana Pawła II, wywołały wiele pytań. Do czego się odnosił, kiedy przeczytał rozważania na Wielki Piątek, 25 marca tamtego roku, w murach Koloseum, rozświetlonego tysiącami świec? Niektóre zdania okazały się prorocze i natychmiast obiegiły świat: „Ile brudu jest w Kościele i to właśnie wśród tych, którzy poprzez kapłaństwo

powinni należeć całkowicie do Niego”; ten profetyczny passus mógł odnosić się tylko do ewidentnego przypadku założyciela Legionistów Chrystusa. Przyszły papież dawał w rzeczywistości wyraz cierpieniu ofiar ojca Maciela. Był absolutnie świadomy wyrządzonego przez niego zła. Zapoznał się już z dowodami, które miały pogrążyć zakonnika.

Zmora ONZ

Po wyborze na papieża Ratzinger nie miał już wątpliwości. Jasno określił swoje stanowisko: konieczne były drastyczne środki przeciwko ojcu Macielowi, pomimo zastrzeżeń kilku kardynałów, którzy upierali się przy poglądzie, że zbyt surowe działania wobec osiemdziesięcioletniego

księdza, podupadającego na zdrowiu, dobrego przyjaciela zmarłego papieża, będą szkodliwe zarówno dla wizerunku Kościoła, jak i dla losów samego zgromadzenia. Tego rodzaju baty wymierzone Macielowi, twierdziły „gołębie serca”, nieuchronnie wywołałyby poważne reperkusje wewnątrz wspólnot dla tych, którzy w dobrej wierze

wyrośli w micie założyciela.

W pierwszej chwili można było mieć nadzieję, że burza wywoła błyskawice i pioruny, by potem ustąpić miejsca jeśli nie pogodnemu niebu, to przynajmniej stabilnej, umiarkowanej pogodzie. Jednak oczywistości nie można było dłużej ignorować. Poza tym, co wcale nie drugorzędne, nie należało lekceważyć nacisków opinii publicznej.

Wiele gazet amerykańskich, hiszpańskich i meksykańskich zaczęło insynuować, że w Watykanie nic się nie zmieniło ani nigdy nie zmieni, że wciąż panuje ta sama powściągliwa i przezorna postawa.

Wizerunek Kościoła był zagrożony, tym razem z innych powodów niż te, które chroniły Maciela przez dziesięciolecia. José Barba Martin, jeden

z sygnatariuszy doniesienia, zdołał zgłosić sprawę do Komitetu Narodów Zjednoczonych ds. Praw Dzieci i Młodzieży, który ma swoją siedzibę w Pałacu Wilsona w Genewie. Miało to przygotować grunt pod międzynarodowe oskarżenie. Tym razem bardzo głośne. Celem było postawienie Stolicy Świętej przed Organizacją Narodów Zjednoczonych, gdyby po

raz kolejny odmówiła
wytoczenia procesu
założycielowi Legionistów.
„Nazywam się José Barba
Martin, mam sześćdziesiąt
pięć lat, urodziłem się
w Jalisco w Meksyku,
w wieku dwunastu lat
wstąpiłem do szkoły
Legionistów Chrystusa”.
W mowie wygłoszonej
w Genewie Martin
szczegółowo opowiedział
swoje życie, otchłanie

cierpienia, wykorzystywanie seksualne oraz „niszczące naciski psychologiczne”, które po nich nastąpiły. Zdemaskował przykrywki, pozwalające przez tak długi czas ojcu Macielowi zachowywać się w ten sposób: „Chciałbym podkreślić, że to niemożliwe, by system wykorzystywania o tak rozległym zasięgu mógł się rozprzestrzeniać bez

osłony, a przynajmniej współpracy tych, którzy byli najbliżej niego”. Ostrze wbijało się tymczasem głęboko w ciało instytucji: zatajanie i ukrywanie przestępstw, okrutne psychiczne dręczenie chłopców, agresywna indoktrynacja duchowa.

Wniosek, do jakiego dochodził Barba, był aktem oskarżenia przeciwko najwyższym władzom:

Kościół wolał pozostawać ślepy, nie próbował w żaden sposób tłumaczyć zjawiska wykorzystywania, wybierał strategiczne milczenie na temat całej sprawy, ograniczając się do wygłaszania teatralnych *mea culpa* wobec błędów przeszłości, od krucjat po rzeź hugenotów, w celu „odciągnięcia uwagi od problemów aktualnych”. José Barba Martin kończył

swoje *j'accuse* apelem:

Jeśli wy, panie i panowie
z tego Komitetu,
sięgniecie naprawdę
głęboko, odpowiedzialnie,
inteligentnie i uczciwie,
wychodząc poza
zewnątrzny,
charyzmatyczny
i ujmujący wizerunek ojca
Maciela i Legionistów
Chrystusa, odnajdziecie,
dokładnie tak jak

w powieści Johna
G r i s h a m a *Firma*,
mrozącą krew w żyłach
prawdę.

Aluzja dotyczy książki
opisującej perypetie
adwokata objętego
federalnym programem
ochrony świadków, gdy
tymczasem pojawiają się
nowi wrogowie, a on nie ma
innego wyboru, jak tylko
walczyć ze swoją

przeszłością, by odzyskać normalne i spokojne życie.

Następnym krokiem, przy braku nowych faktów, byłoby formalne doniesienie do głównej siedziby ONZ w Nowym Jorku. Skrzywdzeni przez Maciela napisali to wyraźnie sekretarzowi Jana Pawła II, Stanisławowi Dziwiszowi. Wystosowali do niego list po polsku, by zakomunikować, że w przypadku, jeśli

Watykan nie wytoczy
procesu ojcu Macielowi, oni
wyciągną z tego
konsekwencje:

„Nawiązaliśmy już
nieoficjalne kontakty
z międzynarodową
organizacją, kompetentną
w sprawach praw
człowieka”. A jednak
jeszcze w 2005 roku
Sekretariat Stanu zwlekał.

Biuru prasowemu wydano
dyspozycje, aby zajęło się

dementowaniem oskarżeń przeciwko ojcu Macielowi, które pojawiały się od czasu do czasu w gazetach: należało odpiierać każdy zarzut pod jego adresem. Nikt nie chciał potwierdzić oczywistości. Oficjalna wersja dostarczana dziennikarzom, którzy uporczywie domagali się wyjaśnień, była zawsze taka sama: obecnie nie są prowadzone żadne formalne

dochodzenia dotyczące
przypadków wykorzystywania przez ojca
Maciela. Jak zacinająca się
płyta. Jeszcze 20 maja 2005
roku oświadczono
w oficjalnym komunikacie,
że sytuacja jest pod kontrolą
i wszelkie krążące domysły
to tylko plotki: „Stolica
Święta poinformowała
ostatnio Zgromadzenie
Legionistów Chrystusa, że
w tym momencie nie trwa

ani nie zostanie wszczęty żaden proces kanoniczny dotyczący założyciela ojca Marciała Maciela Degollado”.

Dlaczego wciąż jeszcze uporczywie nie chciano zmierzyć się z rzeczywistością, w czasie kiedy wyciekały kolejne niedyskrecje, wzbudzając podejrzenia, tworząc jeszcze większe zamieszanie, poważnie

szkodząc wizerunkowi
całego Kościoła? Właśnie
w takim momencie ojciec
Ciro Benedettini zapewniał,
że nie toczy się żadna
procedura prawna
przeciwko założycielowi
Legionistów Chrystusa.
Oświadczenia te zostały
przytoczone przez Catholic
News Service, agencję
Konferencji Episkopatu
Stanów Zjednoczonych,
a kilka dni później przez

włoskiego korespondenta „New York Timesa”, Iana Fishera, który wrócił do tematu, szukając innych potwierdzeń nad Tybrem, jednak z mizernym skutkiem. Gumowy mur zdawał się niezniszczalny.

Przed napisaniem artykułu Fisher poszukał kontaktu z ojcem Benedettinim, by poznać nieco więcej szczegółów, ponieważ ze Stanów

Zjednoczonych docierały odmienne sygnały, mianowicie, że śledztwo jest w toku. „Nie ma żadnych procesów w toku”, odparł niewzruszony wicedyrektor biura prasowego, wierny wersji przyjętej na górze.

Inny bardzo dobrze poinformowany amerykański dziennikarz, John Allen, wydawca w „National Catholic Reporter”, jednym z portali, które najuważniej

śledziły przypadek Maciela, wrócił do sprawy. Odkrył, że z Sekretariatu Stanu wyszedł do biura prasowego faks bez podpisu, podający linię postępowania, jakiej należy się trzymać. Kilka linijek, w których polecano, aby twierdzić, że nie prowadzi się żadnych dochodzeń ani nie są one przewidziane w przyszłości. Krótko mówiąc, wciąż podsycano wątpliwości,

a wręcz promowano pogląd o niewinności zakonnika.

Jednocześnie portal prowadzony przez grupę seminarzystów i kapłanów, którzy należeli kiedyś do Legionu, „ReGain”, opublikował kolejne z rzędu oświadczenie uniewinniające zza Tybru. Ojciec Benedettini twierdził:

Indagowano mnie w tej kwestii, dokładnie tak, jak

wy teraz to robicie,
i zapytano, czy jest jakiś
oficjalny komunikat na
temat dochodzenia albo
możliwego śledztwa
kanonicznego
dotyczącego ojca
Maciela.

Odpowiedziałem, że
Biuro Prasowe nie
dostało żadnego
komunikatu w tej kwestii,
że nie toczy się żadne
dochodzenie ani nie jest

przewidziane. To kwestia, która dotyczy nie tyle Biura Prasowego, ile bezpośrednio Jego Ekscelencji Scicluny.

Krótko mówiąc, stanowisko Watykanu nadal było wymijające.

Jasne i niepodlegające dyskusji pozostawało tylko cierpienie ofiar. A ogień wciąż tlił się pod popiołem. Temat był już wybuchowy.

W Watykanie zderzały się odległe postawy Benedykta XVI, sekretarza stanu Sodana i Stanisława Dziwisza, który tymczasem został krakowskim kardynałem. Dwaj ostatni sugerowali ostrożność i trzymanie dystansu. A czas naglił, ryzyko, że Watykan jako strona może zostać pozwana przed ONZ, było realne, a poza tym, wzmagająca się presja opinii

publicznej czyniła ten obraz
jeszcze bardziej
dramatycznym. Dyskusja
trwała, ale zebrany materiał
nie pozostawiał wielu dróg
wyjścia: z przypadkiem
należało się zmierzyć jak
najszybciej i sprawiedliwie,
choć byli tacy, którzy
naciskali, aby przyjąć
postawę miłosierną, jako że
chodziło o człowieka
bliskiego już śmierci.
Należało przerzucić stronę

i napisać słowo „koniec” pod historią, która trwała już zbyt długo.

Dopiero w 2006 roku Benedykt XVI podał do wiadomości wnioski ze śledztwa. Założyciela Legionistów Chrystusa uznawało się za winnego obrzydliwych czynów, głosi komunikat biura prasowego.

Po pięćdziesięciu latach ojciec Maciel został skazany przez Kościół, ale mimo

długiej listy popełnionych przestępstw wciąż okazywano mu względy. Komunikat wydany przez Watykan pozostaje arcydziełem dwuznaczności. Wewnątrz Legionu to nowe przesilenie przeżywano jako trudny sprawdzian, któremu należy się poddać z miłości do Chrystusa, dźwigać jak krzyż, był to kolejny test wystawiający na próbę własną tożsamość religijną.

O karze za potworności
popelnione w poprzednich
dziesięcioleciach zawiadomił
osiemdziesięcioletniego ojca
Maciela kardynał William
Levada. Mimo
niewiarygodnie długiej
bezkarności nawet teraz
Maciel nie miał zostać
poddany procesowi
kanonicznemu ani
sprowadzony do stanu
świeckiego. Kościół
ograniczał się do wezwania

przywódcy legionistów do życia w modlitwie i pokucie, nigdy też nie mógłby już odprawić mszy ani pokazywać się publicznie jak kiedyś.

„Niezależnie od osoby założyciela uznaje się z wdzięcznością apostolat Legionistów Chrystusa oraz Stowarzyszenia Regnum Christi”. To zdanie zostało dołączone do tekstu komunikatu, by złagodzić

szok wśród legionistów. Konsekwencje dla losów organizacji mogłyby być katastrofalne. Watykan chciał uniknąć efektu lawiny. Obawiano się odpływu tych, którzy w dobrej wierze podążyli za kapłańskim powołaniem, powierzając swoje życie w ręce ojca Maciela w przekonaniu, że idą za przykładem, który uważali za owoc Opatrzności.

Tysiące bojowników
zgromadzenia,
zawieszonych między
niedowierzaniem
a oszołomieniem, okopało
się, wybierając strategię
przeczekiwania: udawali, że
nic się nie stało,
bagatelizowali wydarzenia
albo czekali i próbowali
zrozumieć, co takiego się
wydarzyło. Również
najwyższe władze były
zdezorientowane i nie

wiedziały, jak postąpić. Rzeczywistość okazała się skomplikowana i trudna do przełknięcia.

Ojciec Maciel, wykluczony przez papieża z życia publicznego i formalnie odsunięty od sterów zgromadzenia, wciąż jednak zachowywał się tak, jak gdyby nic nie zaszło. Jego styl życia pozostawał prawie niezmienny: podróżował z jednego domu

do drugiego,
przemieszczając się
z Meksyku do Rzymu;
prowadził nadal podwójne
życie, zajmując się obiema
rodzinami i starając się
zachować pozory
normalności; snuł plany,
nadal spotykał się
z wiernymi
i z dobroczyńcami.

W konsekwencji, również
w placówkach Legionistów
Chrystusa, wszystko

pozornie funkcjonowało bez zmian. Organizowano nawet wydarzenia kulturalne, nawiązywano na różnych poziomach kontakty instytucjonalne. W tej atmosferze „wynurzania się na powierzchnię” generalny wikariusz Legionistów Chrystusa, ojciec Luis Garza - była prawa ręka ojca Maciela - wygłosił wręcz przemówienie na temat moralności,

krytykując stan
społeczeństwa, rozpad
rodziny i powtarzające się
próby zalegalizowania
związków homoseksualnych
przez niektóre rządy. Słowa
ojca Garzy zostały szeroko
rozpowszechnione przez
międzynarodowe agencje
prasowe. Przypuścił atak na
relatywizm i brak etyki,
wzywając katolików do
życia zgodnego z nauką
Chrystusa, zarówno

w sferze publicznej, jak i prywatnej. Nie jest możliwa, mówił, przemiana osobistych pragnień w ludzkie prawa, jak na przykład pragnienie wielu kobiet, które za wszelką cenę chcą mieć dzieci. Na temat niemoralnego życia założyciela Legionistów nawet się nie zająknął. O zbrodniach Maciela niewzruszenie milczał. „Tylko zasady religijne

pomagają humanizować społeczeństwo”, dodawał Garza. Wyglądało to na kpinę, nie tyle z powodu treści tych słów, ile z powodu kontekstu, w jakim zostały wypowiedziane.

W hotelu Ergife w Rzymie, dwa kroki od kwatery głównej Legionistów Chrystusa, zorganizowano w tamtych dniach

uroczystości poświęcone
młodzieży i rodzinie.
„Będzie to okazja, by
połączyć się w atmosferze
przyjaźni i radości, aby
uczcić papieża Benedykta
XVI, który został właśnie
wybrany”. Na spotkanie
przybyły tysiące młodych
i rodzin związanych
z duchowością Legionistów
Chrystusa. Przyjechali
z całych Włoch. Odbywały
się na przemian wykłady,

debaty kulturalne, znalazł się czas na modlitwę i rozrywkę: gry i zabawy na powietrzu; entuzjastycznie przyjęto okrągły stół poświęcony postaci Jana Pawła II; w rozmowach uczestniczyło wielu świadków jego pontyfikatu.

Wydawało się, jakby do skandalu nigdy nie doszło. Wszystko w hotelu Ergife było zorganizowane tak, by uczcić zgromadzenie, nie

bacząc na to, co działo się wokół: przestępstwa, żądania ofiar, watykańskie dochodzenie, papieska kara. Jeśli ktoś - biorąc pod uwagę, że mowa była właśnie o młodzieży - miał nadzieję, że pojawi się jakaś refleksja albo chociaż modlitwa za tych, którzy w bardzo młodym wieku doznali ogromnych cierpień ze strony założyciela zgromadzenia, to przeżył

gorzki zawód. Założeniem tego święta rodzin było ignorowanie burzy wokół Maciela. Legionistom udało się stworzyć imponującą oprawę. Obecni byli: aktor Raoul Bova, piosenkarz Amedeo Minghi, aktorka Martina Pinto, znana ze swej roli w filmie o świętej Marii Goretti z 2002 roku, a także osobisty fotograf papieża Arturo Mari, którego syn wiele lat

wcześniej został kapłanem Legionistów Chrystusa.

Odbyła się projekcja filmu *Pasja* Mela Gibsona, reżysera bliskiego zgromadzeniu. Podczas realizacji Gibson chciał mieć u swojego boku konsultanta w sprawach kościelnych. Jeden z legionistów, ojciec Thomas Williams, dziekan teologii na Papieskim Uniwersytecie Regina Apostolorum, zgodził się

odprawić po łacinie mszę w Cinecittà. Przychodził na plan parę razy w tygodniu. Udzielał pomocy duchowej, a w razie konieczności konsultacji teologicznej reżyserowi i aktorom. Wszystko zdawało się przebiegać spokojnie.

W tamtym okresie nastąpiło też ważne wydarzenie w kobiecym odgałęzieniu ruchu Regnum Christi. Do stowarzyszenia

wstąpiła córka Antonia Fazia, byłego dyrektora generalnego Banca d'Italia, która złożyła obietnicę czystości, ubóstwa i posłuszeństwa. Uroczystość odbyła się w bardzo ścisłym gronie, przy drzwiach zamkniętych, by uniknąć tłumnej obecności dziennikarzy i fotoreporterów. W kaplicy Irish Institute Maria Chiara, czwarta córka dyrektora,

żegnała się z najbliższymi przyjaciółmi i krewnymi przed wyjazdem w pierwszą podróż misyjną do Meksyku, „ujęta”, podobnie jak wiele innych dziewcząt z dobrych rodzin, przez duchowość królestwa Maciela.

Sytuacja wyglądała na zupełnie spokojną. Jeszcze w 2005 roku rzecznik zakonu Thomas Williams zapewniał: „Stolica Święta zawiadomiła niedawno

Zgromadzenie Legionistów Chrystusa, że żadne postępowanie kanoniczne w stosunku do ojca Marciała Maciela Degollado, założyciela tejże instytucji, nie jest w toku ani nie jest przewidziane". Williams informował jednak, że w poprzednich miesiącach ojciec Maciel „nie został już potwierdzony jako przełożony generalny, albowiem on sam poprosił,

by zwolniono go z tej funkcji ze względu na jego wiek. Dlatego też każda inna wiadomość dotycząca tej kwestii pozbawiona jest wszelkich podstaw". Nie znalazło się tu żadne odniesienie do nasilających się nacisków watykańskich, aby przekazał on kierownictwo w ręce Álvara Corcuery. Jakakolwiek spekulacja na ten temat była natychmiast krótko ucinana.

Najwyższe władze nie przewidywały w swoich planach jawności życia i wyrugowania zgnilizny moralnej, która dotknęła zgromadzenie. Nauka, jaka płynęła z tego dla kadr kongregacji pracujących na różnych poziomach, była taka, że ich działalność ma być kontynuowana jak dotąd, bez żadnych zmian i zakłóceń, i że nie należy dawać posłuchu licznym

krytykom, których w owym czasie nie brakowało w międzynarodowych mediach.

Wystarczyło przejrzeć gazety. Wieczorem 25 marca 2006 roku, na cześć nowego krakowskiego kardynała Stanisława Dziwisza, dawnego sekretarza papieża Wojtyły, do którego ojciec Maciel był szczególnie przywiązany, zostało nawet

zorganizowane wielkie
przyjęcie. Atmosfera
w obszernym refektarzu
Uniwersytetu Regina
Apostolorum przy via degli
Aldobrandeschi była
radosna. Beztroska.
Wewnątrz wielkiego
kompleksu,
przypominającego swoją
strukturą angielski college,
gorączkowe przygotowania,
by wspaniale uczcić nowego
kardynała, rozpoczęły się

wiele dni wcześniej. Stoły zostały zastawione perfekcyjnie. Nic szczególnie wyszukanego czy luksusowego, ale wszystko lśniło i niczego nie pozostawiono przypadkowi, nawet świeżych kwiatów w wazonach ustawionych pośrodku stołów zgodnie ze ściśle wydanymi dyspozycjami. Ojciec Maciel przebywał w tych dniach w Stanach Zjednoczonych.

Ponad czterystu gości obecnych tego wieczoru odniosło wrażenie, że Legioniści Chrystusa wcale nie znaleźli się w oku cyklonu. Wydawało się, że kłopoty ojca Maciela są tylko drobnym, łatwym do rozwiązania problemem, że nic nie może naruszyć potęgi, jaką Legion zbudował przez lata. Obecni byli wysoko postawieni duchowni, arcybiskupi,

lekarze z kliniki Gemelli,
żandarmi, członkowie
ochrony, ale też wiele sióstr,
nawet polskie zakonnice,
które mieszkaly
w apartamentach papieskich
u boku Jana Pawła II, a poza
tym dziennikarze,
intelektualiści,
przedsiębiorcy: tego
wieczora, by oklaskiwać
Stanisława Dziwisza,
przyszli dosłownie wszyscy.
Nowo wybrany kardynał był

niezwykłe zadowolony
z okazanej mu wdzięczności.
U jego boku zasiedli
najwyżsi dostojnicy
z Legionu, ojciec Álvaro
Corcuera i ojciec Luis
Garza, dwa filary, na
których opierało się
zgromadzenie, dopiero po
latach oddaleni przez
papieskiego komisarza,
kardynała De Paolisa.

Wielkim nieobecny
tamtego wieczoru był

oczywiście ojciec Maciel. Został jednak publicznie przypomniany i pozdrowiony. Stanisław Dziwisz życzył mu szybkiego powrotu do zdrowia. Kiedy przywołał imię założyciela, dziękując mu z serca za to, co uczynił, na jego obliczu nie dało się dostrzec nawet śladu zakłopotania, choć na sali były na pewno osoby przekonane o tym, że prędzej czy później kara

papieska spadnie na osobę z taką czułością teraz wspominaną. Kolacja przebiegła w miłej atmosferze przy akompaniamencie muzyki. Grupa księży w sutannach zagrała *Funiculì, Funiculà, 'O sole mio, Romagna mia*, a także serię wesołych utworów latynoamerykańskich, w tym *Guantanamerę*, piosenkę, której nie mogło zabraknąć

w repertuarze zespołu
legionistów, a która
w przeszłości tak bardzo
rozbawiła Jana Pawła II
w Auli Pawła VI. Ten
pięcioosobowy zespół
muzyczny występował tam
z powodzeniem przy wielu
okazjach. „Jestem pewny, że
dziś wieczorem Jan Paweł II
patrzy na nas z okna niebios
i raduje się z nami”,
oświadczył Stanisław
Dziwisz, a kardynałowie

Sandri, Sodano i Ryłko
kiwali głowami
z uśmiechem.

Rozporządzenie papieskie
dotarło jakiś czas później
i w konsekwencji Legioniści
Chrystusa zmuszeni byli
potwierdzić publicznie, że
potworna sprawa Maciela
jest faktem wraz z całą
serią jego zbrodni,
sączonego przez niego zła,
wieloletnich kłamstw.

To właśnie wtedy zgromadzenie wydało w końcu komunikat, aby wyjaśnić, dlaczego założyciel zgromadzenia złożył dymisję. Po raz pierwszy przyznano oficjalnie, że Maciel żył niemoralnie. W miarę postępowania śledztwa przypisywane mu zbrodnie okazywały się coraz liczniejsze.

Podczas jego życia –
pisali legioniści –
wysunięto przeciwko
niemu wiele oskarżeń,
a w ostatnich latach
niektóre z nich zostały
przedłożone Stolicy
Świętej w celu wszczęcia
procesu kanonicznego.
Stawiając czoło
przedstawionym mu
zarzutom, zadeklarował
on swoją niewinność i,
idąc za przykładem

Jezusa, postanowił nie bronić się w żaden sposób. Biorąc pod uwagę zaawansowany wiek i słaby stan zdrowia, Stolica Święta zdecydowała nie rozpoczynać procesu kanonicznego, ale wezwać go do samotnego życia w pokucie i modlitwie oraz rezygnacji z wszelkiej posługi publicznej.

Podkreślono, że jego posłuszeństwo wobec Kościoła nie budziło nigdy wątpliwości i właśnie ta cecha „zawsze go charakteryzowała”.

Wyrażano przekonanie, że „przyjmie tę wiadomość z wiarą, całkowitym spokojem sumienia, wiedząc, że to nowy krzyż, który Bóg każe mu dźwigać, i że dzięki temu otrzyma więcej łask dla Legionistów

Chrystusa i dla ruchu
Regnum Christi”.

Wbrew rozporządzeniom
procesowym, które zalecały
Macielowi życie
w odosobnieniu, podobnie
jak to było kilka lat
wcześniej w przypadku
kardynała i arcybiskupa
Wiednia Hansa Hermanna
Groëra, uznanego za
winnego pedofilii
i odesłanego do zakonu
benedyktynów, założyciel

Legionu spędził tamto lato w Rzymie, w siedzibie swojej wspólnoty. Wielu świadków opowiada, że zachowywał się naturalnie, jak gdyby nigdy nic. Znikał na trochę, żeby potem znów wrócić, wydawał obiady, przyjmował zaproszenia, niczego nie wyjaśniając ani nie usprawiedliwiając. Restrykcyjne środki, jakie zastosował wobec niego Watykan, przez wielu

obserwatorów uważane były za nieadekwatne.

Kilkakrotnie po drugiej stronie Tybru zarejestrowano powracające fale niezadowolenia albo nieśmiałe protesty, gdy tymczasem wzmagala się niepewność dotycząca przyszłości zgromadzenia. Co się stanie z Legionistami Chrystusa? „Pamiętam, że wewnątrz zgromadzenia

przeważała postawa zaprzeczenia. Założyciel był wciąż postrzegany jako wzór do naśladowania, którego nie można tak łatwo odsunąć”, wspomina Nelly Ramírez Mota Velasco. Okazywało się, że coraz trudniej zarządzać schedą pozostawioną przez księdza z Cotija de la Paz.

Były prezydent Republiki Włoskiej, Francesco Cossiga, polityk dobrze

znający środowisko kościelne, napisał w tamtym okresie list otwarty do jednej z włoskich gazet, czyniąc się rzecznikiem zakłopotania, w jakie wprawiała zaprzyjaźnionych z nim kardynałów zaistniała sytuacja. Zasadniczo Cossiga dopominał się od Watykanu, aby wyplenić zło zasiane przez ojca Maciela poprzez ostateczne ustalenie prawdy

historycznej. Jako katolik zastanawiał się nad wciąż otaczającym tę sprawę milczeniem:

Należy rozważyć, czy Stolica Święta nie powinna działać i przemówić, by wyplenić z instytucji kościelnej chwasty, które na pewno wyrosły z szerzącego się brudu, jak to się stało w innych przestrzeniach

Kościół, zgodnie z bolesnym i mocnym przekazem papieża Benedykta XVI wyrażonym podczas Drogi Krzyżowej w 2005 roku.

Były prezydent państwa włoskiego zauważał, że również w katolickich środowiskach anglosaskich krążyły już od dawna bardzo poważne oskarżenia

przeciwko legionistom:
„Można przypuszczać, że opóźnienie, z jakim Watykan wydał wyrok, brało się z obawy Jana Pawła II dotyczącej kolejnej dużej szkody, jaka mogła wyniknąć z tego dla Legionistów, którzy byli mu bliscy i których pracę cenił”.

Gorzkie pytanie miało pozostać bez odpowiedzi, choć były rzecznik watykański, Joaquín

Navarro-Valls, twierdził z przekonaniem, że papież Wojtyła niczego nigdy nie blokował ani nie ukrywał:

Czasem w jednej osobie cnoty powiązane są z ludzkimi wadami. Jan Paweł II był człowiekiem nadzwyczajnej dobroci. A dobroć musi być kontrolowana przez rozum, bo w przeciwnym razie można popełniać

błędy. W tamtych latach na stronie internetowej zgromadzenia legionistów można było przeczytać mniej więcej to: „Wiem, że oskarża się mnie o to i tamto, ale przysięgam przed Bogiem, że to wszystko nieprawda. Nie zamierzam się bronić, zostawiam wszystko w rękach Boga. Podpisano: ojciec Marcial Maciel Degollado”. Te

właśnie słowa pojawiały się w internecie aż do chwili, kiedy musiałem zakomunikować opinii publicznej rezultat procesu kanonicznego przeciwko niemu. Procesu zapoczątkowanego przez Jana Pawła II i zakończonego wkrótce po jego śmierci, w pierwszym roku pontyfikatu Benedykta

XVI.

Pozostaje jednak więcej nierozwiązanych kwestii. Dlaczego papież Wojtyła, choć znał wiele innych oskarżeń, nie dał wiary krążącym na temat ojca Maciela informacjom? Dlaczego podjął działania dopiero pod koniec życia z tak ogromnym opóźnieniem? Czy wpłynęła na niego osobowość ojca

Maciela, co podkreśla wiele osób z jego otoczenia, a może odegrała też rolę wdzięczność, jaką w pewnym sensie był winny temu człowiekowi za pomoc udzieloną mu w Meksyku w 1979 roku? Tak czy owak, „swąd szatana” – by użyć słynnych słów papieża Montiniego – przeniknął pod drzwiami papieskiego apartamentu, powodując, że Jan Paweł II zbagatelizował

tę karygodną sprawę i nie wsłuchał się w docierające do niego sygnały. Czy była to zawiniona nieuwaga, czy też chodziło o nieodgadnione i zagmatwane tajniki ludzkiej duszy?

Współpracownicy papieża Wojtyły zachęcają, aby analizować całą sprawę w koniecznym kontekście. Jan Paweł II, człowiek uważny i przygotowany, za

każdym razem, kiedy musiał się zmierzyć z ciężkimi oskarżeniami przeciwko duchownym, dotyczącymi przestępstw o podłożu seksualnym, starał się działać z wielką rozwagą. Nie chodzi o to, że nie chciał dawać wiary oskarżeniom: papież Wojtyła był surowy wobec tego typu występków. Jednak z uwagi na swoje wykształcenie przede wszystkim szukał

dowodów. Uważał, że oskarżenia o charakterze moralnym powinny zostać poparte jednoznaczną dokumentacją. Twierdził, że zanim zniszczy się jakiegoś księdza i jego reputację, konieczna jest stosowna weryfikacja. Zresztą doświadczenie, jakie zdobył, żyjąc pod rządami reżimu komunistycznego jako biskup, a potem kardynał w Krakowie, nauczyło go

nieufności do sfałszowanych dokumentów, preparowanych regularnie przez tajne służby, aby zdyskredytować proboszczów i biskupów w celu szkalowania Kościoła. W Polsce takie teczki służyły do szantażowania albo uniemożliwiania wspólnocie katolickiej swobodnego działania, albo jeszcze po to, by złamać karierę osób

uznawanych za niewygodne politycznie. Rozwaga papieża Wojtyły była konieczna.

Jednak w przypadku ojca Maciela jedno pytanie nie znalazło jeszcze wiarygodnej odpowiedzi: czy to możliwe, że u boku papieża nie było choćby jednego współpracownika zdolnego otworzyć mu oczy? Czy to możliwe, że żaden biskup podczas

którejkolwiek audiencji nie ostrzegł go, podpowiadając, by zdystansował się od Maciela? W maju 2011 roku kardynał Dziwisz, za pośrednictwem agencji Zenit, wskazał jako wyjaśnienie na fakt, że Wojtyła był zawsze człowiekiem wielce odpowiedzialnym: „Polemiki dotyczące jego rzekomego milczenia na temat ojca Maciela pochodzą

z niechętnych mu środowisk. On nie skazywał ludzi bez sądu, choć był bardzo stanowczy”.

Nadal nie udało się rozwiązać wątpliwości. Zmierzyła się z nimi Kongregacja Spraw Kanonizacyjnych, kiedy chodziło o wdrożenie procesu beatyfikacyjnego, a następnie kanonizacyjnego Jana Pawła II. Biskupi i teolodzy, którzy dostali

zadanie śledzenia procesu,
po uzgodnieniu
z kardynałem Saraivą
Martinsem, ówczesnym
prefektem Kongregacji,
przewertowali wszystkie
dostępne dokumenty
dotyczące założyciela
Legionistów Chrystusa,
również te przechowywane
w Kongregacji Nauki Wiary.
Przy kartkowaniu
dokumentów, czytaniu
dossier Jego Ekscelencji

Scicluny, przeglądaniu korespondencji, nie pojawiły się żadne odbiegające od normy ani istotne fakty. Nie było żadnych obciążających go dowodów. A przynajmniej nie oficjalnie. Miałyby tam się nawet znaleźć włączony do akt list byłego prefekta Kongregacji Nauki Wiary, Williama Levady, który zapewnia, że Jan Paweł II w żaden sposób nie był w sprawę zaangażowany.

Krótko mówiąc, według Watykanu Wojtyła nic nie wiedział.

Ówczesny prefekt Kongregacji, Saraiva Martins, wspominał:

Gdyby istniał jakiś ślad sprawy, cień wątpliwości, na pewno byśmy się nad tym zatrzymali; nie poszlibyśmy dalej, a sprawa beatyfikacyjna zostałaby spowolniona.

Papież Wojtyła nic nie wiedział o złu wyrządzonym przez ojca Maciela. Nasza analiza była uważna i, mogę uczciwie powiedzieć, że niczego nie pominęliśmy. Doszliśmy do wniosku, że Ojciec Święty nie mógł być na bieżąco. Nie znał zbrodni przypisanych założycielowi Legionistów Chrystusa ani tym bardziej nie wiedział, kim

naprawdę jest ten człowiek. Zatem: jeśli nic nie wiedział, jak można go było uznać za odpowiedzialnego?

Kardynał Saraiva, który również miał sposobność poznać bliżej ojca Maciela, z trudem ukrywa własne zdumienie. Spotykał założyciela Legionistów Chrystusa przy różnych okazjach, jako że

w Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych były w toku aż dwie sprawy, które Macielowi bardzo leżały na sercu: wuja, Rafaela Guízara y Valencii, i matki, Mamy Maurity. Biskup Guízar, bohater powstania *cristeros*, w 1995 roku określony przez papieża Wojtyłę - podczas ceremonii beatyfikacyjnej - prześladowanym za wiarę, został kanonizowany przez

Benedykta XVI w 2006 roku. Przypieczętując świętość pierwszego biskupa z Ameryki Łacińskiej, Ratzinger nazwał go „nieustrudzonym misjonarzem”.

Natomiast sprawa beatyfikacyjna matki zakonnika została przez Watykan zaniechana po skazaniu Degollada w 2006 roku. Postępowanie wszczęto w Meksyku pod

naciskiem ojca Maciela,
a następnie skierowano do
Kongregacji Spraw
Kanonizacyjnych. Dzisiaj
zbierane przez lata
dokumenty dotyczące Mamy
Maurity leżą zapewne
zagrzebane i zapomniane na
jakiejś półce, pokryte
kurzem pośród innych
nieważnych papierzysk.
W megalomańskich planach
Maciela Mama Maurita
miała zostać błogosławioną

i spocząć w królewskiej marmurowej krypcie w kościele Matki Bożej z Guadalupe w Rzymie, aby stać się obiektem powszechnego kultu. Zakładany przez niego plan był wielki i śmiały.

Prawdopodobnie wyobrażał sobie przyszłość świętego również dla siebie. Poprosił wręcz swoich współpracowników, żeby nie wszczynać jego procesu

beatyfikacyjnego wcześniej niż trzydzieści lat po śmierci. Nietrudno sobie wyobrazić, że być może chciał, aby do tego czasu zmarli wszyscy świadkowie. Kardynał Saraiva Martins potrząsa dziś głową zatroskany, zastanawiając się, kim naprawdę był ten człowiek: „Miał zwodniczą naturę. Uczynił wiele złego, ale nie możemy zapominać, że za jego sprawą powstały

również dobre rzeczy:
szkoły, domy dla kleru,
seminaria, uniwersytety.
Zgromadzenie wspierało
nowe powołania, pomagało
ludziom w potrzebie”.

W całościowym bilansie
Watykanu nie można tego
przemilczeć. I miało to
w istocie swoją wagę.

Łajno demona

To nie przypadek, że na przestrzeni lat Legionistom Chrystusa nadawano różne niezbyt życzliwe nazwy: milionerzy Chrystusa, fabryka pieniędzy, międzynarodowa spółka wiary, religijna korporacja. Finansowa rozporządzalność instytucji, przynajmniej dopóki założyciel pozostawał u jej

sterów, była zawsze ogromna. Z centralnego skarbcza wypływały znaczne sumy pieniędzy, choć po skazaniu Maciela nadeszły chude czasy: wielu darczyńców się wycofało, wielu legionistów odeszło z zakonu. Reperkusje skandalu nie mogły się nie odbić również na kondycji ekonomicznej zgromadzenia.

Imperium zbudowane

przez Maciela składało się z piętnastu uniwersytetów i seminariów, pięćdziesięciu szkół wyższych, stu siedemdziesięciu siedmiu kolegiów, stu dwudziestu pięciu domów zakonnych i ośrodków formacyjnych, dwustu ośrodków edukacyjnych, tysiąca dwustu oratoriów, trzydziestu czterech szkół Mano Amiga (opiekujących się chłopcami z ubogich

rodzin), co dawało w sumie sto trzydzieści tysięcy uczniów. Związany z tym zysk ekonomiczny był zawsze znaczny, choć nie stanowił dla zgromadzenia jedyne go źródła wpływów. W złotych czasach administracji Maciela nie brakowało zapisów i spadków. Mógł on liczyć na wsparcie hojnych i majątnych przyjaciół miliarderów, poczynając od

meksykańskiego magnata, lokowanego przez magazyn „Forbes” na czołowych miejscach wśród najbogatszych ludzi na świecie, Carlosa Slima, którego ślub osobiście pobłogosławił.

Pieniądze nie stanowiły raczej problemu, a sama instytucja zorganizowała się w taki sposób, by mieć na samodzielne utrzymanie: członkowie Regnum Christi

byli zobowiązani przelewać roczną składkę do głównej siedziby. Na przykład młodzież misjonarska też musiała zgromadzić znaczną kwotę i przekazywać ją naczelnej administracji.

Nelly Ramírez Mota Velasco, na podstawie własnych doświadczeń, ujawniła, że w chwili wstępowania do zgromadzenia konsekrowani składali nie tylko ślub

ubóstwa i czystości, zobowiązywali się również przeznaczać na instytucję własne dochody, poczynając od pensji, poprzez osobiste darowizny, a nawet pieniężne prezenty otrzymywane od krewnych na Boże Narodzenie. Zatrzymać można było tylko to, co ściśle niezbędne:

A to nie wszystko. Po piętnastu latach

przynależności mieliśmy obowiązek dołożyć do głównej kasy połowę naszych pieniędzy, a po dwudziestu pięciu latach resztę naszych dóbr, sporządzając testament. W statucie znajdował się zapis, który nie pozwalał nam na zmianę podziału naszego majątku. Nie mogłam, na przykład, podarować należącego do mnie mieszkania mojej

siostrzenicy. Istniały
również reguły
zabraniające zmian
w testamencie. Mogłyśmy
go zmodyfikować
wyłącznie za
pozwoleniem
zwierzchnika, któremu
musiałyśmy wyjaśnić
powody. Testament nie
stanowił już aktu wolnej
woli: byłby
nieprawomocny.

W każdym razie niemożliwe było ustalenie, ile trafia do kas centralnych; był to jeden z najlepiej chronionych przez najwyższe władze sekretów. Nelly przypuszcza, że tylko na terytorium Meksyku zbierano co roku dwadzieścia milionów dolarów, dwukrotność tego, co udawało się zgromadzić legionistom w Chile i Argentynie. Kontrolę nad

zasobami finansowymi
sprawowało bardzo wąskie
grono: aż do czasów
komisarycznego zarządu
papieskiego sakiewkę
trzymał ojciec Luis Garza.
„Finanse Legionistów
Chrystusa to tajemnica”,
wielokrotnie donosiło
meksykańskie czasopismo
„Milenio”, dla którego
pracowała jako
dziennikarka Roberta
Garza, siostra ojca Luisa.

„Milenio” zdołało
opublikować badanie
pozwalające stworzyć mapę
właścicieli dóbr
zgromadzenia. Była to sieć
ekonomicznych powiązań
między różnymi spółkami,
z których żadna nie miała
pozornie nic wspólnego ze
zgromadzeniem zakonnym.
Strumienie pieniędzy
spływały do Rzymu, na via
Aurelia 677, gdzie
Legioniści Chrystusa mieli

swoją siedzibę główną. To tam podejmowano decyzje strategiczne i administracyjne, a także kontrolowano wszystkie posunięcia. Nawet te najmniej znaczące, jak zakup laptopa:

Jeśli przypadkiem któraś z nas dostawała w prezencie od rodziny pieniądze na zakup komputera, nie mogła iść

prosto do sklepu. Pieniądze trzeba było dać naszemu przedstawicielowi, który sam przekazywał zamówienia na zakup do Rzymu, do centralnego działu finansowego. W ten sposób tylko mała grupa osób była poinformowana na bieżąco o wysokości obrotów w kasie, wpływów i wydatków,

nawet najmniej istotnych

- wspomina jeszcze Nelly.

Prawa ręka ojca Maciela, ojciec Garza, próbował udzielić odpowiedzi na wiele pytań, powierzając pisemne wspomnienie Carmen Aristegui, dziennikarce meksykańskiej, która zdołała zaprosić do studia radiowego synów i pierwszą „żonę” ojca Maciela. W jaki sposób założyciel mógł

zdobyć tyle pieniędzy? „Nikt nigdy nie zapytał go o to otwarcie, również dlatego, że aż do 2006 roku Legion nie prowadził żadnej księgowości; dlatego bardzo trudno się było dowiedzieć”.

Kiedy ojciec Maciel umarł i zdjęto w końcu pokrywę, pod którą otwierała się otchłań, Watykan chciał poznać obraz działalności gospodarczej i finansów zgromadzenia, by rozpocząć

kontrolę. Ważną kwestią było finansowanie przez zakon dwóch „rodzin”, jednej w Hiszpanii, drugiej w Meksyku, którym Maciel przekazywał co jakiś czas pieniądze na wydatki związane z utrzymaniem dzieci. Dodatkowo zakonnik mógł czerpać swobodnie z osobistego funduszu. Na jego konto regularnie wpływały pieniądze: „Przelewano na nie około

dwudziestu tysięcy dolarów miesięcznie za jedną wpłatą”. Oficjalnie rachunek bieżący służył realizacji akcji dobroczynnych i pokrywaniu wydatków własnych. Według świadectwa ojca Garzy tylko jeden duchowny ze zgromadzenia wiedział o istnieniu tego konta. Dokonywał przelewów, zajmował się załatwianiem wszystkich formalności

bankowych w imieniu
właściciela: „Kiedy Maciel
potrzebował pieniędzy,
prosił legionistę, by
dostarczył mu gotówkę albo
czek określony”. Za te
pieniądze mógł opłacać
bilety lotnicze, wynajmować
helikoptery, utrzymywać
wysoki standard życia,
pozwolić sobie na
pięciogwiazdkowe hotele
i luksusowe restauracje,
zapewnić utrzymanie

dzieciom. Mieszkanie w Madrycie, które zajmuje druga „żona” Maciela Norma i gdzie wychowała się córka Normita, według wszelkiego prawdopodobieństwa zostało zakupione za środki pochodzące właśnie z tego konta.

Kto naprawdę wiedział? Ojciec Garza kładzie nacisk na jeden punkt: najwyższe władze nie mogły wiedzieć

o potrójnym życiu
założyciela. Oskarżenie
o współudział pozostaje
„bardzo poważne
i bezpodstawne”. Zaraz po
skazaniu ojca Maciela jego
następcą u sterów
zgromadzenia, ojciec
Corcuera, pośpiesznie
zapewniał, że pieniądze
przeznaczone były
wyłącznie na działalność
dobroczynną,

działalność, która czyni wiele dobrego dla społeczeństwa. Ja sądzę, że ojciec Maciel wydawał te pieniądze również na inne potrzeby, inne cele, o których nikt nie miał wyobrażenia. Kiedy słyszę o istnieniu kont w rajach podatkowych i tak dalej, mogę zapewnić, że nasze konta bardzo skrupulatnie kontrolowano, że nie

istniały żadne sekretne fundusze, że bilanse były potwierdzane przez rewidentów. Kiedy słucha się wielu różnych głosów, obrona staje się trudna.

Liderem w tworzeniu finansowej fortuny Legionu był Integer, rodzaj holdingu obejmującego różne sfery aktywności zgromadzenia. Uniwersytety, ośrodki badawcze, seminaria,

działalność apostolska, jak również uczestnictwo w spółkach akcyjnych, funduszach, spółkach krajowych i międzynarodowych. Właśnie tam biło finansowe serce Legionu. Holding (choć nikt nie chciał nigdy, by tak to nazywano) powstał z inicjatywy ojca Garzy, absolwenta studiów ekonomicznych, syna poważnego przemysłowca

z Monterrey. Integer zapewniał osiągnięcie „celów działań apostolskich ruchu Regnum Christi, budując wewnętrzną synergiją pod znakiem efektywności i wydajności”. Typowy dla ekonomii język odzwierciedlał podejście nastawione na skuteczność działania zgromadzenia.

„Istniała radykalna sprzeczność między filozofią proponowaną przez grupę

a Ewangelią, jako że większą ufność pokładano w zasobach ludzkich i materialnych aniżeli w Opatrzności. Nie wydaje mi się, żeby sposób myślenia o tym przedsięwzięciu wynikał z ducha Nowego Testamentu”, zwróciła uwagę Nelly Ramírez Mota Velasco. W ekonomiczną pajęczynę miały też zostać włączone fundusze etyczne zarządzane przez jeden

z banków luksemburskich. Mówi się, że ich wartość sięgała z górą dwudziestu miliardów euro, ale nie wiadomo, czy to prawda. „New York Times” wskazał dużo wyższą kwotę, trzydzieści pięć miliardów euro, a jedna z gazet niemieckich obliczyła ją wręcz na dwieście pięćdziesiąt miliardów dolarów. Same tajemnice. Piramida finansowa

pozostaje nieznana dla samych legionistów, którzy nie mają pojęcia o rozmiarach majątku ich własnego zgromadzenia. Sandro Magister, pierwszy włoski dziennikarz, który zajął się wyczerpująco sprawą Maciela, rozpoznawał w tym holdingu strukturę przypominającą chińskie pudełka-łamigłówki, wypracowaną właśnie po to, by uniemożliwić inspekcje

lub kontrole ze strony Watykanu. Oskarżany o niską transparentność Legion się bronił, utrzymując, że Integer nie był holdingiem w ścisłym znaczeniu, jako że nie miał osobowości prawnej ani własnego majątku. Według tej tezy chodziło wyłącznie o nazwę wskazującą na usługi operacyjne konieczne do zarządzania różnymi instytucjami.

Ale właśnie dzięki pieniądzom ksiądz z Cotija de la Paz mógł się ukrywać, przekupywać, oszukiwać. Przez jego ręce przechodziły ogromne sumy, nie zawsze w chwalebnych celach. Kluczowym punktem pozwalającym lepiej przedstawić dwuznaczność tej postaci jest właśnie pieniądz, sam w sobie narzędzie jak każde inne, które z czasem stało się

jednak zgubne.

Ojciec Gabriele Amorth, egzorcysta o wieloletnim stażu, twierdzi, że ojciec Maciel był „typowym przykładem kogoś, kto uległ pokusom na pustyni. Być może to właśnie pieniądze sprowadziły go na drogę bardzo ciężkiego grzechu”. Dzięki nim mógł otwierać wiele drzwi, wpływać na wydarzenia i na rzeczywistość: „Jeden

fałszywy krok pociągał za sobą następny, a potem kolejny i tak coraz dalej, aż po utratę sensu grzechu. Błędne koło. Straszne. Aż popadł w niewolę zła”.

Pozbawiony zasad moralnych Maciel zmierzał prosto ku przepaści, nakręcając spirale perwersji. Tak jakby jakaś siła dośrodkowa ściągała go coraz niżej. A Bóg z każdym dniem się oddalał, coraz

bledszy, coraz mniej
wyraźny.

Milionerzy

Jason Berry, amerykański dziennikarz, który zdjął przykrywkę z garnka wypełnionego po brzegi zgnilizną moralną, nie ma wątpliwości: „Legion był nieprawdopodobną maszyną finansową”. Splot pieniędzy i władzy w cieniu papieża. Pozyskiwanie finansowania albo darowizn nie było dla Maciela żadnym

problemem: zbierał fundusze z niezwykłą łatwością, manipulując rozmówcami i wzbudzając w nich rzeczywiste zainteresowanie działaniami Kościoła. Wykorzystywał naturalną charyzmę i talent do opowiadania, oczarowując zarówno mężczyzn, jak i kobiety. Na burżuazji z Ameryki Łacińskiej, Stanów Zjednoczonych i Hiszpanii

robił wrażenie, opisując społeczne korzyści, jakie miałyby przynieść finansowane projekty. Miało to być antidotum na rozprzestrzeniający się marksizm. Ci, którzy się z nim stykali, pamiętają ujmujący sposób mówienia i błyskotliwą inteligencję. Ktoś określił go „największym żyjącym chwalcą”.

Aż do ostatnich dni życia

mógł liczyć na wsparcie ważnych rodzin. Celebrował ich śluby i pogrzeby, chrzczył dzieci i wnuki. Sieć możliwych była gęsta i szeroka, wzmocniona także jego wizerunkiem publicznym: wiarygodnego człowieka Kościoła, który osiągnął sukces.

W Meksyku jego wpływ był tak duży, że kiedy w 1997 roku jeden z prywatnych nadawców,

Canal 40, ośmielił się wyemitować materiał, w którym mówiło się o starym śledztwie watykańskim dotyczącym zażywania narkotyków i oskarżeń o pedofilię, poważni ogłoszeniodawcy postanowili jednostronnie unieważnić podpisane już umowy na reklamę i zaprzestać inwestowania w tę stację. Dla Canal 40 oznaczało to upadek.

Amerykański adwokat Jeffrey Anderson, który prowadził wiele spraw przeciwko Legionowi, między innymi sprawę założoną przez jednego z nieślubnych synów Maciela, Raúla Gonzáleza Larę, bez wahania nazywa przypadek Maciela aliażem władzy, pieniędzy i seksu: „To była historia kryminalna”.

Jedną z pierwszych

millionerek, która poparła Maciela, zafascynowana nim do tego stopnia, że postanowiła przekazać mu oszałamiające kwoty, była doña Flora Barragán Garza. Meksykańska arystokratka, poczynając od lat pięćdziesiątych, zaczęła go hojnie finansować. Po raz pierwszy spotkali się przypadkowo w Rzymie. Wspólny znajomy powiedział Florze o interesującym

meksykańskim księdzu,
który przebywał w tamtym
czasie w Rzymie
i potrzebował małego
wsparcia finansowego dla
swoich działań społecznych.
Doña Flora, w towarzystwie
córkki, odwiedziła
duchownego przy via
Aurelia. Nieszczęsna
przyjaźń trwała aż do czasu,
kiedy kobieta w całości
wyczerpała swój majątek.
Przez długie lata, choć słabe

to pocieszenie, doña Flora uważana była za matkę chrzestną Legionistów Chrystusa.

Dopiero niedawno córka kobiety postanowiła przerwać milczenie, aby przedstawić psychologiczne podłoże, które doprowadziło matkę do podporządkowania się światu Maciela, ujawniając prawdziwe „pranie mózgu”, jakiemu poddana została doña Flora.

Prawdopodobnie ujęły ją także maniery i wygląd założyciela Legionistów: ojciec Maciel był wysoki, elegancki, bardzo o siebie dbał, miał zawsze nienaganną fryzurę, chodził, „jakby miał roztaczać wokół siebie aureę świętości”. Doña Flora była zachwycona tą przyjaźnią i hojnie wspomogła zakup terenów pod budowę seminarium Legionistów Chrystusa

w Irlandii. Również dzięki jej portfelowi wyremontowano placówkę w Cumbres, dofinansowywano szkoły i projekty społeczne, a nawet wspierano polskie inicjatywy papieża Wojtyły. „Z tego, co wiem, ale powiedziała mi o tym też mama, pewnego dnia ojciec Maciel poprosił ją o dwa miliony dolarów; to było wtedy, kiedy pojawił się

problem Polski. Wyjaśnił, że papież musi wesprzeć jakąś stację radiową, żeby móc komunikować się z Wałęsą. Mama postanowiła w końcu dać mu te pieniądze na tę rozgłośnię”.

Rok po roku rodzinny majątek nieuchronnie topniał. Kiedy pięćdziesiąt milionów dolarów rodziny Barragánów się skończyło, u Maciela wyczerpała się też energia podsycająca

platoniczny związek z dołą Florą. Postanowił zerwać wszelkie kontakty, nie chciał nawet odbierać telefonów. Kobieta stała się ciężarem. Ostatnich dwanaście lat życia meksykańskiej byłej milionerki, która zmarła w 2002 roku, było raczej smutne. Pogrążona w depresji, płakała z powodu tego wielkiego rozczarowania. Wielokrotnie usiłowała się

kontaktować z *nuestro*
padre, ale Maciel za
pośrednictwem sekretarki
zbywał ją. Ona znów
dzwoniła, ale każda próba
była daremna. *Nuestro*
padre odprawia mszę,
nuestro padre je, *nuestro*
padre jest w podróży. Po
śmierci Maciela rodzina
Barragánów zwróciła się do
Legionu o zwrot całości albo
części majątku
roztrwonionego przez doinę

Florę na zaspokojenie
potrzeb zakonnika.
Wynajęci przez córkę
adwokaci zaczęli badać
sprawę, by przekonać się,
czy istnieją podstawy
prawne do wytoczenia
procesu Legionowi.

Aż do śmierci Maciela cała
władza spoczywała w jego
rękach albo w rękach
nielicznych legionistów
z jego otoczenia. Nigdy nie

było żadnej sposobności, żeby rozpocząć jakąś wewnętrzną dyskusję. Nie pozwalał na to czwarty ślub zobowiązujący legionistów do milczenia. Trudno im było dowiedzieć się, gdzie podziało się tak dużo pieniędzy, łącznie z tymi, które co miesiąc trafiały na osobiste konto Maciela. Mówi się, że służyły również do zakupu luksusowych samochodów

przeznaczonych dla
wysokich dostojników
z Kurii. Był to sposób, by ich
sobie zjednać i zyskać
przychylność. Jednak nie
wszyscy byli wrażliwi na te
sygnały. Na przykład
kardynał Pio Laghi, któremu
 pewnego dnia przysłano do
domu drogiego mercedesa,
natychmiast odesłał auto do
nadawcy, z grzecznym
bilecikiem wyjaśniającym,
że nie może przyjąć tego

prezentu. Były prefekt Kongregacji ds. Edukacji Katolickiej szybko zrozumiał aluzję i nie miał wątpliwości, co powinien zrobić. Starania Maciela wynikały z tego, że Laghi zarządzał wówczas dykasterią, której podlegały wszystkie uniwersytety oraz katolickie placówki edukacyjne na całym świecie, łącznie ze szkołami Legionistów Chrystusa. W tamtym okresie Maciel

obawiał się negatywnej opinii na temat wielkiego projektu powołania nowej uczelni. Zwrot daru nie przeszkodził jednak powstaniu Uniwersytetu Regina Apostolorum, który stał się chlubą wśród placówek edukacyjnych Legionu we Włoszech. Zapoczątkowane w 2005 roku watykańskie śledztwo objęło również tę sprawę, nadając jej właściwą nazwę:

korupcja. Mówi się, że nawet kardynał Joseph Ratzinger miał być obiektem tego rodzaju wątpliwych względów. Zaproszony pewnego dnia do Regina Apostolorum w celu wygłoszenia wykładu, zmuszony był zwrócić grzecznie kopertę zawierającą hojny datek na cele charytatywne.

Pieniądze pomagały Macielowi szybko osiągać

postawione sobie cele.
Meksykański socjolog,
Bernardo Barranco, który
poświęcił zjawisku korupcji
wieloletnie studia, opisał
metodę, którą ksiądz
z Cotija de la Paz posłużył
się do stworzenia
prawdziwej „teologii
władzy”. Mogła się ona
zakorzenić w mało
przejrzystych strukturach
i zadziałać jak zapalnik:
„Wewnętrzna kultura

instytucjonalna zrodziła
patologiczną społeczność,
która z kolei umożliwiła
rozwój fenomenowi
Maciela". Barranco określił
również założyciela
Legionistów jako osobę
chorą duchowo. Był on
„rakiem” - czymś dużo
więcej od „zgniłego jabłka” -
niszczącym resztę ciała,
z którym wchodzi
w kontakt. Niczym wąż
pożerający własny ogon,

ojciec Maciel karmił zło,
które z kolei dostarczało mu
energii do dalszego
rozsiewania zła.

Chory korzeń

To Bóg - mawiał Maciel - doprowadził do narodzin Legionistów Chrystusa. Kardynał Velasio De Paolis, wyznaczony przez Benedykta XVI komisarz, który miał postawić zgromadzenie na nogi po tsunami z 2006 roku, podczas lat sprawowania tej funkcji wyrobił sobie opinię, że kongregacja sama

w sobie powinna być pod każdym względem uznana za „dzieło Pana”, jak to zresztą napisał w liście otwartym wysłanym do legionistów nazajutrz po jego nominacji na papieskiego delegata. A jednak, niezależnie od oficjalnych deklaracji, wiele osób zastanawiało się w ostatnich latach, czy zło wyrządzone przez założyciela zdołało zarazić

samą organizację.

Czy roślina może wyrosnąć zdrowa mimo chorych korzeni? W pytaniu tym kryje się teologiczny dylemat. Czy Legioniści Chrystusa, którzy swoje powstanie zawdzięczają charyzmie księdza z Cotija de la Paz, mogą naprawdę uznać, że istnieją z boskiej inspiracji? Być może po raz pierwszy w historii Kościoła tego typu problem objawia

się w tak dramatyczny sposób. Były legionista ojciec Richard Gill, który przez dwadzieścia dziewięć lat pracował w szeregach zgromadzenia meksykańskiego, a teraz przeniósł się do diecezji nowojorskiej, zainicjował na katolickich blogach debatę na temat natury legionistów. Jeśli założyciel ocierał się o demoniczność, w jaki sposób budowla wzniesiona

na kulcie tak skrzywionej osobowości mogła pozostać nietknięta? Czy można uzdrowić roślinę zrodzoną z zakażonego korzenia? Czy jej owoce mogą zdrowo dojrzewać? Problem teologiczny, do którego odwoływał się ojciec Gill, wynika bezpośrednio z fragmentu Ewangelii według świętego Łukasza: „Nie jest dobrym drzewem to, które wydaje zły owoc,

ani złym drzewem to, które wydaje dobry owoc. Po owocu bowiem poznaje się każde drzewo; nie zrywa się fig z ciernia ani z krzaka jeżyny nie zbiera się winogron”⁵. Gdyby tak więc było, czy ojca Maciela nie należałoby porównać do tej chorej rośliny?

Ojciec Luis Garza, w jednym ze swoich nielicznych wystąpień publicznych, stwierdził

z przekonaniem, że Bóg, jeśli zechce, może wykorzystać nawet diabła w celu osiągnięcia dobrych rzeczy: „Marcial Maciel był środkiem do tego, aby łaska Boga dotarła do wszystkich członków Legionu”. Przypadek ten w swojej bezwzględności obnaża całą słabość Kościoła. Wydaje się, że nie ma lekarstwa na tego rodzaju „gangreny”. Zło, stanowiące nieodłączną

część rzeczywistości,
wdziera się do historii
ludzkości przez wszystkie
dostępne szczeliny.

„Na szczęście usunęliśmy
zło, wytępiiliśmy je w chwili,
kiedy poszukaliśmy
prawdy”, zapewniano
w Watykanie nazajutrz po
drugiej inspekcji czterech
biskupów, którzy pomagali
kardynałowi De Paolisowi
w zaprowadzeniu ładu
w Legionie. Również José

Barba, jedna z ofiar, uważa, że założyciel Legionistów Chrystusa nie zdołał spowodować „rozkładu całego ciała”.

Refleksja na ten temat zatacza coraz szersze kręgi. Zmarły niedawno ojciec Marcello Zago, wybitny badacz życia religijnego, były sekretarz Kongregacji Rozkrzewiania Wiary, wyjaśnił pewną zasadę: założyciele zakonów

religijnych muszą stanowić całość z powołanymi przez siebie kongregacjami:

Dzięki komunii świętych założyciele pozostają wciąż obecni, stanowiąc dla członków inspirację, by podążać wskazaną drogą. Z kolei uczniowie powinni żyć w komunii ze swoimi charyzmatycznymi ojcami i mieć dyspozycje do tego,

aby ta charyzma była
przez nich wciąż
przyjmowana
i kultywowana.

Odchodząc od kościelnego
języka, ojciec Zago
wyjaśniał, że zgromadzenia
religijne, poza rzadkimi
przypadkami, nie mogą
pomijać tego, który je
stworzył. Postać mistrza
pozostaje fundamentalna dla
przyszłości. Poczynając od

wielkich świętych historii Kościoła - Franciszka, Teresy, Klary - którzy powołali do życia ważne zgromadzenia religijne, aż po mniej znane postaci, zasada pozostaje taka sama. Poza tym pisma założycieli są busolą, tożsamościowym punktem odniesienia dla członków, którzy będą musieli iść za ich przykładem.

W przypadku ojca

Maciela, nosiciela złego
wzorca, jednym
z pierwszych kroków
poczynionych przez
Watykan było właśnie
wymazanie pamięci po nim.
Po śmierci Maciela z domów
Legionistów Chrystusa
zostały usunięte obrazy
z jego wizerunkiem. Zdjęto
wiszące przy wejściach
zdjęcia, ukazujące kapłana
w różnych momentach życia,
jak również zatarto

wszelkie ślady jego bytności w pokojach, w których się zatrzymywał: zniknęły jego rzeczy osobiste, pozbyto się wszelkich przedmiotów mogących o nim przypominać. Watykan nie zamierzał ryzykować, by przedmioty te zamieniły się w obiekty kultu albo, jeszcze gorzej, by miejsca te stały się celem pielgrzymek, wynikających z pobożnego oddania albo ciekawości.

Takie samo postępowanie objęło pisma ojca Maciela. Pozbyto się jego książek, nie były dostępne nawet do użytku wewnętrznego. Żaden legionista nie może z nich korzystać, nawet przy przygotowywaniu homilii. A jeśli przypadkiem w jakimkolwiek tekście zacytowane zostało przez pomyłkę zdanie, które można przypisać ojcu Macielowi, nie należy

ujawniać jego źródła.
Pamięć o księdzu z Cotija de
la Paz ma zniknąć. Na
zawsze.

Plagiaty

Damnatio memoriae doprowadziło do zniknięcia wszystkich pism Maciela, z trudem jednak będzie można wymazać głośne przypadki plagiatu obecne w niektórych jego dziełach.

W ostatnich latach odkryto, że wiele z jego domniemanych refleksji nie było jego autorstwa. W największym stopniu

dotyczy to tekstu *Salterio de mis días* [Psałterz moich dni], wyraźnej imitacji *Salterio de mis horas* [Psałterz moich godzin], dzieła o głębokiej duchowości, którego autorem jest hiszpański adwokat Luis Lucia Lucia. Napisał je dwa lata przed śmiercią, w 1943 roku, w więzieniu w Walencji. Maciel przywłaszczył sobie ten tekst i z niewielkimi

zmianami opublikował w 1956 roku. Kilku duchownych zgłosiło plagiat, ale również te oskarżenia, podobnie jak wszystkie inne, zostały wyciszone. Dopiero w 2009 roku sekretarz Legionistów Chrystusa, Evaristo Sada, w wewnętrznej notatce potwierdził, że rzeczywiście chodziło o zawstydzające skopiowanie tekstu.

Inny głośny przypadek

falszerstwa dotyczy *La*
formación integral del
sacerdote católico

[Integralna formacja
katolickiego kapłana].

Dopóki Maciel żył, książka
ta uznawana była za rodzaj
magna charta duchowości
legionistów. A przecież
przynajmniej pierwsze
wydanie z 1990 roku było
owocem intelektualnej pracy
innych zakonników, w tym
ojca Gonzala Mirandy. W tej

ksiąźce Maciel kładzie nacisk na konieczność kształtowania kapłanów świętych i gruntownie przygotowanych do „służenia naprawdę całemu ludowi Bożemu w jego poszukiwaniu świętości i w apostolskim zaangażowaniu w głoszenie Ewangelii”. W następnym fragmencie, odnoszącym się do życia w seminariach, Maciel wymieniał pokusy

księży. Po pierwsze, paradoksalnie, właśnie popędy seksualne. Poruszając ten temat, nie unikał bezwstydney uwagi, że „wychowywać do czystości oznacza nauczać kierowania własnymi skłonnościami i namiętnościami, nie zaś ich tłumienia. Tłumienie uniemożliwia dojrzewanie”. Założyciel Legionu sugerował, by działać przez

zapobieganie: „Leczenie i uzdrawianie namiętności, skłonności i możliwych dewiacji seksualnych oraz uwarunkowań, może się wydawać działaniem negatywnym, ale nim nie jest”. Po czym następowała seria mądrych cytatów zaczerpniętych z pism Soboru Trydenckiego, odnoszących się do zarzewia grzechu (*fomes peccati*), czyli pożądliwości

(*concupiscentia*). Bóg zezwala na nią, aby ćwiczyć człowieka w jego walce z grzechem.

W innych fragmentach pojawiają się nuty autobiograficzne. Maciel komentował:

Również ja jako wychowawca jestem mieszanką wielkości i nędzy, skłonności do wykroczeń i egoizmu,

poddany bodźcom,
namiętnościom
i psychologicznym
uwarunkowaniom. Ja też
jestem upadłym
i odkupionym obrazem
Boga. Kiedy realizuję
moją pracę formacyjną,
kiedy kieruję, wymagam,
poprawiam i stymuluję,
konieczne jest, abym był
zawsze uważny
i sprawdzał, czy moje
zachowanie odpowiada

temu, czego potrzebuje seminarzysta, czy też jakimś moim wymaganiom. Czy to, co mówię albo czynię, rodzi się z boskiej inspiracji, czy też z mojego ludzkiego impulsu, być może nazbyt ludzkiego.

Pod koniec 2002 roku, próbując zmyć z siebie wszelkie podejrzenia związane z oskarżeniami

o pedofilię, ojciec Maciel zdecydował się punkt po punkcie odpowiedzieć na zarzuty amerykańskiej prasy. Postanowił opublikować wywiad rzekę, zapraszając do współpracy jednego z najbardziej wiarygodnych hiszpańskich dziennikarzy, Jesúsa Colinę, byłego dyrektora katolickiej agencji prasowej Zenit. Colina podjął się tego zadania zapewniany przez

duchownego, że wysuwane
przeciwko niemu
podejrzenia nie są
prawdziwe. Ojciec Maciel,
nie trzeba tego dodawać,
przysiągł, że chodzi
o spisek. Dziennikarz zabrał
się do pracy, nieświadomy
tego, że dokonuje się
właśnie na jego szkodę
kolejne krętactwo
Degollada: „Zostałem
wykorzystany
intelektualnie”, miał później

oświadczyć. „Uwierzyłem mu i w dobrej wierze wpadłem w pułapkę, służąc mu moją wiarygodnością i profesjonalizmem”.

Przygotowanie tomu zajęło rok. Książka ukazała się na rynku hiszpańskim w 2003 roku. *Mi vida es Cristo* [Moje życie jest Chrystusem], dwieście pięćdziesiąt stron pytań i odpowiedzi. W krótkim czasie doczekała się sześciu

dodruków; została też przetłumaczona na włoski, portugalski i francuski. Był to ważny element szerokiej kontrofensywy, do której przystąpił Maciel, by się bronić. Kardynał Tarcisio Bertone, ówczesny arcybiskup Genui, napisał wstęp do książki. Poprosił go o to Maciel, a były sekretarz Kongregacji Nauki Wiary, prawa ręka papieża Ratzingera,

przygotował pełen
pochlebstw tekst,
wychwalając wielkie dzieła
zrealizowane przez
zakonnika:

Bóg powołał go do
założenia Legionu
Chrystusa, który może
dziś ofiarować Kościołowi
pięciuset kapłanów i dwa
tysiące sześciuset
seminarzystów [...]. Bóg
chciał zainspirować ojca

Maciela do założenia kongregacji oraz ruchu Regnum Christi [...] rozwój tej kościelnej organizacji przekracza zdolności i siły zwykłego człowieka.

Podczas pracy nad książką Colina wielokrotnie spotykał się z Macielem, co zaowocowało dziesięciogodzinnym nagraniem. Przywoływanie

tych momentów wciąż jest dla niego trudne i upokarzające. Przypomina sobie między innymi, że w czasie fazy przygotowawczej założyciel Legionistów Chrystusa wysłuchiwał bez zakłopotania wszystkich pytań, nawet tych najbardziej niewygodnych, okazując niezmiernie ubolewanie z powodu tego, co się dzieje. Zaklinał się, że

wymierzone w niego
oskarżenia są czystym
wymysłem, mającym na celu
zbrukanie postaci Jana
Pawła II. Tak bardzo
wczuwał się w swoje
kłamstwa, że chwilami
udawało mu się nawet
wzruszyć. Mówił, że bardzo
cierpi, przede wszystkim
z powodu wielkiego bólu,
jaki ta brzydka historia
przysparza polskiemu
papieżowi, już poważnie

choremu. Kiedy watykańskie śledztwo potwierdziło zbrodnię, a prawda zaczęła wychodzić na jaw, na hiszpańskiego dziennikarza spadł straszny cios: „To było potworne. Nigdy bym się czegoś takiego nie spodziewał”.

Na stronicach wywiadu rzeki wręcz groteskowo uwidacznia się, mimo starań pytającego dziennikarza i odpowiadającego księdza,

cała dwuznaczność Maciela. Twierdził on tam, że nie może kochać „fasadowego chrześcijaństwa, złożonego z westchnień, pobożnych postanowień, jeśli nie utwierdza go skała miłosierdzia”. Mówiąc o dorastającej młodzieży uczęszczającej do szkół i seminariów, podkreślał, jak bardzo

wyczerpująca, ale też

pasjonująca jest praca wychowawcy.

Wyczerpująca, ponieważ młodzież ma nadmiar energii życiowej, a nauczyciel musi jej dotrzymać kroku, musi być przy uczniach we wszystkim, co robią. Wychowawca nie może czuwać nad podopiecznym z oddali, bo dorastający człowiek nie jest jeszcze w pełni

dojrzały i potrzebuje
dorosłego, który by go
poprowadził. [...] W tym
delikatnym momencie
życia przygotowujemy
młodych, by otworzyli się
na autentyczne wartości.

W ósmym i ostatnim
rozdziale książki,
dotyczącym przyszłych
perspektyw, ośmielił się
nawet opisać postać
demonia. „Czy myśli pan, że

diabeł ma wciąż wpływ na dzisiejszy świat?”

Odpowiedź:

Kościół wierzy w istnienie diabła jako istoty osobowej. Nie jest on mitem służącym wyjaśnieniu zła i jego działania w świecie, ale należy unikać odwoływania się do tematu diabolicznego postępowania, aby

wyjaśnić jakikolwiek
rodzaj wydarzenia,
ponieważ w przypadku
zła moralnego, grzechu
naszego świata, również
wolność człowieka działa
jako przyczyna
współistniejąca, choć nie
można wykluczyć
pewnego pośredniego
wpływu demona.

Ucieczka z Legionu

W 2010 roku kardynał De Paolis w liście otwartym uspokajał: „Legion nie został skompromitowany, mimo nieszczęśliwej roli, jaką odegrał założyciel”.

W Watykanie nigdy nie powstało zamierzenie, by zniszczyć tę instytucję bogatą w seminaria, szkoły i uniwersytety. Obowiązywało hasło: trzeba

ratować to, co jest do uratowania. Zarząd komisaryczny szybko okazał się jednak bardziej skomplikowany, niż można było sądzić w pierwszym momencie, również z powodu milczącego i niewidzialnego na zewnątrz odpływu kapłanów i seminarzystów. Wewnętrzne rozdarcie spowodowało setki rezygnacji, choć De Paolis

wciąż próbował pomniejszać to zjawisko, ufając, że zdoła wyprowadzić zgromadzenie na bezpieczne wody. „Odejścia były, ale ograniczone. Mogło być gorzej”.

Bilans ucieczek zatrzymał się wówczas na czterdziestu dwóch duchownych i stu pięćdziesięciu seminarzystach, ale - biorąc pod uwagę przesłanki - dalszy rozwój wypadków

pozostawał niewiadomą. Według oficjalnych danych na rok 2009 całkowita liczba członków wynosiła 3389 (3 biskupów, 889 kapłanów, 1244 zakonników i nowicjuszy, ponad 1129 kandydatów i aspirantów), natomiast na 31 grudnia 2010 roku - 3265, to znaczy o 124 osoby mniej w ciągu jednego roku. Jeden z najgłośniejszych przypadków opuszczenia

kongregacji, dostrzeżony ze szczególną uwagą przez prasę hiszpańską, dotyczył braci Oriolów, duchownych należących do jednej z najbardziej utytułowanych rodzin w Hiszpanii.

Zakorzenieniu

zgromadzenia Maciela w sferach bogatej burżuazji hiszpańskiej sprzyjała właśnie obecność braci Santiaga, Ignacia i Alfonsa. Wszyscy trzej ulegli urokowi

Maciela. Odegrali ważną rolę w rozprzestrzenianiu się Legionu na tym terenie. Kiedy jednak wybuchł skandal z wykorzystywaniem seksualnym, nastąpiło trzęsienie ziemi i związane z tym wielkie rozczarowanie, bracia Oriolowie, przerażeni tym, co stopniowo wychodziło na jaw na temat podwójnego życia i różnych tożsamości

księdza z Cotija de la Paz, przeżyli kryzys. Dojrzała w nich po kolei decyzja o odejściu i odwróceniu się plecami do zgromadzenia, które jeszcze do niedawna uważali za swój dom na całe życie. Dokładnie tak samo jak w przypadku innych legionistów, zderzenie z prawdą okazało się punktem zwrotnym. Bardzo bolesnym.

Wielu

definitywnie

zrzuciło sutannę, inni ograniczyli się do pożegnania Legionistów Chrystusa, ale nie Kościoła, prosząc jakiegoś zaprzyjaźnionego biskupa o przyjęcie do innej placówki diecezjalnej, by móc nadal pracować w parafii.

Kryzys tożsamości wywołany upadkiem mitu ojca Maciela spowodował również skurczenie się

grona osób udzielających wsparcia. Wielu darczyńców i wpływowych świeckich członków Regnum Christi ukryło się nazajutrz po nawałnicy, pozbawiając zgromadzenie ogromnych dotacji. Liczne domy, seminaria, szkoły musiały zamknąć podwoje w Irlandii, Brazylii i Stanach Zjednoczonych. Brak funduszy doprowadził też do likwidacji kilku czasopism.

Trzynastego lipca 2011 roku dyrektor uniwersytetu w Sacramento, Robert Presutti, w liście do darczyńców zmuszony był poinformować o zamknięciu z powodu problemów finansowych uczelni założonej w 2005 roku oraz Szkoły Niepokalanego Poczęcia, placówki edukacyjnej dla dzieci: „Legioniści Chrystusa muszą zmierzyć się z innymi

wyzwaniami i priorytetami, po prostu nie możemy [naszej pracy] kontynuować tak, jak to było pomyślane”, wyjaśnił rektor.

Tymczasem kardynał De Paolis próbował powstrzymać katastrofę. Badając grunt, pośród tysiąca trudności i pułapek, czekał na odpowiedni moment, aby zwołać nadzwyczajną kapitułę generalną zdolną wybrać

demokratycznie nowe
władze i nowego
zwierzchnika generalnego,
a także „doprowadzić do
końca rewizję konstytucji”.

Prawdziwym problemem
do rozważenia było
oczyszczenie. Stare
konstytucje studiowane
przez Maciela
i zatwierdzone swego czasu
przez Stolicę Świętą
zawierały normy już
przebrzmiałe, ograniczające

wolność, które należało
zmienić u samych podstaw.
Komisarz wyznaczony przez
papieża Ratzingera
postępował z przezornością,
świadomy faktu, że jeden
fałszywy ruch mógłby
sprowokować fatalne
reperkusje dla fundamentów
budowli nadwerężonej przez
wydarzenia. Ojciec Paolo
Scarafoni, były rektor
Uniwersytetu Regina
Apostolorum, w rozmowie

z katolickim dziennikiem „Avvenire” opisywał ten moment jako bardzo delikatny: „Odkrycie bulwersujących aspektów było na pewno bolesne. Jednak nie odbiera to niczego dziełu powołanemu do życia przez ojca Maciela, a jeśli już, stanowi to ilustrację, w jaki sposób Pan potrafi korzystać również z niedoskonałych narzędzi”.

Aby uchronić strukturę

Legionu przed całkowitym upadkiem, De Paolis musiał na nowo określić warunki sprawowania władzy oraz przededefiniować charyzmat Legionistów Chrystusa. By osiągnąć ten cel, należało zneutralizować ostrą krytykę wewnętrzną, podsycaną przez tych, którzy opuścili zakon, tak zwanych dysydentów. To na nich kardynał wskazał palcem. „Od samego

początku utworzyła się grupa, którą ktoś określił mianem dysydentów. Ci, kładąc nacisk na skażenie, nazwijmy to, strukturalne zgromadzenia, wyrazili radykalną nieufność wobec kontynuacji i odnowy”. Odnosił się do byłych legionistów albo do tych członków zgromadzenia, którzy – prędzej czy później – mieli rozpocząć kampanię oczerniającą

w sieci i na portalach społecznościowych. „Stanęli w opozycji do prawomocnych zwierzchników, uznając się niemal za strażników ortodoksji drogi, jaką należy podążać”. Krótko mówiąc: „akcje propagandowe” wymagały również wprowadzenia nadzwyczajnych środków. „Wygląda to tak, jakby przyglądanie się ranom

i nieustannie ich jątrzenie
sprawiało im przyjemność.
Zamiast tego powinni
patrzeć głębiej i z nadzieją
w przyszłość, pracując nad
prawdziwą odnową,
wchodząc na drogę
wiarygodnego nawrócenia”.

De Paolis zachęcał w ten
sposób Legion, by stał na
twardych pozycjach i nie
słuchał głosów, które
„interpretowały
teraźniejszość jako

przestarzały i utrwalony
schemat” i budowały
z b i o r o w e *mea culpa*
przeradzające się
w publiczne wyznawanie
winy.

Dla Watykanu Legion
pozostawał zbyt ważną
strukturą, by pozwolić, aby
toczące się śledztwa ją
pogrzebały. Mimo że innych
trzydziestu pięciu księży ze
zgromadzenia splamiło się
wykorzystywaniem

seksualnym. Tak samo jak
Maciel.

Sztuka symulacji

Ostatni okres życia Maciela naznaczony był chorobą i samotnością, ale nie skruchą. Nie pojawiła się ona w żadnej formie. Ojciec Maciel wyzionął ducha, nie okazując żadnych wyrzutów sumienia ani żadnej potrzeby chrześcijańskiej spowiedzi. Miał osiemdziesiąt sześć lat. Początkowo leżał

w specjalistycznej klinice na Florydzie. Lekarze zdiagnozowali raka w ostatnim stadium, lokalizując go w trzustce. Była to diagnoza niepozostawiająca żadnej nadziei. Maciel miał świadomość, że jego czas się nieuchronnie kończy. Przy jego wezglówiu, zgodnie z wolą umierającego, pojawiła się „żona” Norma i córka

Normita, które towarzyszyły mu do ostatniej chwili. Obok nich przy jego łożu czuwało na zmianę kilku duchownych z Legionu. Maciel został też poddany skomplikowanej operacji chirurgicznej, jednak choroba była zbyt zaawansowana, żeby lekarze mogli dokonać cudu. Starzec czuł, że jego godzina się zbliża.

Ksiądz z Cotija de la Paz zdawał sobie sprawę, że jest

człowiekiem skończonym,
jego zamek na piasku runął,
a jego kłamstwa zostały
zdemaskowane.

W Watykanie i na całym
świecie wszyscy wiedzieli,
kim naprawdę jest i co
zrobił. I tak, nie mogąc już
kontrolować dotyczących go
informacji ani stworzonej
przez siebie struktury,
Maciel zmienił się z osoby
kontrolującej cudze życie
w osobę szczególnie

kontrolowaną przez własne sumienie i przez Boga, którego zdradził. Przestał być panem swojego losu. Wszystko obróciło się przeciwko niemu.

Krążą plotki, że jego śmierć została przyspieszona przez ostatni akt przyjemności, ostatni grzech, najmniej poważny ze wszystkich popełnionych do tej pory. Grzech łakomstwa. Z uporem prosił osoby,

które przy nim czuwały, żeby przyniesiono mu lody. Ciekawe, czy Maciel, dotknięty starczą demencją, był świadomy ryzyka, jakie stwarzało to dla zniszczonej już trzustki: spożycie choćby najmniejszej ilości cukru mogło wywołać śmiertelny szok. I faktycznie mężczyzna zapadł w śpiączkę, a jego system sercowo-naczyniowy doznał zapaści. Maciel gasł niczym

świeca, a wszystko wydarzyło się w przeciągu kilku godzin. Lekarze nie mogli już nic zrobić, monitorowali tylko agonię.

Jeden z obecnych przy wezłowi duchownych udzielił mu namaszczenia chorych, ale nie mógł go rozgrzeszyć poprzez spowiedź. Maciel Degollado nie domagał się, by go wyspowiadać, a może nie zdążył tego zrobić, dlatego

umarł, nie prosząc o wybaczenie. Było to spójne z jego stylem życia, dalekim od Boga. Ojciec Luis Garza, podczas zamkniętego spotkania z Legionistami Chrystusa, jakie odbyło się jakiś czas później, miał podobno wygłosić następujący komentarz: „Jego życie naznaczone było wieloma problemami, miało swoje ciemne strony”.

W ostatnich dniach życia Maciela w Kościele zaczęły krążyć uporczywe pogłoski, że jego życie natchnął demon.

Sugestywna hipoteza, która przez wiele miesięcy podsycała dyskusję w internecie. Czy ten ksiądz naprawdę żył pod sztandarem Lucyfera? Stowarzyszenie pomocy ofiar Legionistów Chrystusa (www.exlcesp.com)

wyodrębniło cztery kwestie, które pozwalałyby tak twierdzić. Pierwsza wskazówka: nienasycona i przesadna żądza bogactwa, która miałaby go wodzić na pokuszenie. Po drugie: niecierpliwa potrzeba zaszczytów, uznania, sławy; Maciel musiał być podziwiany i szanowany. Po trzecie: pycha. W końcu, czwarta, ale wcale nie drugorzędna

kwestia: rościł sobie prawo
do zaspokajania za wszelką
cenę własnych potwornych
skłonności, ulegając
pedofilii, pożądaniu,
uzależnieniu od narkotyków,
dopuszczając się gwałtów na
synach, podążając bez
skrupułów drogą zatrutą
Złem: kłamstwami,
tajemnicami, perfidią,
korupcją.

„Wydawał się prawie
opętany, jakby był

nawiedzony przez jakiś obcy element”, wyjaśniał Saúl Barrales, jeden z ośmiu sygnatariuszy doniesienia skierowanego do papieża w 1997 roku. W tej sprawie Saúl nie miał specjalnych wątpliwości: „Myślano, że jest perwersyjny, ale być może za mało skupiano się na ewentualnym opętaniu przez Diabła”. Kto wie.

Kardynał Georges Cottier, emerytowany teolog

Prefektury Domu
Papieskiego, człowiek
wielkiej kultury, spróbował
znaleźć bardziej złożone
wyjaśnienie. Zastanawiając
się nad niespokojnym życiem
Maciela, wyszedł
z założenia, że zło absolutne
nie istnieje, jako że zło łączy
się z pozbawieniem dobra.
W związku z tym, aby stać
się wcieleniem zła, nie
wystarczy przyjąć postawę
przeciwną Boskiemu Prawu:

kto popełnia zły czyn, musi mieć pełną świadomość zderzenia z tym Prawem.

„Zastanawiałem się, czy ojciec Maciel był chorym człowiekiem, który cierpiał na poważne patologie i skazy psychiczne. Osobiście go nie znałem, ale gdyby tak było, jego odpowiedzialność moralna byłaby mniejsza”.

Nie budzi natomiast wątpliwości skłonność do

perwersji, jaką wykazywał się w swoim życiu. Bardzo poważne, powtarzające się grzechy i brak jakiejkolwiek skruchy. Cottier zauważa jeszcze:

Jak to możliwe, że oszukiwał tak wielu ludzi, również papieża, przez tak długi czas, tego nie wiem. Niektóre potworne istoty są tak inteligentne, że nie można ich

zakwalifikować jako
ludzi. Nie wiemy, czy
Maciel stanowił taki
przypadek, jednak
refleksja nad poważnymi
faktami, które zaistniały,
każe zadać pytanie: czy
była tam inspiracja
mysterium iniquitatis, to
znaczy złem na świecie
pobudzany przez
Demoną?

Nikt nie może w teorii

wykluczyć, że w realnym życiu zło potrafi objawiać się również pod pozorem dobra. Właśnie tak, jak się to zdarzyło w przypadku założyciela Legionistów Chrystusa, finansującego uniwersytety, szkoły, placówki społeczne i wiele instytucji dobroczynnych: „Dusza ludzka jest niezbadaną płataniną”. Cottier przypomina modne w Hiszpanii heretyckie

teorie dotyczące *Siglo de Oro* (Złotego Wieku), związane z księdzem Miguelem de Molinosem, twórcą kwietyzmu, nurtu w myśli katolickiej, który rozpowszechnił się w XVII wieku, ale natychmiast trafił na kościelny indeks jako bluźnierczy.

Ojciec Molinos w swoim *Guía Espiritual que desembaraza al alma y la conduce por el interior*

camino para alcanzar la perfecta contemplación y el rico tesoro de la interior paz [Przewodnik duchowy, który wyswobadza duszę i prowadzi ją wewnętrzną drogą do uzyskania doskonałej kontemplacji i bogatego skarbu wewnętrznego spokoju] rozumował, że w pewnym momencie na drodze ku doskonałości święty człowiek może grzeszyć bez

konsekwencji, ponieważ
będąc już doskonałym, nie
może paść ofiarą zła.
Molinos wyobrażał sobie
nowy nieprzenikniony
wymiar, który
usprawiedliwiłoby
zachowanie pozbawione
reguł. Jego Eksceleńcja
Justo Mullor García, były
nuncjusz w Meksyku,
przypomina sobie, że na
koniec jednego ze spotkań
z Macielem wybuchła

między nimi sprzeczka
właśnie na ten temat. Książ
z Cotija de la Paz
teoretyzował na temat
podwójnego standardu
życiowego, twierdząc
z przekonaniem, że istnieje
moralność obowiązująca lud
i druga, obowiązująca
przywódców, na których
ciążą trudne zadania
i brzemie rządzenia.
„Chodziło o niewiarygodny
błąd doktrynalny i moralny.

Ja oświadczyłem otwarcie, że jako chrześcijanin i biskup nie mógłbym nigdy zaakceptować takiego dualizmu”.

Podwójne życie Maciela pozostawia, między innymi, jedną wielką, nierozwiązaną kwestię: czy za tak wieloma zbrodniami stał demon, czy tylko choroba psychiczna?

Kardynał Léon-Joseph Suenens pisał w swoich

dziennikach na temat wielkiego Zła:

To zbyt łatwe wyobrażać sobie czyny diabła jako coś spektakularnego, natychmiast rozpoznawalnego. Przy aktualnym stanie rzeczy jego widoczna obecność jest czymś wyjątkowym. Jego działanie jest ukryte i wyrafinowane, ale tak czy owak przejawia cechy

perwersji.

Również papież Montini w 1972 roku zaskoczył świat, mówiąc o podstępnym działaniu demona. Stojąc w oknie swojego gabinetu w Pałacu Apostolskim, po modlitwie na *Anioł Pański*, powiedział:

Odnosimy wrażenie, że przez jakąś szczelinę wdarł się do Kościoła Bożego swąd szatana

[...]. Należało sądzić, że po Soborze słońce zajaśnieje nad Kościołem. Zamiast słońca nastąpił czas burz, mgieł i ciemności.

Kilka dni później sprecyzował, że większość „zła nie zadaje Kościołowi ciosu z zewnątrz, ale atakuje go, osłabia, wyczerpuje od środka”. Jeśli posłuchać wielu byłych

legionistów, przypadek
Maciela wydaje się
doskonale pasować do tego
kontekstu.

Kardynał Giuseppe
Versaldi, jeden z czterech
podkomisarzy
towarzyszących
kardynałowi De Paolisowi
w trudnym zadaniu
rozwikłania problemu
reformy oraz procesu
demaciellizzazione
Legionów Chrystusa, nie

wyklucza, że założyciel został zaatakowany przez demona. Pośród elementów składających się na biograficzną mozaikę tej niepokojącej postaci, nie został jeszcze wyjaśniony motyw, który skłonił Maciela, aby swojemu zgromadzeniu religijnemu nadać nazwę Legion. To ciekawe określenie: poza przywoływaniem ciężkozbrojnej piechoty

z historii starożytnych Rzymian albo jakiegoś korpusu wyborowego, jak Legia Cudzoziemska armii francuskiej, wielu teologom przychodzi ono od razu na myśl ewangeliczny epizod dotyczący Gerazy. Opowiada on o człowieku opętanym przez demona, który powiedział, że nazywa się Legion. Fragment ten, w sposób znaczący umieszczony przed

wskrzeszeniem córki Jaira i uzdrowieniem kobiety cierpiącej na krwotok, skupiających się również na kwestii czystości, jest jedynym w Ewangelii, w którym demon objawia się w sposób jawny. „I zapytał go [Jezus]: »Jak ci na imię«? Odpowiedział Mu: »Na imię mi Legion, bo nas jest wielu«”[6](#). Ten sam fragment z Ewangelii według świętego Marka w bardziej

dopracowanej formie
znajdziemy w Ewangelii
według świętego Łukasza:

Rozkazywał bowiem
duchowi nieczystemu, by
wyszedł z tego człowieka.
Bo już wiele razy porywał
go, a choć wiązano go
łańcuchami i trzymano
w pętach, on rwał więzy,
a zły duch pędził go na
miejsca pustynne. A Jezus
zapytał go: „Jak ci na

imię?”. On odpowiedział:
„Legion”, bo wiele złych
duchów weszło w niego⁷.

Kardynał Christoph
Schönborn, kiedy był
jeszcze biskupem
pomocniczym w Wiedniu, we
wstępie do książki o diable
pisał:

Byłoby fatalnym błędem
zaprzeczać istnieniu
diabła. Jeśli Bóg pozwala,

by działały demony, to na pewno nie dlatego, że chce szkodzić ludzkości, ale raczej dlatego, że chce pomóc ludziom w zrealizowaniu jego wzniosłych planów zbawienia.

Zagadka

Nie jest łatwo kłamać tak systematycznie, jak to czynił Maciel. Potrzebna jest znakomita pamięć, zimna krew, opanowanie, cynizm. Według pisarza Jonathana Swifta ojcem kłamstwa jest diabeł. Ciekawe, czy to prawda. W życiu Maciela kłamstwa były czymś stałym. Bez oszukiwania daleko by nie zaszedł, nie

mógłby żyć tak jak żył, bez ograniczeń, przekraczając wszelkie bariery moralne i kierując się do miejsca, gdzie wszystko jest dozwolone, gdzie sumienie narażone jest na przegraną, gdzie łatwo zapuszczają się korzenie zła. Wielkiego Zła.

Dla Kościoła wyznaczenie linii granicznej między szaleństwem a dziełem diabolicznym jest zawsze bardzo skomplikowaną

operacją. Jej zarysy są niewyraźne i nawet najbardziej wprawni egzorcycyści, kiedy natrafiają na ciężkie przypadki, poruszają się z największą ostrożnością, świadomi tego, że dziewięć na dziesięć rzekomych przypadków opętania dotyczy patologii natury psychicznej, związanych z zaburzoną osobowością, schorzeniami takimi jak

schizofrenia.

Zło, to wielkie Zło, które
czerpie z *mysterium
iniquitatis*, stanowi zagadkę
do rozwikłania. Nie zawsze
ten, kto jest opętany, rzuca
się na ziemię z krzykiem na
widok krzyża, wypluwając
śruby, bluźniąc na
kapłanów, mówiąc
w niezrozumiałych językach,
jak w filmowym horrorze.
Maciel nie był nikiem takim.
A jednak, dzień po dniu, jego

zbrodnicze postępowanie
pochłonęło go, wciągnęło
w tunel, z którego trudno
było znaleźć wyjście. Kto
wie, czy w tych mrocznych
czeluściach nie zaczął
w końcu słuchać głosu
ciemności, zafascynowany
doczesną władzą, potężną
spiralą korupcji. Ukryty za
surowym i nieskazitelnym
wizerunkiem, ojciec Maciel
pogwałcił wszelkie granice
etyczne, których miał być -

jak sam mówił –
strażnikiem. Stopień po
stopniu rozpoczęło się jego
schodzenie do piekieł, tam,
gdzie znika sumienie,
a zamieszkują najbardziej
skryte żądze i potwory, do
miejsca, do którego nikt już
nie zdoła dotrzeć. Poza
Bogiem.

Nie da się sprawdzić, co
się kryje w tej czarnej
studni, w tej lepkiej otchłani.
Jego Ekscelencja Corrado

Balducci, niedawno zmarły wielki egzorcysta, wciąż powtarzał, że „diabeł bez przerwy działa za kulisami. Wodzi przede wszystkim na pokuszenie człowieka, który chce się zbliżyć do Pana”. Ponieważ nawet droga wybrukowana najlepszymi intencjami, jak mówi mądrość ludowa, mogłaby prowadzić w otchłań. Maciel, ogłaszając się nosicielem wizji zbawienia,

zakładając szkoły, finansując
dobroczynne działania
społeczne, wyzwał zło.
Ofiary opisywały *nuestro*
padre jako „największego
szarlatana, zbrodniczego,
amoralnego,
narcystycznego,
szkodliwego,
panseksualnego, jaki istniał
kiedykolwiek w historii
Kościoła katolickiego”.
Gdyby opublikowano kiedyś
listę największych

potworów, Maciel mógłby się znaleźć w czołówce. Inny doświadczony egzorcysta, ojciec Gabriele Amorth, nie wyklucza, że miało na niego wpływ coś w rodzaju „efektu domina”: zło, które popełniał i które się stopniowo nawarstwiało, wpychało go z kolei w wir, przez który był wsysany, aż po utratę sumienia.

Śmiertelny uścisk

Chory umysłowo czy nie, pewne jest, że ojciec Maciel nie potrafił kontrolować własnych popędów. Był typem narcyza. Czarodziejem propagandy, genialnym chwalcą, który wykorzystywał doktrynę do podporządkowywania sobie młodych i ich wykorzystywania. Patricio Cerda, jedna z ofiar,

porównał go do innego
wielkiego zbrodniarza
historii: Stalina.

Niemoralne
postępowanie Maciela
zaszkodziło reputacji
Kościoła katolickiego
bardziej, niż to uczynił
którykolwiek inny
pojedynczy biskup, kardynał
albo zepsuty duchowny.
Trudno znaleźć równych mu
w dwulicowości,
przynajmniej w ostatnich

wiekach.

Kardynał Velasio De Paolis woli rozpoznać najgłębszą zagadkę i wznieść oczy ku niebu. „To był chory człowiek, który zażywał narkotyki. Cierpiał na starczą demencję. Nie sądzę, że został dotknięty przez demona, bo demon nie wykorzystuje ludzi, by dawać życie dobrym owocom, a przez dobre owoce rozumiem placówki,

osoby, które tam pracowały,
oddane czynieniu dobra
i nieświadome tego, co się
działo za ich plecami”.
Również teraz, kiedy już nie
żyje, jego postać nadal
wzbudza sprzeczne uczucia,
tworzy podziały. Jedni
dostrzegają w nim demona,
nikczemnika, inni widzą
słabego człowieka, chorego
na umyśle, któremu Bóg
w swym nieskończonym
miłosierdziu wybaczył.

„Wcale nie był demoniczny, jak ktoś go opisał, choć popełniał złe czyny”, takie poszeptywania słyszy się w domach Legionistów Chrystusa.

Był bardzo sprawny w tasowaniu kart. Zarówno za życia, jak i po śmierci. Dlatego nie da się ostatecznie ustalić, w jakim kontekście umieścić tę sprawę, czy w historii wielkich zbrodniarzy, czy

też diabelskich opętań.

Zagadka Maciela
pozostaje mrocznym
rozdziałem, dzwonkiem
alarmowym dla Kościoła.
Ostrzeżeniem, którego nie
należy zapomnieć, aby inni
Maciele nie zapukali już
nigdy do Spizowej Bramy
i aby im nie otworzono.

Bibliografía

Alazraki Valentina, *Entrevista Televisiva con padre Alvaro Corcuera*, 2 kwietnia 2010.

Alazraki Valentina, *Entrevista Televisiva al nuncio Justo Mullor*, grudzień 2010.

Alazraki Valentina, *La luz eterna de Juan Pablo II*, Planeta, Mexico 2010.

Aristegui Carmen, *Marcial*

Maciel historia de un criminal, Grijalbo, Mexico 2010.

Benedykt XVI, Peter Seewald, *Światłość świata,* przeł. Piotr Napiwodzki, Znak, Kraków 2011.

Berry Jason, Renner Gerald, *Śluby milczenia. Nadużywanie władzy za pontyfikatu Jana Pawła II,* przeł. Barbara Stanosz, Wydawnictwo

Czarna Owca, Warszawa
2012.

Berstein Carl, Politi Marco,
*Jego Świątobliwość Jan
Paweł II i nieznana
historia naszych czasów*,
przeł. Stanisław
Głębiński, Amber,
Warszawa 1997.

Calliari Paolo, *Trattato di
demonologia*, Centro
Editoriale Cattolico,
Carroccio 1992.

Carotenuto Aldo,

*I sotterranei dell'anima,
tra i mostri della follia e
gli dei della creazione,*
Tascabili Bompiani,
Milano 1983.

Cialdini Robert, *Wywieranie
wpływu na ludzi: teoria
i praktyka*, przeł. Bogdan
Wojciszke, Gdańskie
Wydawnictwo
Psychologiczne, Gdańsk
1995.

Colina Jesús, wywiad
z Marcialem Macielem,

La mia vita è Cristo,
Edizioni Art, Roma 2004.

Cornwell John, *The Pope in Winter. The Dark Face of John Paul II's Papacy,*
Penguin Books, London
2004.

Dziwisz Stanisław
(w rozmowie z Gian
Franco Svidercoschim),
Świadectwo, przeł.
Magdalena Wolińska-
Riedi, Warszawa 2007.

Espinosa Alejandro, *El*

Legionario, Grijalbo,
Mexico 2003.

Gonzalez Fernando M.,
Marcial Maciel, Maxi Tus
Quests editores, Mexico
2006.

Huber Georges, *Idź precz
Szatanie! Działania
diabła dzisiaj*, przeł.
Edward Data,
Wydawnictwo
Michalineum, Marki-
Struga 1997.

Kwitny Jonathan, *Człowiek*

*stulecia. Życie i czasy
Jana Pawła II*, Fijor
Publishing, Warszawa-
Chicago 1997.

López Trujillo Alfonso,
*Testimonianze,
Conversazioni con José
Luis Gutierrez Garcia*,
Edizioni Rinascimento
dello Spirito Santo, Roma
2000.

Maciel Marcial, *La
formación integral del
sacerdote católico*,

Biblioteca de Autores
Cristianos, Madrid 1990.

Magana Luna Ruben, A.R.T.
*La Legion de Cristo en la
mira del poder*, Editorial
VBM, Mexico 2009.

Magister Sandro,
*I Legionari di Cristo:
«Accusano noi per
colpire il Papa»*, wywiad
z ojcem Miguelem
Cavallé Puig, L'Espresso,
2003.

Napolitano Valentina,

Phantomatic Presences and Bioreligiosity - on the Legionaries of Christ and the Jesuit Order, „The Journal of Sacred Texts and Contemporary Worlds” 2011, t. 5, nr 3, s. 293-316.

Neusch Marcel, *Le mal*, Édit. Paulines, Paris, Centurion - Montréal 1990.

Ramírez Velasco Mota Nelly, *El reino de Marcial*

Maciel, la vida oculta de la Legion y el Regnum Christi, Temas de Hoy, Mexico 2011.

Reese Thomas J., *Watykan od wewnątrz. Polityka i organizacja Kościoła katolickiego*, przeł. Monika Betley, Książka i Wiedza, Warszawa 1999.

Rodari Paolo, Torielli A n d r e a , *Atak na Ratzingera. Oskarżenia*

*i skandale,
przepowiednie i spiski
wymierzone
w Benedykta XVI, przeł.
Magdalena Dobosz,
Edycja św. Pawła,
Częstochowa 2011.*

Santomiero Chiara, *Le
confidenze del fedele
segretario di Giovanni
Paolo II*, wywiad
z kardynałem
Stanisławem Dziwiszem,
agencja Zenit 2011.

Sofsky Wolfgang, *Il paradiso della crudeltà. Dodici saggi sul lato oscuro dell'uomo*, przeł. D. De Santis, Einaudi, Torino 2001.

Sorrentino Domenico, *Nella notte una luce*, Cittadella editore, Assisi 2010.

Szulc Tad, *Jan Paweł II*, przeł. Zofia Uhrynowska-Hanasz, Michał Wroczyński, Świat Książki, Warszawa 1996.

Torres Alfonso, *La prodigiosa aventura de los Legionarios de Cristo*, Akal Ediciones, Madrid 2001.

Weigel George, *Świadek nadziei. Biografia papieża Jana Pawła II*, przeł. Dominika Chylińska, Jacek Illg, Jadwiga Piątkowska, Rafał Śmietana, Maria Tarnowska, Znak, Kraków 2002.

Widmann Claudio (red.), *Il male, categoria morale, patologia psichica, realtà umana*, Edizione Magi, Roma 2009.

Willey David, *God's Politician. John Paul at The Vatican*, Faber & Faber, London 1992.

Yallop David A., *Potęga i chwała. W mrocznym sercu Watykanu Jana Pawła II*, przeł. Stefan Baranowski, Vis-a-

vis/Etiuda, Kraków 2011.

Podziękowania

Pragnę podziękować tym, którzy zachęcali mnie w różnych momentach i na wielu poziomach, by ułożyć fragmenty tej niewiarygodnej historii, mającej swój początek w Meksyku, ale spektakularny finał we Włoszech. Lista osób, towarzyszących mi w niełatwym gromadzeniu

materiału oraz
w rozpoznaniu faktów
i w redakcji, jest długa.
Dziękuję wszystkim, że mnie
wysłuchali i dali cenne rady,
pomocne w mojej próbie
odsłonięcia prawdy.

1 Benedykt XVI, Peter Seewald, *Światłość świata*, przeł. Piotr Napiwodzki, Kraków 2011, s. 50 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

2 Tamże.

3 Chodzi o Watykan, położony po drugiej stronie Tybru, podobnie jak pobliska dzielnica Rzymu, Zatybrze.

4 „W jedno nas tu zgromadziła miłość Chrystusa” – wers z pieśni *Gdzie miłość wzajemna i dobroć (Ubi caritas et amor)*.

[5](#) Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Biblia Tysiąclecia, Łk 6, 43-45, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 1991.

[6](#) Mk 5, 9-10.

[7](#) Łk 8, 29-31.

Redaktorka inicjująca: Dorota
Nowak

Redaktorka prowadząca:
Dominika Cieśla-Szymańska

Przekład: Anna Osmólska-
Mętrak

Redakcja: Ryszarda
Witkowska-Krzeska

Korekta: Piotr Janas, Beata
Wójcik

Projekt okładki: Krzysztof
Rychter

Skład i łamanie: Anna
Hegman

Grupa Wydawnicza Foksal Sp.
z o.o.

02-672 Warszawa, ul.
Domaniewska 48

tel. +48 22 826 08 82 faks +48
22 380 18 01

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-5430-1

Skład wersji elektronicznej:

Michał Olewnik / [Grupa](#)

[Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)

i Michał Latusek / [Virtualo Sp.](#)

[z o.o.](#)

virtualo